

Peter Mayle

Wytrawny przekręt

Dla Jona Segala,  
avec un grand merci

## Rozdział 1

Danny Roth wziął jeszcze trochę kremu nawilżającego i wmasował go w swoją już świecąca czaszkę, jednocześnie sprawdzając, czy nie kala jej jakikolwiek ślad zarostu. Jakiś czas temu, kiedy skóra zaczęła wypierać włosy, zastanawiał się, czy nie związać ich w koński ogon, często będący pierwszą deską ratunku dla łysiejącego mężczyzny. Jednak jego żona Michelle była, delikatnie mówiąc, niezbyt zachwycona. „Pamiętaj, Danny - powiedziała wówczas - pod każdym końskim ogonem kryje się koński zad”. To skłoniło go do tego, by zrobić się na kulę bilardową, i ku jego satysfakcji od tego czasu znalazł się w towarzystwie kilku gwiazd, ich ochroniarzy i przeróżnych darmozjadów z ich otoczenia.

Obejrzał w lustrze płatek swojego lewego ucha. Wciąż wahał się, jaki kolczyk wybrać: może złoty znak dolara, a może platynowy kiel rekina? Jedno i drugie pasowałoby do jego fachu, ale czy były wystarczająco męskie? Trudna decyzja. Będzie musiała poczekać.

Odszedł od lustra i począłpał do garderoby wybrać strój na ten dzień, coś odpowiedniego na rano wypełniony spotkaniami z klientami, lunch w Ivy i prywatny pokaz filmu wieczorem. Coś klasycznego - w końcu był prawnikiem, ale z odrobiną spontaniczności i luzu - bo przecież był prawnikiem w show - biznesie.

Po kilku minutach, ubrany w ciemnoszary garnitur z najcieńszej wełny, białą jedwabną koszulę rozpiętą pod szyją, pantofle od Gucciego i skarpetki w kolorze jaskrów, wziął swój BlackBerry ze stolika przy łóżku, posłał całusa mniej więcej w kierunku śpiącej żony i zszedł na dół, do kuchni, pełnej wspaniałości z granitu i nierdzewnej stali. Na blacie czekał dzbanek świeżej kawy, a także „Variety”, „The Hollywood Reporter” i „L.A. Times”, naszykowane przez służącą. Na niebie wisiało poranne słońce, zapowiadające kolejny piękny dzień. Wszystko było tak, jak - w mniemaniu członka hollywoodzkiej elity zawodowej - być powinno.

Roth nie mógł narzekać na karty, jakie rozdał mu los. Miał młodą, blondwłosą, modnie wychudzoną żonę, świetnie prosperującą kancelarię, pied - a - terre w Nowym Jorku, domek narciarski w Aspen i dom, który uważał za swoją kwaterę główną - dwupiętrową bryłę ze szkła i stali na grodzonym, pilnie chronionym osiedlu Hollywood Heights. To tu przechowywał swoje skarby.

Jak wielu współczesnych, zgromadził rozmaite akcesoria pozwalające błyszczeć w towarzystwie. Brylanty i garderoby pełne eleganckich kreacji dla żony, trzy Warhole i jeden Basquiat na ścianach salonu, krocząca postać dłuta Giacomettiego na tarasie i perfekcyjnie odnowiony mercedes gullwing w garażu. Jednak jego oczkiem w głowie - i, w pewnym sensie, przyczyną niejakiej frustracji - była jego kolekcja win.

Potrzeba było wielu lat i ogromnych pieniędzy, by skompletować - jak zapewnił Rotha nie byle kto, bo jego konsultant do spraw win, Jean - Luc - jedną z najlepszych piwnic w mieście. Być może najlepszą. Zawierała kalifornijskie czerwone wina z najwyższej półki i szeroki wybór najslynniejszych białych burgundów. Były w niej nawet trzy skrzynki wyśmienitego Yquem rocznik '75. Jednak klejnotami koronnymi kolekcji - i, co zrozumiałe, powodem do wielkiej dumy - było kilkaset butelek premier cru z Bordeaux. Pochodziły nie dość, że z pierwszego zbioru, to jeszcze z najlepszych roczników. Lafite Rothschild '53, Latour '61, Margaux '83, Figeac '82, Petrus '70 - wszystkie przechowywał w piwnicy pod domem, w temperaturze stale utrzymywanej w przedziale od dwunastu do czternastu stopni Celsjusza i przy osiemdziesięcioprocentowej wilgotności powietrza. Co jakiś czas powiększał kolekcję, kiedy gdzieś pojawiła się skrzynka na sprzedaż, lecz rzadko zdarzało mu się zabrać którąś z tych wspaniałych butelek na górę, żeby się napić. Wystarczał sam fakt ich posiadania. A przynajmniej tak było do niedawna.

W ostatnich tygodniach kontemplowanie zawartości piwnicy nie sprawiało Rothowi takiej przyjemności jak zwykle. Problem polegał na tym, że z wyjątkiem nader skąpego grona uprzywilejowanych szczęśliwców nikt nigdy nie widział tych butelek Latour, Margaux i Petrus, a ci, którzy tego zaszczytu dostępowali, często nie okazywali należytego zachwytu. Nie dalej jak zeszłego wieczoru goszcząca u niego para z Malibu miała okazję zwiedzić piwnicę - z winem wartym w sumie trzy miliony dolarów! - i nawet nie raczyła zdjąć okularów przeciwsłonecznych. Co gorsza, potem przy kolacji podziękowali za Opus One i zażądali mrożonej herbaty. Nie okazywali żadnego uznania, krztyny szacunku. To był wieczór, jaki doprowadziłby do łez każdego poważnego kolekcjonera win.

Kręcąc głową na to wspomnienie, Roth przystanął w drodze do garażu, by nacieszyć oczy widokiem: na zachodzie Beverly Hills, na wschodzie Thai Town i Little Armenia, na południu, za bezkresną, połyskującą w słońcu aglomeracją miejską, małe, wydawałoby się zabawkowe samoloty nad lotniskiem LAX. Może nie był to najpiękniejszy widok, zwłaszcza kiedy w powietrzu wisiał smog; ale był to widok z wysoka, widok rozległy i, co w tym wszystkim najlepsze, jego własny. Mój, tylko mój, myślał sobie czasem, zwłaszcza nocą, gdy światła w dole tworzyły ciągnący się kilometrami, błyszczący dywan.

Wsunął się do przytulnego wnętrza mercedesa i wciągnął w nozdrza aromat dobrze utrzymanej skóry i wypolerowanego drewna orzechowego. To był klasyczny model, jeden z tych najświetniejszych, tak stary, że kiedy powstał, nie znano jeszcze samochodowego pojemnika na napoje. Rafael, meksykański dozorca, dbał o niego jak o eksponat muzealny. Roth ostrożnie wyjechał z garażu i skierował się do swojej kancelarii na Wilshire Boulevard, wracając myślami do piwnicy z winem i tej pary durniów z Malibu, których i tak nigdy nie lubił.

Z myśli o nich płynnie przeszedł do bardziej filozoficznych rozważań o radości posiadania. I tu Roth musiał przyznać, że uznanie - a nawet zazdrość - innych były mu niezbędne do pełni szczęścia. Co to za satysfakcja, zadał sobie pytanie, mieć coś, czego pragną wszyscy, a czego prawie nikt nie może oglądać? Toż to byłoby prawie tak, jakby trzymał swoją młodą, blondwłosą żonę w zamknięciu, poza zasięgiem ludzkich spojrzeń albo skazał mercedesa na dożywotni pobyt w garażu. A mimo to, proszę bardzo, przechowywał najlepsze wina świata, warte miliony dolarów, w piwnicy, do której zaglądało nie więcej niż pół tuzina gości rocznie.

Zanim dotarł do prostopadłościanu z przyciemnianego szkła, w którym mieściła się jego kancelaria, doszedł do dwóch wniosków: po pierwsze, że nieostentacyjna konsumpcja jest dla mięczaków; i po drugie, że jego kolekcja win zasługuje na szerszą publiczność.

Wyszedł z windy i ruszył do swojego narożnego gabinetu, przygotowując się na codzienne *mano a mano* ze swoją sekretarką, Ceciliją Volpe. W gruncie rzeczy nie nadawała się do tej roboty. Była na bakier z ortografią, często miewała kłopoty z pamięcią i traktowała wielu klientów Rotha z wielkopańską wyższością. Jednak

wynagradzała mu to tym, że miała nadzwyczaj efektowne nogi, długie i zawsze opalone, dodatkowo wydłużone przez wydawało się niewyczerpane zapasy dziesięciocentymetrowych szpilek. No i była jedyną córką Myrona Volpe, obecnej głowy dynastii Volpe, która dwa pokolenia wcześniej wdarła się przebojem do branży filmowej i do dziś zachowała w niej rozległe, zakulisowe wpływy. Jak mawiała Cecilia, rodzina Volpe była hollywoodzkim odpowiednikiem królewskiego rodu.

Dlatego też Roth tolerował swoją sekretarkę przez wzgląd na jej koneksje, pomimo jej długich prywatnych rozmów telefonicznych, częstych przerw na poprawianie makijażu i tych straszliwych byków ortograficznych. Co się zaś tyczy samej Cecylii, dla której praca była wypełniaczem czasu między randkami, jej zadaniem w zasadzie było tylko dobrze wyglądać. Kancelaria Rotha zapewniała jej akceptowaną w towarzystwie bazę, niewymagającą wysiłku zajęcia (miała własną asystentkę, która zajmowała się wszystkimi męczącymi, ale istotnymi szczegółami) i, od czasu do czasu, dreszczyk emocji towarzyszący spotkaniom ze sławnymi i osławionymi klientami szefa.

Tarcia między Rothem a Cecylią były łagodne i zwykle ograniczały się do ożywionej wymiany zdań na temat terminarza, która rozpoczynała każdy dzień pracy. Tak było i tego ranka.

- Słuchaj - powiedział Roth, kiedy sprawdzili pierwsze nazwisko w jego kalendarzu spotkań, należące do aktora filmowego, który, odkąd przeszedł do telewizji, przeżywał renesans kariery. - Wiem, że nie jest twoim ulubieńcem, ale nic ci się nie stanie, jeśli będziesz dla niego miła. Wystarczy uśmiech.

Cecilia przewróciła oczami i wzdrygnęła się.

- Nie proszę o serdeczności. Proszę tylko, żebyś była uprzejma. A tak w ogóle, co ci się w nim nie podoba?

- Mówi na mnie „dzidzia” i ciągle próbuje łapać mnie za tyłek.

Roth mu się nie dziwił. Prawdę mówiąc, sam często miewał podobne pokusy.

- Chłopięcy entuzjazm - powiedział. - Młodzieńcze wybryki.

- Danny. - Znów przewróciła oczami. - Ma sześćdziesiąt dwa lata. Przynajmniej do tyłu się przyznaje.

- Dobrze, już dobrze. Zadowolili mnie lodowata uprzejmość. A teraz słuchaj... chodzi mi po głowie pewne osobiste przedsięwzięcie,

w którym mogłabyś mi pomóc, coś w stylu reportażu „z życia gwiazd”. Myślę, że to dla mnie odpowiedni moment.

Brwi Cecylii, dwa nienagannie wyregulowane łuki, były uniesione.

- O którą gwiazdę chodzi?

Roth mówił dalej, jakby jej nie usłyszał.

- Jak zapewne wiesz, mam wspaniałą kolekcję win. - Na próżno wypatrywał jakiegokolwiek zmiany wyrazu twarzy Cecylii, choćby drgnienia tych zastygłych brwi na znak uznania. - W każdym razie ją mam i gotów jestem udzielić właściwemu dziennikarzowi ekskluzywnego wywiadu w swojej piwnicy. Ogólna wymowa byłaby taka: nie jestem tylko maszyną do robienia interesów. Jestem też koneserem, gościem o dobrym guście, który docenia to, co w życiu piękne... winnice, roczniki, bordo i wszystko, co francuskie i pajęczynami obrośnięte. Co o tym sądzisz? Cecilia wzruszyła ramionami.

- Ty i setka innych. W Los Angeles jest pełno maniaków wina.

Roth potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz. To unikalna kolekcja. Chodzi o czerwone bordo z pierwszego zbioru, same najlepsze roczniki... przeszło pięćset butelek. - Zawiesił głos dla efektu. - Warta ponad trzy miliony dolarów.

Trzy miliony dolarów - to już coś Cecylii mówiło.

- Super - powiedziała. - Teraz rozumiem.

- Myślę o ekskluzywnym materiale w „L.A. Times”. Znasz kogoś z tej gazety?

Cecilia przez chwilę oglądała w zamyśleniu paznokcie.

- Właściciele. Znaczący, tatuś ich zna. Pewnie mógłby ich spytać, czy mają kogoś, kto by to napisał.

Roth uśmiechnął się, usiadł wygodnie i zajął się podziwianiem swoich skarpetek w kolorze jaskrów.

- Doskonale - oświadczył. - Czyli wszystko ustalone.

Termin wywiadu wyznaczono na sobotę rano i w domostwie Rothów wszyscy byli poinstruowani i gotowi. Michelle miała odegrać krótki epizod na początku spotkania - rolę uprzejmej gospodyni, która, jeśli jej wierzyć, czasem przegrywała walkę o względy męża z winem. Rafaelowi polecono, i to kilka razy, przystrzyc pnącza fioletowej bugenwilli obwieszające ścianę tarasu. Mercedes, lśniący po ostatnim

woskowaniu, tego akurat dnia niby przypadkiem stał zaparkowany na podjeździe. Z głośników ukrytych w ocienionych zakamarkach piwnicy sączył się koncert fortepianowy Mozarta. Wszędzie były dowody bogactwa, wyrafinowania i dobrego smaku. Roth zastanawiał się nawet, czy nie otworzyć jednej ze swoich cennych butelek, ale ostatecznie nie zdołał się zdobyć na takie poświęcenie. Dziennikarz i fotograf będą musieli się zadowolić krugiem, który chłodził się w kryształowym wiaderku z lodem na stole w piwnicy.

Czuwający przy bramie strażnik zadzwonił z wiadomością, że ludzie z „L.A. Times” już są. Michelle i Roth zajęli pozycje u szczytu schodów przed domem. Zaczekali, aż dziennikarze wysiądą, po czym dostojnie zeszli na dół.

- Pan Roth? Pani Roth? Miło mi państwa poznać. - Krzepki mężczyzna w wymiętym lnianym garniturze ruszył ku nim z wyciągniętą ręką. - Jestem Philip Evans, a ten chodzący sklep z aparatami fotograficznymi... - wskazał ruchem głowy młodego mężczyznę obwieszzonego sprzętem - ...to Dave Griffin. On jest od zdjęć. Ja od słów. - Evans obrócił się na pięcie, aż stanął twarzą na południe. - O rany. Macie państwo niesamowity widok.

Roth zbył całą panoramę władczy machnięciem ręki.

- To jeszcze nic. Proszę poczekać, aż zobaczy pan piwnicę. Michelle zerknęła na zegarek.

- Danny, muszę zadzwonić do kilku osób. Opuszczę was, chłopcy, pod warunkiem że obiecacie zostawić mi lampkę szampana. - Uśmiechnęła się, pomachała im na pożegnanie i wróciła do domu.

Roth zaprowadził gości do piwnicy i podczas gdy fotograf zmagał się z problemami światła i odbicia, wywiad się rozpoczął.

Evans był dość staroświeckim reporterem, w tym sensie, że bardziej interesowały go fakty niż spekulacje, i prawie cała godzina poszła na omówienie przeszłości Rotha: jego początków w show - biznesie, pierwszego kontaktu ze szlachetnymi winami, rosnącego zamiłowania do najlepszych roczników, urzędnika idealnej pod względem technicznym piwnicy. Dźwięki Mozarta w tle co jakiś czas zagłuszane były przez trzaski i furkot aparatu chodzącego tu i tam fotografa.

Roth, który spędził całe swoje życie zawodowe, przemawiając w imieniu klientów, stwierdził, że przyjemnie jest dla odmiany opowiadać uważnemu słuchaczowi o sobie. Tak przyjemnie, że



dopiero pytanie Evansa o najlepsze roczniki szampana przypomniało mu, że miał otworzyć kruga. I wówczas, jak to zwykle po lampce - dwóch bywa, rozmowa stała się bardziej swobodna i mniej dyskretna.

- Proszę mi coś zdradzić, panie Roth - zagaił Evans. - Wiem, że kolekcjonuje pan te wspaniałe wina dla przyjemności, ale czy nie kusi pana czasem, żeby je sprzedać? Przecież musi pan mieć tu zamrożone sporo pieniędzy.

- Zobaczmy - powiedział Roth, rozglądając się po stojakach z butelkami i starannie ułożonych jedna na drugiej drewnianych skrzynkach. - Za skrzynkę Latour rocznik '61 można by dostać sto - sto dwadzieścia tysięcy dolarów, za Margaux rocznik '83 jakieś dziesięć tysięcy, a za Petrus rocznik '70... cóż, w wypadku Petrus w grę zawsze wchodzi duże kwoty. Pewnie ze trzydzieści tysięcy, o ile w ogóle byłoby do zdobycia. Ilekroć wypija się butelkę z tego rocznika, cena idzie w górę, nie tylko ze względu na jakość wina, ale i jego niedostępność. - Dopełnił kieliszki i wbił wzrok w cieniuteńką spiralę wznoszących się bąbelków. - Ale odpowiadając na pańskie pytanie: nie, nie kusi mnie, żeby je sprzedać. - Uśmiechnął się. - Dla mnie to coś jak kolekcja sztuki. Sztuki w stanie płynnym.

- Tak w przybliżeniu - dążył Evans - jak pan sądzi, ile pańska kolekcja jest warta?

- W tej chwili? Bordo wyceniam na jakieś trzy miliony. I jego wartość z czasem będzie rosła. Jak mówiłem, im mniejsza dostępność, tym wyższa cena.

Fotograf, który wyczerpał artystyczne możliwości, jakie dawały butelki wina i piwniczne stojaki, ruszył w stronę Rotha ze światłomierzem w ręku.

- Pora na portret, panie Roth - powiedział. - Może stanie pan przy drzwiach, na przykład z butelką w ręku?

Roth chwilę pomyślał. Wreszcie, z nadzwyczajną ostrożnością, wyjął magnum Petrus rocznik 1970 z jego miejsca spoczynku.

- Może być? Dziesięć tysięcy dolców, jeśli w ogóle udałoby się wam drugie takie znaleźć.

- Doskonale. Teraz trochę w lewo, żeby światło padło na pańską twarz, i proszę trzymać butelkę przy ramieniu. - Trzask trzask.

- O właśnie. Butelka trochę wyżej. Lekki uśmiech. Znakomicie. Rewelacja. - Trzask trzask trzask. I tak jeszcze przez pięć minut, w

trakcie których Roth miał okazję przybierać rozmaite miny; to szczęśliwego konesera, to znowu poważnego inwestora w wino.

Roth i Evans zostawili fotografa, żeby spakował sprzęt, i zaczęli na niego przed piwnicą.

- Ma pan wszystko, czego panu potrzeba? - spytał Roth.

- Zdecydowanie tak - odparł dziennikarz. - To będzie naprawdę dobry artykuł.

I nie kłamał. Cała strona w dziale „Weekend” (jak można było przewidzieć, opatrzona nagłówkiem „U Rotha w piwnicy”), z dużym zdjęciem Rotha tulącego butelkę wina i kilkoma mniejszymi fotkami piwnicy, którym towarzyszył stosownie szczegółowy i pochlebny tekst. Był nie tylko pochlebny, ale i pełen ciekawostek, jakich oczekują miłośnicy wina - od liczby wyprodukowanych butelek każdego rocznika po opisy wrażeń z degustacji pióra takich ekspertów jak Broadbent i Parker; od szczepów winogron po informacje dla wtajemniczonych, jak data rozpoczęcia zbioru, długość maceracji, rodzaj gleby i zawartość taniny. A tu i tam, powtykane w tekst jak trufle w foie gras, pojawiały się ceny. Większość podana była od skrzyńki lub butelki, ale część przeliczono na mniejsze, tańsze ilości, na przykład dwieście pięćdziesiąt dolarów za lampkę czy nawet (w wypadku Yquem) siedemdziesiąt pięć dolarów za łyk.

Roth przeczytał artykuł raz, potem drugi, i był ze wszech miar zadowolony. Miał wrażenie, że wyszedł na znajomego się na rzeczy, poważnego człowieka. Uniknął popisywania się i nuworyszostwa, to znaczy, o ile czytelnik przymknie oko na przelotne wzmianki o jego domku w Aspen i słabości do prywatnych odrzutowców. Nawet one jednak były całkowicie dopuszczalne, ba, normalne w wyższych sferach Kalifornii dwudziestego pierwszego wieku. Dlatego też, ogólnie rzecz biorąc, Roth był przekonany, że artykuł swój cel osiągnął. Świat - przynajmniej ten świat, który się liczył, jego świat - dowiedział się o nim, że jest nie tylko majątnym, odnoszącym sukcesy biznesmenem, ale i amatorem szlachetnych win, istnym patronem winnego grona.

W następnych dniach po ukazaniu się artykułu wiele razy uzyskał tego potwierdzenie. Szefowie sali i sommelierzy z jego ulubionych restauracji traktowali go z nieco większą atencją niż dotychczas i potakiwali z aprobatą, kiedy wybierał wina z karty. Znajomi z branży dzwoniли do niego, żeby zasięgnąć rady w sprawie swoich - rzecz

jasna nie tak znakomitych - piwnic. Artykuł przedrukował też „International Herald Tribune”, rozpowszechniany na całym świecie. Wydawało się, że Danny Roth z dnia na dzień stał się specem od wina.

## Rozdział 2

W Los Angeles nastąpiła Wigilia i wszędzie widać było obrazki tradycyjnie kojarzone z tym najradośniejszym ze świąt. Święci Mikołajowie w okularach przeciwsłonecznych - niektórzy ubrani w czerwone szorty tytułem ustępstwa na rzecz upału - pobrzękiwali dzwoneczkami, machali sztucznymi brodami i rozbijali obozy w bogatych dzielnicach. W Beverly Hills kilka co bardziej świątecznie wyglądających trawników oprószył sztuczny śnieg importowany z Chin. Rodeo Drive skrzyła się błyskami platynowych kart American Express. Bar na Wilshire oferował przedłużoną „happy hour” od jedenastej wieczorem do północy, z dodatkową zachętą w postaci ekologicznych martini. Z kolei funkcjonariusze policji Los Angeles, przepelnieni duchem życzliwości do bliźnich, z niezwykłą hojnością rozdawali mandaty za złe parkowanie i jazdę w stanie wskazującym.

Kiedy wieczorny zmrok przeszedł w ciemną noc, karetka pogotowia przebiła się przez wigilijne korki na Bulwarze Zachodzącego Słońca, wjechała pomiędzy wzgórze i zatrzymała się przed szlabanem broniącym dostępu do Hollywood Heights. Strażnik, ziewający z nudów po kilku godzinach bez żadnych atrakcji, wyłonił się z klimatyzowanego wnętrza budki i przyjrzał dwóm mężczyznom w karetce.

- Co się stało?

Kierowca w nieskazitelnie czystym białym kitlu wystawił głowę przez okno.

- Chyba coś poważnego, dowiemy się na miejscu. Wezwanie z domu państwa Roth.

Strażnik skinął głową i wrócił do swojej miniaturowej fortecy, żeby zadzwonić do państwa Roth. Obserwowany przez kierowcę, jeszcze raz skinął głową i odłożył słuchawkę. Szlaban podniósł się. Strażnik odnotował wizytę w rejestrze, spojrzął na zegarek i zobaczył, że do końca zmiany zostało mu już tylko dziesięć minut. Jego zmiennik miał pecha: spędzi resztę Wigilii w budce wartowniczej, oglądając powtórki w telewizji.

Przed Chateau Roth na karetkę czekał człowiek, który dał strażnikowi zielone światło, wyraźnie podenerwowany Rafael. Miał pilnować domu pod nieobecność właścicieli, którzy wyjechali na Święta do Aspen, i tylko myśl o zniknięciu za granicą z Meksykiem z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce skłoniła go do tego,

by porzucić swoje przyjemne, choć nielegalne zajęcie. Zabrał dwóch mężczyzn z karetki do piwnicy i wpuścił ich do środka.

Niespiesznie i metodycznie wciągnęli gumowe rękawiczki, po czym wyładowali puste tekturowe kartony z nazwą winiarni w Napa Valley. Wstępny obchód piwnicy wykazał, że butelki bordo zajmują oddzielny sektor, co było korzystne. Stracą mniej czasu na przeszukiwanie stojaków. Zaglądając do swojej listy, zaczęli pakować butelki do kartonów. Odhaczali kolejne nazwy i roczniki. Żeby Rafaelowi się nie nudziło, kazali mu wkładać pełne kartony na tył karetki, przestrzegłszy go, że jeśli coś potłucze, będzie go to drogo kosztować.

W jednym kartonie mieściło się dwanaście butelek zwykłych albo sześć półtoralitrowych, i kiedy mężczyźni skończyli, w karetkce było czterdzieści pięć pełnych kartonów. Jeszcze raz sprawdzili, czy wszystko się zgadza, i rzuciwszy ostatecznie, pełne żalu spojrzenie na kalifornijskie wina Rotha i jego pudełko cygar hawańskich sprzed epoki Castro, zgasili światła w piwnicy i zamknęli drzwi. Teraz nadszedł czas, aby dokonać kilku przeróbek wnętrza karetki.

Kartony zostały ułożone w równych stosach po bokach noszy i nakryte szpitalnymi kocami. Rafael, teraz już tak zdenerwowany, że bardzo niewiele brakowało, by autentycznie wymagał pomocy lekarskiej, spoczął na noszach, ciasno opatulony i podłączony do kroplówki z niby - morfiną mającą łagodzić ból jego niby - pękniętego wyrostka robaczkowego. Tak przygotowana karetka podjechała do budki wartowniczej, gdzie zatrzymała się na chwilę tylko tyle, żeby można było złożyć strażnikowi szybkie życzenia wesołych Świąt, nim błyskając światłami, zniknęła pośród nocy.

Kierowca uśmiechnął się szeroko, kiedy usłyszał szuranie w tylnej części karetki.

- No dobra, Rafael, pora wstawać. Wysadzimy cię, zanim wjedziemy na autostradę. - Wyjął z kieszeni pękatą kopertę i podał ją do tyłu przez ramię. - Lepiej przelicz. Cała suma w studolarowych banknotach.

Pięć minut później karetka skręciła w ciemny zaułek, żeby wypuścić Rafaela. Następnym przystankiem był garaż na jeszcze ciemniejszej ulicy w zaniedbanej części zachodniego Los Angeles, gdzie kartony wina przeniesiono do nieoznakowanej furgonetki. Pozostało jeszcze tylko zdjąć tablice rejestracyjne z karetki i porzucić

ją na parkingu pobliskiego szpitala, po czym dwaj mężczyźni pojechali furgonetką w stronę Santa Barbara.

### Rozdział 3

Roth bawił się w Aspen lepiej niż zwykle. Wiele głośnych nazwisk przybyło pojeździć na nartach i pokazać się, co dało mu okazję do pielęgnowania znajomości z kilkoma potencjalnymi klientami. Ku jego zaskoczeniu, bardzo pomógł w tym artykuł z „L.A. Times”. Choć ukazał się dawno, bo we wrześniu, członków elity, którzy sami siebie nazywali „entuzjastami wina”, było w tym roku mnóstwo i wszyscy oni czytali o kolekcji Rotha. Tradycyjne tematy rozmów w Aspen - romanse pozamałżeńskie, porady giełdowe, chirurgia plastyczna, zdzierstwo wytwórni filmowych - ustąpiły miejsca dyskusjom o piwnicach i rocznikach, zaletach bordo i win kalifornijskich, optymalnych okresach leżakowania i, oczywiście, cenach wina.

Roth ani się obejrzał, a już przemawiał przed małymi, ale łowiącymi każde jego słowo grupkami słuchaczy, powszechnie znanych postaci, do których grona normalnie raczej nie miałyby dostępu, i nie umknęło jego uwagi, jakie daje mu to możliwości. Dziś wino; jutro, kto wie, może jakiś smakowity kęs w związku z takim czy innym kontraktem. Przez cały ten śnieżny świąteczny tydzień narty Rotha leżały nietknięte, a Michelle miała ich osobistego instruktora narciarstwa tylko dla siebie.

Rothowie wrócili do domu odrzutowcem w towarzystwie pary, którą słabo, bo słabo, ale znali z Los Angeles, a która była pod wielkim wrażeniem tego, w jak znamienitym towarzystwie obracał się Roth. Zbył ich komplementy machnięciem ręki i poskarżył się żartobliwie, że przez nadmiar zajęć nie starczyło mu czasu na narty. Sugerowało to, że przez cały ten czas rozmawiał o interesach, nie o bordo, i nie miał nic przeciwko temu, by tak to zostało odebrane. To było udane zakończenie nad wyraz udanego weekendu.

Jego dobry nastrój trwał aż do wieczora, kiedy to wrócili z żoną do domu w Hollywood Heights, a Rafael nie wyszedł im na powitanie. Nie zostawił też kartki z wyjaśnieniem swojej nieobecności. To było niezwykle i niepokojące. Jednak w miarę jak zaglądali do kolejnych pokoi, zaczęli się uspokajać. Warhole były na ścianach, Giacometti wciąż paradował po tarasie, a dom wyglądał na nietknięty. W szafie w małym mieszkaniu Rafaela w suterenie wciąż wisiły ubrania, a jego łóżko było starannie posłane. Nic nie wskazywało na to, by nagle

wyjechał. Rothowie poszli wcześniej do łóżka, zdumieni, poirytowani, ale niezbyt zaniepokojeni.

Roth zszedł do piwnicy dopiero następnego ranka.

- Jezu Chryste! - Na ten ryk rozpaczy Michelle mało nie spadła ze stairmastera. Pospieszyła do piwnicy, gdzie zastała Rotha wpatzonego jak zahipnotyzowany w ścianę zupełnie pustych stojaków na wino.

- Moje bordo! Wszystkie butelki, do licha! Wszystkie co do jednej. - Roth zaczął chodzić w tę i z powrotem, z furją zaciskając i rozwierając pięści. Włochaty człowiek rwałby sobie włosy z głowy. - Jak dorwę gnoja, to go zabiję. Serce mu wyrwę. - Mamrocząc pod nosem coraz bardziej makabryczne groźby, poszedł na górę poszukać swojego BlackBerry.

Zadzwoił najpierw do strażnika w budce wartowniczej, zaraz potem na policję, a na koniec do swojej firmy ubezpieczeniowej.

Pierwszy zjawił się strażnik, ściskający w ręku księgę wizyt. Do tego czasu Roth jako tako odzyskał zdolność składnego mówienia.

- No dobra, chcę wiedzieć, kto i kiedy dostał się do mojego domu, i dlaczego, do cholery, nie zatrzymano ich przy wjeździe.

- Jego palec dźgnął strażnika w pierś. - I chcę poznać nazwisko kretyna, który miał wtedy dyżur.

- Już się robi, panie Roth. - Strażnik, modląc się w duchu o to, by tym kretynem nie okazał się on sam, zajrzał do rejestru, po czym podniósł twarz, na której triumf mieszał się z ulgą.

- Mam. W Wigilię wezwano pogotowie. Karetka przyjechała o 20:20, odjechała o 22:50. Dyżur miał Tom. Pański dozorca pozwolił ją wpuścić.

- Nie wątpię. Gnojek jeden. - Roth zabrał strażnikowi księgę wizyt i wbił w nią wzrok, jakby liczył na dalsze rewelacje.

- To wszystko? Bez nazwy szpitala? Bez danych lekarza? Jezu.

- Mamy numer rejestracyjny. I zdaje się, powiedzieli, że to nagły przypadek.

- Taa, jasne. Pilno im było położyć łapę na moim winie. - Roth pokręcił głową i oddał księgę strażnikowi, który wycofał się grzecznie. W tej samej chwili, kiedy wrócił do budki wartowniczej, przyjechała policja; dwaj znudzeni detektywi obarczeni zadaniem, które, jak czuli, okaże się stratą czasu.

- No dobra - powiedział Roth, kiedy zajechali przed dom.



- Szczędrze wspieram P.T.D., więc miło byłoby choć raz dostać coś w zamian. Proszę za mną. - Detektywi pokiwali głowami jak jeden mąż, myśląc o tym samym. Następny ważniak, który co roku na Gwiazdkę wysyła Policyjnemu Towarzystwu Dobroczynnemu czek na sto dolarów i oczekuje specjalnego traktowania.

Ledwo przestąpili próg piwnicy, Roth zaczął.

- Widzicie? - powiedział, wskazując puste stojaki. - Wino o wartości trzech milionów dolarów, zbierane przez dziesięć lat, nie do zastąpienia. Zupełnie. Dranie wiedzieli, co robią. Zabrali tylko bordo.

- Panie Roth. - Starszy z detektywów wyjął notes, a jego partner zaczął rozglądać się po piwnicy. - Chciałbym poznać kilka szczegółów. Po pierwsze, kiedy...

- Szczegóły? Proszę bardzo. W Wigilię, kiedy nas nie było, pod bramę zajechała karetka z jakąś durną historyjką o nagłym przypadku. Ochroniarz zadzwonił do domu i dozorca kazał ją wpuścić.

- Nazwisko dozorca?

- Torres. Rafael Torres.

- Meksykanin?

- A pan myśli, że kto? Żyd?

Detektyw westchnął. Przemądrzały dupek.

- Panie Roth, muszę pana o coś spytać. Czy pański dozorca miał zieloną kartę? Ubezpieczenie społeczne? Innymi słowy, czy był zatrudniony legalnie?

- No, właściwie to nie. Ale co to zmienia? Wpuścił ich, a oni widocznie zabrali go ze sobą. Bo kiedy wczoraj wieczorem wróciliśmy z Aspen, tu go nie było. Sprawdziliśmy dom. Nic nie zginęło. I dopiero dziś rano zajrzałem do piwnicy. - Roth odwrócił się do pustych stojaków i rozłożył ręce. - Trzy miliony dolarów.

Detektyw podniósł wzrok znad notatek, kręcąc głową.

- Kłopot w tym, panie Roth, że mamy dziś trzydziesty pierwszy grudnia. Od kradzieży upłynęło całych sześć dni. Złodzieje wiedzieli, czego chcą, i znaleźli sposób, by tu wejść i to zabrać. Poszukamy odcisków palców, ale... - Znow pokręcił głową. - To robota profesjonalistów. Na pewno nie zostawili swojego adresu.

Tym razem to Roth westchnął. Glina - mądrała. Tylko tego mu brakowało.

Detektyw skończył pisać i schował notes.

- Jeszcze dziś przyślemy ekipę śledczą, porozmawiamy też ze strażnikiem. Może coś w tej karetce zwróciło jego uwagę. Odezwiemy się do pana, jak tylko będziemy coś mieli. Tymczasem proszę nie dotykać niczego w piwnicy.

Roth spędził resztę poranka przy telefonie. Najpierw zadzwonił do Cecylie Volpe, ale odebrała recepcjonistka. Przypomniała mu, że dał Cecilii urlop okolicznościowy, żeby mogła sobie zrobić treski i spryskać ciało samoopalaczem - przygotowania do zabawy sylwestrowej. Musiał więc osobiście przekładać spotkania zaplanowane na ten dzień. Michelle miotła się od szafy do szafy, zaprzątnięta szykowaniem odpowiedniej kreacji na imprezę w Beverly Hills, na którą wybierali się tego wieczoru. Roth, pozostawiony sam sobie, krążył po domu z telefonem przyciśniętym do ucha. Ilekroć myślał o swojej piwnicy, ziejąca w niej pustka wydawała się coraz większa. Nawet widok z tarasu ginął w grubej warstwie smogu. Zanim nadeszło wczesne popołudnie, pora, kiedy miał się spotkać z przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej, nabrał przekonania, że los uwziął się na niego. Żal nad samym sobą mieszał się z gniewem, i gniew brał górę.

Elena Morales, wiceprezes Knox Worldwide do spraw roszczeń prywatnych, czyli niekorporacyjnych, przybyła punktualnie o trzeciej. W normalnych okolicznościach Roth starałby się ją oczarować; Elena była - jak słyszała od swoich licznych wielbicieli - stanowczo za ładna, żeby pracować w ubezpieczeniach. Miała oczy koloru ciemnej czekolady, kruczoczarne włosy i ciało, które pod każdym względem spełniało wyśrubowane hollywoodzkie standardy. Dziś jednak nic z tego dla Rotha się nie liczyło.

Ledwie Elena dała mu swoją wizytówkę, a już nadał ton spotkaniu.

- Mam nadzieję, że nie będzie mi pani wciskać tych typowych pierdół firm ubezpieczeniowych.

Elena była przyzwyczajona do takich reakcji - a nawet, bywało, napadów złości - swoich zamożnych klientów. Bogaci, odcięci od świata przez pieniądze i chronieni przez przywileje, byli z natury nieprzygotowani do tego, by radzić sobie z brutalnymi realiami. W obliczu jakiegokolwiek straty zwykle zachowywali się jak rozpuszczone dzieci - samolubnie, niemądrze, często histerycznie. Widziała to już nieraz.

- Jakież to typowe pierdoły firm ubezpieczeniowych ma pan na myśli, panie Roth?

- Dobrze pani wie. Wszystkie te pisane drobnym drukiem bzdury o okolicznościach łagodzących, warunkach umowy, ograniczonej odpowiedzialności, niepełnym pokryciu ubezpieczeniowym, sile wyższej, lukach w polisie, klauzulach zwalniających od odpowiedzialności... - Roth zrobił przerwę, żeby zaczerpnąć tchu i poszukać kolejnych przykładów niegodziwych praktyk firm ubezpieczeniowych.

Elena milczała. Doświadczenie nauczyło ją, że trzeba dać działać naturze. Wszystkim klientom prędzej czy później zaczynało brakować tchu albo inwektyw.

- No i? - powiedział Roth. - Nie mówimy tu o marnych groszach, tylko o trzech milionach dolarów.

Elena zerknęła na przyniesioną przez siebie kopię polisy ubezpieczeniowej Rotha. Wina bordoskie, zgodnie z jego zaleceniem, były ubezpieczone oddzielnie, ale nie aż na trzy miliony. Westchnęła.

- Ściśle mówiąc, panie Roth, umowa opiewa na dwa koma trzy miliona dolarów. Ale o tym możemy porozmawiać później. Dobrze zatem. Kontaktowałam się już z policją, więc znam większość szczegółów, choć oczywiście będziemy musieli przeprowadzić własne dochodzenie.

- Ile lat to potrwa? Wino zniknęło. Było ubezpieczone. Czego wam jeszcze potrzeba?

Elena spojrzała na żyłkę pulsującą w skroni Rotha, przypominającą rozedrganą, wściekłą dżdżownicę.

- Obawiam się, że tego wymaga nasza procedura odszkodowawcza, panie Roth. Nie możemy wypłacać wysokich sum, dopóki nie uzyskamy wystarczającej wiedzy o okolicznościach kradzieży. Przykro mi, ale to ogólnie przyjęta praktyka. Pański przypadek jest nieco bardziej złożony przez to, że kradzież bez wątplenia umożliwił jeden z pańskich domowników. Musimy dochować należytej staranności, to wszystko.

- Oburzające. - Roth wstał, podszedł do siedzącej Eleny i spojrzał na nią z góry gniewnym wzrokiem. - Insynuuje pani, że maczałem w tym palce? Tak mam to rozumieć?

Elena wstała i schowała polisę Rotha do teczki.

- Niczego nie insynuuję, panie Roth. - Zatrzasnęła teczkę. - Nie sądzę, żebyśmy mogli dziś wiele zdziałać. Może kiedy trochę się pan uspokoi, będzie pan w stanie przemyśleć...

- Powiem pani, co już przemyślałem. Ukradziono mi wino o wartości trzech milionów dolarów, a wy z tymi waszymi przekłętymi procedurami i niedorzecznymi praktykami robicie, co się tylko da, żeby uchylić się od waszych prawnych obowiązków.

Albo odzyskam swoje wino, albo chcę dostać potwierdzony czek na trzy miliony dolarów. Wyrażam się jasno? Elena ruszyła do drzwi.

- Bardzo jasno, panie Roth. Nasz śledczy skontaktuje się z panem. Szczęśliwego Nowego Roku.

Niepotrzebnie to powiedziałam, pomyślała Elena, jadąc z powrotem do swojego biura. Pewnie dostał zawału. Nie pierwszy raz zaczęła się zastanawiać, czy pieniądze, które jej płacą, to wystarczająca rekompensata za arogancję i nieuczciwość, jakie musiała znosić. Co za bezczelny typ: próbował zawyżyć wartość ubezpieczonego wina o siedemset patyków. Zadzwoiła jej komórka. To był szef.

- Dzwonił Roth. Coś czuję, że spotkanie nie było udane. Zajrzyj do mnie, jak wrócisz do biura.

Prezes Knox Worldwide, starszy pan o dobroduszej powierzchowności, pod którą skrywał się błyskotliwy umysł i zawodowa niechęć do wypłacania odszkodowań, wstał, kiedy Elena weszła do jego gabinetu. Między innymi za to właśnie lubiła Franka Knoxa: wnosił odrobinę kurtuazji do coraz bardziej wulgarne go świata. Wyszedł zza biurka i zasiedli w dwóch sfatygowanych fotelach klubowych przy oknie. To, że wystrój gabinetu nie zmienił się od trzydziestu pięciu lat, było dla Knoxa małym powodem do dumy. Masywne biurko, ciężkie biblioteczki z orzecha, piękne, stare orientalne dywaniki (teraz już nieco wyliniałe) i popękane olejne obrazy przedstawiające jelenie i inne szlachetne stworzenia - wszystko to pochodziło z ubiegłego stulecia. Jak sam Knox, otaczające go przedmioty były eleganckie, podniszczone i przyjazne.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Kolejny dzień pełen wrażeń w Hollywood. Opowiadaj.

Elena powtórzyła wszystko, czego dowiedziała się od detektywa prowadzącego śledztwo, i w skrócie opisała zachowanie Rotha, włącznie z jego próbą zawyżenia wartości ubezpieczenia wina.

- Frank, uwierz mi. Praktycznie toczył pianę z ust. Mówił od rzeczy. Nie było sensu, żebym tam została.

Starszy pan skinął głową.

- Przez telefon robił podobne wrażenie. - Wyrzął przez okno, bębniąc palcami w poręcz fotela. - Zobaczymy. Do kradzieży doszło sześć dni temu, dość czasu, by wszyscy uciekli. Zdaniem policji sprawcy byli zawodowcami. Mieli wtyczkę, nielegalnego imigranta. Uważam, że nie ma szans go namierzyć. No i nasz przyjaciel Roth aż się trzęsie, tak pilno mu dostać potwierdzony czek.

- Na trzy miliony - powiedziała Elena.

- Chciałby. Niestety dla niego, wykupił polisę tylko na dwa miliony trzysta tysięcy. Jednak nawet taka kwota ma dla mnie sporą wartość sentymentalną i przykro byłoby się z nią rozstać. - Knox wychylił się do przodu. - Mówiłaś, że ile butelek ukradli?

- Pięćset do sześciuset, jeśli wierzyć Rothowi.

- Cóż, trzeba będzie trochę czasu, żeby to wypić. Może tego właśnie powinniśmy szukać: nie złodziei, tylko wina. Niełatwo będzie się pozbyć pięciuset butelek, chyba że to była robota na zamówienie. - Wstał i uśmiechnął się do Eleny. - Potrzebny nam pies gończy. Masz jakieś pomysły?

## Rozdział 4

Elena siedziała za swoim biurkiem i rozważała możliwości działania. Sądząc z jej niedawnej rozmowy z policją, śledztwo nie będzie prowadzone zbyt energicznie. Trop zdążył się zatrzeć, nie było wyraźnego punktu zaczepienia. Już widziała oczami wyobraźni, jak akta tej sprawy latami zbierają kurz.

W dochodzeniach, które prowadziła w przeszłości, korzystała z pomocy niezależnych likwidatorów szkód, śledczych specjalizujących się w różnego rodzaju przestępstwach i katastrofach, poczynając od kradzieży biżuterii, a na zawaleniach budynków mieszkalnych kończąc. Ale wino? Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z kradzieżą wina - i to tak dużej ilości. Pięćset butelek podprowadzonych sprawnie jak podczas operacji wojskowej. Jedno było pewne: skradzione butelki nie pojawią się na eBayu. To musiała być robota na zamówienie, zlecenie zaplanowane i sfinansowane przez Bóg raczy wiedzieć kogo, pewnie innego kolekcjonera. Jeśli tak, pozostawało tylko znaleźć konesera wina, który ma przestępcze skłonności. Bagatela. Nie mogło być ich więcej niż kilka tysięcy, porozrzucanych po całym świecie.

Frank powiedział, że potrzebny im będzie pies gończy. Musiał to jednak być pies gończy inny niż wszystkie; pies gończy z wyobraźnią i niekonwencjonalnymi kontaktami, najlepiej taki, który zna metody działania przestępców z pierwszej ręki.

Rozmyślając, Elena wertowała swój wizytownik Rolodex. Zatrzymała się na literze L. Spojrzała na nazwisko na fiszce i westchnęła. Nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek nadawałby się najlepiej. Ale czy na pewno chciała, by znów stał się częścią jej życia? Tym razem zachowaj dystans i podejdź do tego profesjonalnie, powiedziała sobie, kiedy połączyła się przez interkom z sekretarką.

- Zadzwoń do Sama Levitta, dobrze? Mieszka w Chateau Marmont.

CV Sama Levitta - gdyby był na tyle głupi, by je sporządzić - stanowiłoby niezwykłą lekturę.

Kiedy kończąc prawo, głowił się, jak spłacić kredyt studencki, zainteresował się działalnością przestępczą jako sposobem na zdobycie dużych sum pieniędzy. Ponieważ jednak nie był człowiekiem agresywnym, myśl o stosowaniu przemocy wydawała mu się odstręczająca. Przemoc była zbyt prymitywna, zbyt grubiańska

i - co też miało niepoślednie znaczenie - zbyt niebezpieczna. Zafascynowało go natomiast wykorzystanie inteligencji jako narzędzia zbrodni. Mózgu zamiast pistoletu.

Jak przystało na młodego człowieka, który postanowił być przestępcą niestosującym przemocy, został radcą prawnym. Harował od świtu do nocy i sporo zarabiał. I dzięki temu, że do jego obowiązków należało zabawianie klientów, rozsmakował się w wykwinnym jedzeniu i dobrym winie. Miał jednak pewien kłopot, z roku na rok coraz bardziej dotkliwy. Było to znużenie, o jakie przyprowadzali go ci klienci: nudziarze, którzy dzięki chciwości i sprytowi zbili fortuny i koniecznie chcieli je pomnożyć. Spece od ogałacania spółek z aktywów, piraci spod znaku wykupu kredytowanego, magnaci przejmowania firm - ludzie, dla których giełda była świątynią. Levitt coraz bardziej męczył się w ich towarzystwie i coraz trudniej mu było ukrywać obrzydzenie do ich świata.

Miarka przebrała się podczas pewnego wyjazdu integracyjnego, orgii urządzonej w celu zbratania się kadry kierowniczej, która dla niego skończyła się kacem i głęboką depresją. Pod wpływem impulsu złożył wypowiedzenie i zaczął rozglądać się za działalnością przestępczą, która byłaby prostsza i, w pewnym sensie, uczciwsza. „Gotowy na wszystko” - tak brzmiało jego nowe motto, z zastrzeżeniem, że broń, bomby i narkotyki odpadają.

I tu właśnie wyimaginowane CV Levitta staje się ubogie w szczegóły i nieco mętne. Spędził trochę czasu w Rosji, poznał też dość dobrze pewne regiony Ameryki Południowej i Afryki. Jak później twierdził, zajmował się wówczas importem i eksportem; to było kilka gorączkowych lat, obfitujących w wielkie niebezpieczeństwa i wielkie sukcesy. Okres ten zakończył się krótkim, ale nieprzyjemnym i przez to pamiętnym pobytem w kongijskim więzieniu, który kosztował go trzy złamane żebra, złamany nos i pokaźną łapówkę za odzyskanie wolności. Tamto doświadczenie skłoniło go do refleksji, że może przyszła pora, by zmienić fach. Wzorem wielu Amerykanów, którzy jak on potrzebowali czasu i oddechu, by przemyśleć życiowe decyzje, pojechał do Paryża.

Pierwszych kilka tygodni poświęcił na nadrobienie zaległości w dziewczynach i gastronomii, czyli wszystkim tym, czego brakowało mu w Afryce. Paryż szybko uzmysłowił Samowi, jak mało wiedział o

czymś, za czym tak bardzo przepadał: o winie. Jak większość amatorów o wrażliwym podniebieniu, potrafił odróżnić dobre od przeciętnego i wyśmienite od dobrego. Często jednak zdarzało się, że kusicielskie podszepty sommelierów nic a nic mu nie mówiły. Także paryskie karty win pełne były nieznanych mu chateaux. To go drażniło. Chciał wiedzieć, nie zgadywać. I dlatego, korzystając z tego, że miał pod dostatkiem czasu i pieniędzy, postanowił szarpnąć się na półroczny kurs w Universite du Vin w Suze - la - Rouse, skarbnicy wiedzy dogodnie ulokowanej w regionie Cotes - du - Rhone.

Czuł się tam znacznie lepiej niż na prawie. Rzecz jasna sam przedmiot studiów był bez porównania przyjemniejszy. Wielonarodowa brać studencka - Francuzi, Anglicy, Chińczycy, kilku pionierów z Indii i, jakżeby inaczej, jeden Szkot - była dużo ciekawsza. Wycieczki do Hermitage (ojczyzny najbardziej „męskich” win świata), Cote - Rotie, Cornas i Chateauneuf - du - Pape były przepyszne i pouczające. Zaczął podłapywać francuski i nawet przeszło mu przez myśl, żeby kupić winnicę. Czas mijał szybko.

Nie był jednak gotów zaszyć się na francuskiej prowincji i po latach wojaży ciągnęło go do Ameryki. Jak bardzo zmieniła się pod jego nieobecność? Jak bardzo zmienił się on sam?

Pod jednym względem wcale. Nadal fascynowały go pomysłowe, bezkrwawe przestępstwa, i pod koniec kursu coraz częściej nachodziły go myśli, by znów się nimi zająć - tylko pod innym kątem. Wspomnienia z więzienia w Kongo były wciąż żywe. Tym razem, postanowił, stanie po stronie prawa jako śledczy i konsultant w sprawach kryminalnych. Czy, jak sam o sobie myślał, kłusownik, który został leśniczym.

Kiedy człowiek lubi żyć w słońcu, jest rzeczą praktycznie nieuniknioną, że na swoją bazę wypadową wybierze Los Angeles. To miasto ma wszystko: cudowny klimat, pieniądze i zbytek, wysoką liczebność multimilionerów zamieszanych w lewe interesy, niecne wybryki branży filmowej, obfitość ślicznotek i gwiazd - innymi słowy, to, co niezbędne do hulanki i swawoli. I wystarczył krótki rekonesans, by Sam znalazł idealne dla siebie lokum.

Chateau Marmont, schowany na uboczu, przy uliczce odchodzącej od Bulwaru Zachodzącego Słońca w zachodnim Hollywood, w zamyśle miał być pierwszym w Los Angeles budynkiem mieszkalnym odpornym na trzęsienia ziemi. Pech chciał,



że oddano go w 1929 roku, kiedy to finansowe wstrząsy na Wall Street i Wielki Kryzys spowodowały, że ludzie przestali kupować mieszkania. Łatwiej było sprzedawać pokoje, i tak oto Chateau zmienił się w hotel z apartamentami wielkości mieszkań.

Sam uważał to za ogromny plus, zresztą, nie jedyny: bo do tego dochodził brak obowiązków domowych, wdzięk i fachowość personelu, dyskretne wejście, dogodne położenie, swobodna atmosfera. W odróżnieniu od większości nowoczesnych hoteli, budowanych według jednego szablonu, Chateau miał charakter, wyrazistą osobowość. No i stałe apartamenty dla dożywotnich gości. Po próbnym pobycie Sam został jednym z nich. Wprowadził się do apartamentu na piątym piętrze i zaczął szukać klientów, co w Los Angeles nie było zbyt trudne. Zawsze trafił się jakiś bogacz w opałach.

Fakt, że nie miał kłopotów z pieniędzmi, pozwalał mu wybierać tylko te sprawy, które go interesowały: co bardziej niezwykle szwindle i przekręty, co bardziej tajemnicze zniknięcia i oszustwa, co bardziej zuchwałe kradzieże w wyższych sferach. Odnalazł swoją niszę i wkrótce wyrobił sobie w pewnych kręgach opinię człowieka, który jest skuteczny i trzyma gębę na kłódkę.

Elena dodzwoniła się do niego, kiedy odpoczywał po intensywnej półgodzinie w siłowni na hotelowym poddaszu.

- Sam, tu Elena. - Zawahała się. - Przeszkadzam? Jesteś zdyszany.

- To dlatego, że słyszę twój głos. Zawsze tak na mnie działa. Co u ciebie?

- Robota. Dlatego dzwonię. Muszę z tobą pogadać. Zjemy jutro razem lunch?

- Jasne. Przyjdiesz do mnie? Jak za dawnych lat?

- Nie, Sam. Nie przyjdę do ciebie i nie będzie jak za dawnych lat. To sprawa służbowa. Pamiętaj, służbowa.

- Masz serce z kamienia. Zarezerwuję stolik na dole na wpół do pierwszej. Aha, i...

- Co?

- Miło będzie cię znowu zobaczyć. Tyle czasu minęło. Odkładając słuchawki, oboje się uśmiechali.

Sam zarezerwował swój zwykły stolik, stojący na uboczu i częściowo schowany za bujną roślinnością, dzięki której na

dziecińcu było tak zielono i przyjemnie. Kiedy patrzył na prowadzoną do niego Elenę, zobaczył, że odwracają się za nią wszystkie głowy. Czy była kimś sławnym? Z kim się tu umówiła? W Chateau nigdy nic nie wiadomo. Bywające tu gwiazdy stanowiły część wystroju.

Sam pocałował ją w oba policzki i cofnął się o krok, biorąc głęboki wdech.

- Mmm. Nadal używasz Chanel 19.

Elena spojrzała na niego z głową przechyloną na bok.

- A ty nadal nie nastawiłeś sobie nosa.

Kiedy jedli (Elena sałatkę Cezar z wodą Evian; Sam łososia z Meursault), Elena powtórzyła wszystko, co wiedziała o kradzieży. Przy kawie dała Samowi kopie artykułu z „L.A. Times” i szczegółowej listy skradzionych win dostarczonej przez Rotha. Przyglądając mu się, kiedy przerzucał kartki, stwierdziła, że chyba lepiej, by Sam nie zmieniał swego nosa. Byłby zbyt przystojny.

Sam podniósł głowę znad listy.

- Same porządne wina. Ciekawe, że nie ukradli niczego z Kalifornii. W każdym razie chylę czoło przed tym, kto to zorganizował. Wszystko zaplanowane co do minuty, czysta robota... coś w moim stylu.

Elena spojrzała na niego znad okularów przeciwsłonecznych.

- Sam...?

Zaśmiał się i potrząsnął głową.

- Nie miałem z tym nic wspólnego, słowo. Nawet nie czytałem tego artykułu. Zresztą znasz mnie. Teraz pracuję dla tych dobrych.

- To znaczy, że weźmiesz tę sprawę?

- Dla ciebie wszystko, Eleno. Aha, plus zwrot kosztów i pięć procent wartości tego, co odzyskam.

- Dwa i pół.

- Trzy.

Odprowadziwszy Elenę do wyjścia, Sam wrócił do stolika i zamówił następne espresso. Nie widział jej od pół roku; od tamtego wieczoru zakończono ostrą awanturą. Teraz już nawet nie pamiętał, o co poszło. O jego niechęć do zaangażowania się? O jej odmowę pójścia na kompromis? Tak czy owak, źle się to skończyło. A sytuację dodatkowo pogorszyła wiadomość, że Elena zaczęła się spotykać z

jednym z tych pięknych młodych aktorów, tak licznych w Hollywood, którzy znani są głównie z tego, że wiecznie stoją u progu sławy.

Traf chciał, że Elena w drodze powrotnej do biura myślała o tym samym młodym aktorze. Nie była to jedna z jej najlepszych decyzji, musiała przyznać. Próba odreagowania, która spaliła na panewce. Trochę za późno dotarło do niej, że jej nowy przyjaciel ma już namiętny romans z samym sobą i ilekroć rozmowa zaczynała się oddalać od tego jakże zajmującego tematu, jego oczy albo nabierały nieobecnego spojrzenia, albo szukały otuchy w najbliższym lustrze. Jak długo to trwało? Trzy tygodnie? Miesiąc? Za długo.

Elena wzruszyła ramionami, usiłując odpędzić myśli. Od dalszego dumania wybawiło ją kilka pierwszych taktów *La vie en rose*. To był dzwonek, który Sam ustawił w jej telefonie po ich wspólnym wyjeździe do Paryża, i jakoś nie znalazła czasu, żeby go zmienić.

- I jak? Jakieś postępy?

Elena rozpoznała ten lekko złagodzony warkot, jakim Danny Roth zwracał się do niższych istot. Zebrała się w sobie, zanim odpowiedziała.

- Tak sędzę, panie Roth. Właśnie zatrudniliśmy wykwalifikowanego śledczego, który zajmował się będzie wyłącznie pańską sprawą.

- W porządku. Niech do mnie zadzwoni.

## Rozdział 5

Telefon od Sama zastał Cecilie Volpe w wyjątkowo dobrym nastroju, będącym skutkiem najnowszego prezentu od hołubiącego ją ojca - perłowoszarego porsche. Szorstki ton, jakim zwykle rozmawiała przez telefon, przeszedł w łagodne mruczenie, i wydawało się wręcz, że było jej przykro, kiedy powiedziała Samowi, że pan Roth jest w tej chwili zajęty; odbywa spotkanie (w Hollywood nie ma się spotkań, tylko się je odbywa, w takim samym sensie, w jakim odbywa się pokutę). Kiedy Sam wyjaśnił, kim jest i w jakiej sprawie dzwoni, w głosie Cecyli zabrzmiała nawet nuta współczucia.

- Jest normalnie zdruzgotany. Znaczący się, wino warte trzy miliony dolarów, poza tym ten meksykański gnojek wziął i go normalnie zdradził. Dół totalny. - I może kontynuowałyby w podobnym duchu, gdyby nie to, że w tej chwili z gabinetu wyłonił się Roth we własnej osobie. Był z jedną ze swoich młodszych klientek, aktorką, która dzieliła czas między kręcenie filmów i odwyk. Cecilia kazała Samowi poczekać, aż Roth odprowadzi młodą podopieczną do windy.

- Dzwoni pan Levitt. To ten śledczy z firmy ubezpieczeniowej.

Roth poszedł odebrać telefon w swoim gabinecie.

- Czas najwyższy. Co macie?

- Panie Roth, dopiero zaczynamy szukać. Byłoby dobrze, gdybym mógł się z panem spotkać. Muszę też obejrzeć piwnicę. Wtedy kiedy panu pasuje.

- Pasuje mi już teraz.

Sam odetchnął głęboko. Nie będzie wesoło.

- Może być już teraz, panie Roth. Mam pański adres. Będę za pół godziny.

Sam czekał przy budce wartowniczej, kiedy Roth zjawił się czterdzieści pięć minut później bez słowa przeprosin i powitał go niedbałym uściskiem dłoni. To była wzajemna niechęć od pierwszego wejrzenia. Zanim Roth zaprowadził go do piwnicy, Sam zdążył wyzbyć się resztek współczucia dla ofiary tej kradzieży.

Przez następne pół godziny Sam starał się zbierać informacje, ale uporczywie odzywający się BlackBerry Rotha udaremniał jego wysiłki; pozostawiony sam sobie, obejrzał piwnicę i wina - kalifornijskie chardonnay, cabernet i pinot - których złodzieje nie zabrali. Potem długo wpatrywał się w masywne, drewniane drzwi w

hiszpańskim stylu, które oddzielały piwnicę od reszty domu. W końcu, kiedy nie zostało mu już nic do oglądania, stanął przed Rothem, który przybrał pozę jak do modlitwy - z pochyloną głową i złożonymi dłońmi - i oddawał cześć swojemu BlackBerry.

- Nie chciałbym przeszkadzać - powiedział Sam - ale w zasadzie już skończyłem.

Roth przerwał modły i z lekko zmarszczonym czołem podniósł głowę znad zaprzatającego jego uwagę ekranika.

- No i? Co pan sądzi?

- Po pierwsze, pańskie zabezpieczenia są do niczego. Zamek w tych drzwiach mógłbym otworzyć pilnikiem. Czemu nie zainstalował pan w piwnicy oddzielnego systemu alarmowego? Duży błąd. Zresztą, teraz już i tak za późno. Policja zapewne powiedziała panu, że to była robota profesjonalistów.

Sam przerwał. Roth znów konsultował się ze swoim elektronicznym mózgiem. Sam skierował swoją następną uwagę do czubka jego lśniącej czaszki.

- W dochodzeniu nie powinno się odrzucać oczywistego wniosku, dopóki nie wykaże się, że jest mylny. - Roth wciąż nie podnosił wzroku. - Wiemy, że sprawcy mieli tu swojego człowieka. Wiemy, że Rafael Torres zniknął i że w czasie kradzieży przebywał pan w Aspen. Takie są fakty, panie Roth, i ktoś podejrzliwy mógłby powiedzieć, że wniosek narzuca się sam. Roth wreszcie schował BlackBerry do kieszeni.

- To znaczy?

- Mógł pan wykorzystać wyjazd do Aspen jako alibi i zaaranżować całą tę historię... ukraść własne wino, zapłacić dozorcę za milczenie, zgarnąć odszkodowanie i świetnie się bawić, pijąc dowody przestępstwa. - Sam wzruszył ramionami i uśmiechnął się. - Niedorzeczne, wiem. Ale moim zadaniem jest rozpatrzeć wszystkie możliwości. - Sięgnął do kieszeni. - To moja wizytówka. Odezwę się, jak tylko coś się wydarzy. - Zatrzymał się przy drzwiach. - Aha, jeszcze jedno. Na pana miejscu jak najszybciej wypiłbym te butelki cabernet sauvignon. Rocznik '84 zaczyna się starzeć.

Kiedy Sam wyszedł, było mu prawie żal Rotha. Ale tylko prawie.

Wkrótce po przybyciu do Los Angeles Sam dostał zlecenie, by rozpracować tak zwaną Szajkę Impresjonistów, grupę marszandów z wyższych sfer, którzy sprzedawali znakomite falsyfikaty Monetów,

Cezanne'ów i Renoirów. To właśnie wtedy, przy okazji tej roboty - jednej z pierwszych całkowicie legalnych w jego karierze - Sam nawiązał współpracę z policją Los Angeles w budzącej respekt postaci porucznika Boba Bookmana. Bookman lubił sobie podjeść i było to po nim widać. Jednak że na wzroście mu nie zbywało, dobrze wyglądał jak na człowieka o jego wadze, w czym pomagał sposób ubierania się, który sam sobie narzucił i którego nigdy nie zmieniał. Obszerny czarny garnitur, czarny dziany krawat z jedwabiu, i biała koszula. Nazywał to stylem „na żałobnika”.

Jego znajomość z Samem rozpoczęła się obiecująco, kiedy odkryli wspólne zainteresowanie winem i po zakończeniu śledztwa zaczęli spotykać się regularnie co kilka tygodni na kolacji, przy czym restaurację i wino wybierali na zmianę, to jeden, to drugi. Nie były to bynajmniej spotkania służbowe, ale co nieuniknione, w ich trakcie wymieniali się licznymi plotkami z półświatka. Ten układ okazał się i przyjemny, i pożyteczny dla nich obu.

Bookman odebrał telefon od Sama ze swoim zwykłym znużonym burknięciem.

- Booky - powiedział Sam - muszę cię pociągnąć za język, ale spróbuję ci to wynagrodzić. Dziś wieczorem zamierzam odkorkować butelkę Batard - Montrachet, a nie cierpię pić sam. Co ty na to?

- Mógłbym być zainteresowany. Który rocznik?

- 2003. O szóstej w Chateau?

- Tylko go za bardzo nie schłodź.

Kilka minut po szóstej Bookman stanął przed drzwiami apartamentu Sama. Miał za sobą ciężki dzień, wypełniony ważnymi spotkaniami w komendzie miejskiej, i czuł potrzebę, żeby upuścić trochę pary. Załomotał do drzwi i przybrał swój najbardziej oficjalny ton funkcjonariusza policji.

- Wiem, że tam jesteś - powiedział. - Wyłaż z rękami w górze i spodniami wokół kostek. - Przechodząca korytarzem młoda kobieta zerknęła z przerażeniem na potężną postać w czerni i w popłochu czmychnęła do windy.

Sam otworzył i odsunął się na bok, żeby wpuścić cielsko Bookmana do przedpokoju. Przeszli do małej kuchni, w której całą jedną ścianę zajmowały klimatyzowane schowki - Sam trzymał w nich wina do picia na bieżąco. Otwarta butelka Batard - Montrachet

czekała w wiaderku z lodem na blacie, obok kieliszków. Bookman podniósł korek i powąchał go, a Sam w tym czasie rozlał wino.

Bez słowa unieśli kieliszki do wieczornego światła wpadającego przez okno. Delikatnie kręcąc winem, wsunęli nosy w upajający, apetyczny bukiet, po czym wzięli pierwszy łyk.

Bookman westchnął błogo.

- Nie odsyłajmy tej butelki. - Wziął następny, dłuższy łyk.

- Czy to nie o tym winie Alexandre Dumas mówił, że powinno się je pić na kolanach, z odkrytą głową? Sam uśmiechnął się szeroko.

- Słyszałem, że Burgundczycy salutują, ilekroć przejeżdżają obok tej winnicy. - Zaniósł wiaderko z lodem do salonu i obaj usiedli w wielkich fotelach, z winem na niskim stoliku między nimi.

- A teraz - powiedział Bookman - niech zgadnę, dlaczego tu jestem. - Wziął następny łyk wina i obejrzał swój kieliszek jakby w głębokim zamyśleniu.

- Wziąłem sprawę Rotha.

- Słyszałem. Poprosiłem kogoś, żeby mi ją zreferował, zanim tu przyszedłem. I jak, masz coś?

- Na razie odkryłem tylko tyle, że pan Roth jest upierdliwy. I nieuczciwy... a przynajmniej próbuje. Wino ubezpieczył na dwa miliony trzysta tysięcy, a twierdzi, że warte jest trzy. I pewnie ma rację; ale go na tyle nie ubezpieczył. Poza tym wiem tylko, że to była robota profesjonalistów. Podzwonię jutro po domach aukcyjnych, ale założę się, że wina nie ukradziono po to, żeby je sprzedać. Miało trafić do prywatnej piwnicy.

Bookman skinął głową.

- To ma sens. Takich butelek nie widzi się na co dzień. Za łatwo byłoby je namierzyć. - Wyciągnął kieliszek po dolewkę. - A może Roth upozorował to dla pieniędzy z ubezpieczenia?

- Gdzie tam. Czytałeś ten artykuł w „L.A. Times”? Tacy jak Roth muszą się chwalić tym, co mają. A on przez to, że ogołocono mu piwnicę, wyszedł na ofermę. - Sam obrócił butelkę w lodowatej wodzie, zanim napełnił swój kieliszek. - No i na tym w tej chwili stoję. A ty? Co znaleźli twoi ludzie? Może jakichś meksykańskich dozorców?

Śmiech Bookmana zabrzmiał raczej jak drwiące prychnięcie.

- Zapomnij. Ilu nielegalnych imigrantów mamy w tym kraju... dwanaście milionów? Z tego pewnie więcej niż połowę w Kalifornii i

żadnego w komputerze. Wierz mi, ten typ albo jest już bezpiecznie za granicą, albo leży martwy w kontenerze na śmieci. - Nastąpiła pauza, w czasie której Bookman upewnił się, że druga lampka smakuje tak cudownie jak pierwsza. - Chcesz usłyszeć dobrą wiadomość? Znaleźliśmy karetkę.

- A jaka jest zła?

- Nie było żadnych tablic rejestracyjnych, żadnych odcisków palców. Wytarta do czysta, całkowicie. Goście wiedzieli, co robią. Na razie utknęliśmy w ślepym zaułku, a mamy jeszcze na rozkładzie parę innych spraw. - Wyliczył je jedna po drugiej na swoich mięsistych palcach. - Gubernator przyjmuje Tony 'ego Blaira na podwieczorku w swoim namiocie. Wszystkie służby postawiono w stan najwyższego pogotowia. Mieliliśmy tu niedawno samobójstwo pewnej gwiazdy, które coraz bardziej wygląda na morderstwo. Jakiś kretyn z karabinem ćwiczy strzelanie do celu na samochodach jadących autostradą Santa Monica. Liczba zabójstw w tym miesiącu poszła w górę, więc burmistrz siedzi nam na karku. I tak to już jest; taka robota. Zniknięcie kilku butelek wina to dla nas sprawa, delikatnie mówiąc, drugorzędna. - Bookman wzruszył potężnymi ramionami w przepraszającym geście. - Postaramy się pomóc na tyle, na ile się da, ale tak naprawdę zdany jesteś tylko na siebie.

Trunku w butelce ubywało i rozmowa w końcu przeszła na bardziej przyjemne tematy: jedzenie, wino i Lakersi. Następna godzina minęła dość miło, ale po wyjściu Bookmana Sam musiał przyznać, że śledztwo bynajmniej nie ruszyło z kopyta. No i jak stwierdził jego przyjaciel, zdany był tylko na siebie.



## Rozdział 6

Wbrew temu, co czyta się w kryminałach, bardzo niewiele przestępstw rozwiązuje się dzięki domysłom czy przeczuciu. Choć może to i mało spektakularne, cierpliwe, metodyczne gromadzenie informacji doprowadziło do schwytania i skazania dużo większej liczby opryszków niż oślepiający błysk olśnienia. Mając to na uwadze, Sam zajął się tą nieodzowną czynnością, jaką jest staranne sprawdzenie faktów.

Na początek zasięgnął języka u najbardziej znanych przedstawicieli branży: Sotheby's i Christie's, The Henry Wine Group, Sokolin, Acker Merrall & Condit i innych. Żaden z nich w ostatnim czasie nie kupił ani nie dostał propozycji zakupu któregokolwiek ze skradzionych win.

Skontaktował się więc z mniejszymi domami aukcyjnymi. Zwrócił się do Roberta Chadderona i innych importerów dóbr luksusowych. Zajrzał na stronę Wine - Searcher w nadziei, że znajdzie (wśród dwudziestu milionów wyszukiwań prowadzonych co roku) kogoś, kto by interesował się konkretnymi winami i rocznikami z kolekcji Rotha. Jednak do kogokolwiek dzwonił, gdziekolwiek szukał, skutek był ten sam: żaden.

W miarę jak dni przechodziły w tygodnie, w dochodzeniu coraz częściej przeszkadzały mu telefony od poirytowanego Danny'ego Rotha, żądającego raportów o postępach w śledztwie. Wiadomość o kradzieży wyciekła do środowiska miłośników wina z Los Angeles i duma Rotha była dotkliwie urażona. Zamiast poważania i podziwu, spotykał się ze współczuciem - czasem nawet szczerym. Jeszcze bardziej irytowały go niezapowiedziane telefony od oferujących swoje usługi specjalistów zajmujących się zabezpieczaniem piwnic. Szerzyła się schadenfreude - radość zawistnych. Roth miał wrażenie, że praktycznie nie było dnia, żeby któryś z jego znajomych nie wspomniał o kradzieży z nieudolnie skrywanym zadowoleniem. Dranie.

Po przetrzymaniu jednej szczególnie zjadliwej porannej tyrady Rotha, Sam postanowił pójść popływać, żeby ochłonać. Kiedy wracał z basenu hotelowego przez ogród, jego uwagę przykuła para zjawiskowych nóg i jako że miał oko znawcy do takich szczegółów, przystanął, by je podziwiać. Gdy zaś posiadaczka owych nóg odwróciła się, zobaczył, że to Kate Simmons, piękna jak nigdy,

obecnie, ku rozżaleniu wielu kawalerów z Los Angeles, szczęśliwa żona bankiera.

Uśmiechnięta, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów: mokre, potargane włosy i stary szlafrok z hotelu Ritz, pamiątka z pobytu w Paryżu.

- No, no, Sam. Wytworny jak zawsze. Co słyhać? Patrząc na nią, czuł się jak wujaszek spotykający ulubioną siostrzenicę. Ostatnio dość często miewał takie nagłe napady rozrzewnienia. Składał to na karb tego, że się starzeje.

- Kate, co tu robisz? Masz czas na kawę? Kieliszek szampana? Tak się cieszę, że cię widzę.

Wciąż uśmiechnięta, grzbietem dłoni odgarnęła z czoła gruby kosmyk ciemnobrązowych włosów; Sam pamiętał, że zawsze tak robiła, kiedy zastanawiała się, co powiedzieć. Zanim zdążyła się odezwać, ujął ją za ramię i poprowadził do stolika w cieniu.

- Tak się składa - powiedział - że właśnie o tobie myślałem, zastanawiałem się, co u ciebie. - Wysunął jej krzesło.

- Sam, nic a nic się nie zmieniłeś. Nadal kłamiesz jak najęty. - Ale mimo to zaśmiała się i usiadła.

Przy kawie opowiedziała mu o swojej pracy w filmowym public relations, która sprowadziła ją do Chateau na spotkanie z niewiarygodnie dobrze zakonserwowaną gwiazdą. Gwiazda ta szykowała się właśnie do promocji swojego nowego filmu, wymagającej od niej lotów prywatnym odrzutowcem na premiery w Nowym Jorku, Londynie i Paryżu w towarzystwie osobistego fryzjera, dietetyka, ochroniarza, ośmiu walizek ubrań i aktualnego męża. Jak ujęła to Kate: hollywoodzka wersja podróży z minimum bagażu („bez choćby jednego psychiatry”). Sam był zadowolony, że zdawała się traktować cały ten absurd ze zdrowym dystansem.

Kiedy przyszła kolej na niego, by zreferować swoją sytuację życiową, powiedział Kate o sprawie Rotha i ku jego zaskoczeniu okazało się, że część szczegółów już znała. Jej mąż, Richard, który sam kolekcjonował wino - na znacznie skromniejszą skalę - śledził przebieg dochodzenia.

- Większość maniaków wina w Ameryce na pewno widziała artykuł w „L.A. Times” - powiedziała Kate. - Mógł to zrobić któryś z nich. Albo sam Roth. Czemu nie? W Los Angeles zdarzają się dziwniejsze rzeczy.

Wydawało się, że ta teoria na razie ma najwięcej zwolenników.

- Cóż, to możliwe - powiedział Sam - choć bardzo przekonująco gra rolę ofiary. Ale może to właśnie nic innego, jak tylko dobre aktorstwo. Tak czy tak, raczej nie mogę go pominąć na liście podejrzanych. - Wzruszył ramionami. - Jak na razie, na nim ta lista się zaczyna i kończy.

- Sprawdziłeś gdzie indziej?

- Gdzie na przykład?

- Nie wiem. W Europie? Hongkongu? Rosji? Nie tylko w Ameryce są złodzieje, którzy lubią dobre wino. - Kate dopiła kawę i spojrzała na zegarek. - Lepiej już pójść. - Schyliła się i pocałowała Sama w policzek. - Wpadnij kiedyś do nas na kolację. Nie miałeś okazji poznać Richarda. Polubiłbyś go.

- To byłoby zbyt bolesne. Cały wieczór zastanawiałbym się, dlaczego nie wysłaś za mnie.

Wbrew sobie, Kate nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Kręcąc głową, długo na niego patrzyła, zanim założyła okulary przeciwsłoneczne.

- Bo mi się nie oświadczyłeś, ty kołku. Wychodząc z ogrodu, odwróciła się jeszcze, żeby pomachać na pożegnanie.

Po powrocie do apartamentu Sam pomyślał, jak wielkie to szczęście, że pozostaje w dobrej komitywie z niemal wszystkimi kobietami swojego życia. Jeśli pominąć kilka spektakularnych wyjątków - wysoką ukraińską modelkę z Moskwy, dyszącą żądzą mordu córkę ranczera z Buenos Aires, no i rzecz jasna Elenę - wszystkie rozstania obyły się bez wzajemnych pretensji. Uznał, że to pewnie dlatego, że jego kobiety miały dość zdrowego rozsądku, by nigdy nie traktować go zbyt poważnie.

Kiedy usiadł za biurkiem i raz jeszcze spojrzał na listę skradzionych win, wrócił myślami do słów Kate. Oczywiście, że miała rację: Ameryka to nie jedyny kraj, który wydaje przestępców rozsmakowanych w winie. Ale gdzie zacząć poszukiwania?

Wstał i poszedł przez pokój do swojego księgozbioru, długiego szeregu regałów sięgających po sufit, i zatrzymał się przed sekcją, w której trzymał książki o winie. Tam, w różnym stopniu rozkładu, były The Wines of Bordeaux Penninga - Rowsella, Encyclopedia of Wines and Spirits Lichine'a, Monseigneur Le Vin Foresta, tegoroczny Guide Hachette des Vins, Wine Tasting Broadbenta, Wine Johnsona, Yquem

Olneya, Adventures on the Wine Route Lyncha, Stay Me with Flagons Healy'ego i dziesiątki innych, zbierane przez lata. Wodząc palcami po grzbietach książek, doszedł do sfatygowanego egzemplarza The Great Wine Chateaux of Bordeaux Dujikera i wrócił z nim do biurka, okrężną drogą, by przy okazji nalać sobie lampkę chablis przed lunchem.

Zawsze przyjemnie było otworzyć tę książkę. W przeciwieństwie do kwiecistej i czasem komicznej prozy tak często używanej przez krytyków winiarskich, którzy na siłę chcą robić wrażenie na czytelniku, tekst był prosty i rzetelny. Fakty liczyły się bardziej od literackich fajerwerków. A dodatkową atrakcją były kolorowe zdjęcia przeszło osiemdziesięciu winnic, ich caves, winorośli, zarządców piwnic i, w niektórych wypadkach, ich ubranych w tweedowe garnitury, eleganckich właścicieli o pociągłych twarzach. Miłośnikowi dobrego bordo trudno byłoby znaleźć księgę, która bardziej pobudzałaby wyobraźnię.

Z listą skradzionych win służącą za przewodnik, Sam przerzucał kartki: Lafite, Latour, Figeac, Petrus, Margaux - słynne nazwy, legendarne wina, piękne chateaux. Zawsze chciał zwiedzić bajeczne winnice Bordeaux, które ktoś kiedyś nazwał arcydziełem ogrodnictwa na wielką skalę. Żałował, że nigdy nie znalazł czasu, by tam się wybrać. I to właśnie ten żal, w równym stopniu co potrzeby dochodzenia, pomógł mu podjąć decyzję. Zamknął książkę z trzaskiem i zadzwonił do Eleny Morales.

Kiedy odebrała, jej głos był lekko stłumiony. Sam doskonale wiedział, dlaczego.

- Ty dzikusko, znowu jesz lunch przy biurku. Dostaniesz strasznej niestrawności.

- Dzięki, Sam. Ty to potrafisz podnieść kobietę na duchu. Tak się składa, że mam za dużo roboty, żeby wyjść. A co u ciebie? Jakies postępy?

- Właśnie dlatego dzwonię. Za biurkiem nic więcej nie zwojuję. Przesyłam ci szczegółowy raport, ale nie licz na zbyt wiele. Niczego nie ustaliłem. Dlatego postanowiłem wybrać się w teren.

- To znaczy gdzie?

- Eleno, naczelną zasadą każdego śledztwa jest taka: żeby zrozumieć przestępstwo, trzeba wrócić do jego korzeni. A w tym wypadku korzenie są tam, skąd pochodzi skradzione wino. Czyli w

Bordeaux. - Na drugim końcu panowała cisza. - Pomyślałem sobie, że pojedę przez Paryż. Jest tam pewien człowiek, z którym muszę się zobaczyć.

- Świetny pomysł, Sam, ale ma jedną wadę: koszty.

- Eleno, kto nie ryzykuje, nie wygrywa.

- Słuchaj no, już ja wiem, jak to jest z tymi twoimi podróżami.

Czy ty naprawdę liczysz, że opłacimy przelot pierwszą klasą, luksusowe hotele, ekskluzywne restauracje... - Zawiesiła głos i westchnęła. - Gdzie zatrzymasz się w Paryżu?

- W Montalembert. Pamiętasz Montalembert?

- Nie bierz mnie na ckiwe wspominki, Sam. Nie pokryjemy twoich wydatków, i już.

- Bądźmy rozsądni. Jeśli znajdzie wino, zwróćcie mi koszty. Jeśli nie, nie będziecie mi winni nawet centa. Stoi?

Elena nie odpowiedziała.

- Potraktuję to jako entuzjastyczną zgodę - oświadczył Sam. - Aha, jeszcze jedno. W Bordeaux będzie mi potrzebny asystent, ktoś, kto ma tam kontakty i zna angielski. Domyślam się, że wasza paryska filia może to załatwić. Na pewno nie chcesz pojechać ze mną?

Na myśl o Paryżu, wpatrzona w talerz sałatki z białym serem, Elena stwierdziła w duchu, że o niczym bardziej nie marzy.

- Bon voyage, Sam. Przyślij mi kartkę.

Od ostatniej wizyty Sama w Paryżu minęły prawie dwa lata, dlatego do podróży szykował się z dużym zapalem. Zabukował hotel i samolot, umówił się na spotkanie ze swoim starym adwersarzem, Axelem Schroederem, zarezerwował stolik dla jednej osoby w Cigale Recamier i dał znać Josephowi, zaprzyjaźnionemu sprzedawcy w Charvet, że do niego wpadnie.

E - mail od Eleny - utrzymany w dość chłodnym tonie, zauważył Sam - zawierał wiadomości od ludzi Knoxa z Paryża. Polecali mu agentkę z Bordeaux, która specjalizowała się w ubezpieczeniu wina, niejaką madame Costes. Miała w tamtych stronach szerokie koneksje, biegle znała angielski i, według paryskiej filii firmy, była tres serieuse. Sam poznał Francuzów dość dobrze, by wiedzieć, że każdy, o kim mówią, że jest poważny, niechybnie okaże się kompetentny, godny zaufania i nudny. W szybko wymienionych z panią Costes e - mailach przesłał jej szczegółowe informacje o swoim locie, ona zaś

potwierdziła, że będzie na niego czekać na lotnisku Merignac w Bordeaux.

Zanim Sam zaczął się pakować, zadzwonił jeszcze do kancelarii Rotha.

- Odbywa spotkanie - powiedziała Cecilia Volpe. - Mogę go poprosić, żeby do pana oddzwonił?

- Proszę mu tylko przekazać, że badam pewne tropy i że w związku z tym wyjeżdżam na kilka dni do Francji.

- Fajnie - powiedziała Cecilia. - Kocham Paryż.

- Ja też - odparł Sam. - Proszę przekazać panu Rothowi, że będę w kontakcie.

## Rozdział 7

Na lotnisku LAX, czekając w kolejce do odprawy przed wylotem do Paryża, Sam z rosnącym współczuciem obserwował męczarnie człowieka przed nim. Był niski, pulchny, z wyglądu jowialny. Sądząc z akcentu, pochodził z Niemiec. Jego błąd polegał na tym, że uśmiechnął się do pracownika ochrony i spróbował zażartować: „Dziś zdejmujemy buty, jutro majtki, co?”. Ochroniarz tylko spojrzał na niego z kamienną twarzą. A potem, widocznie podejrzewając nieszczęsnego Niemca o próbę przemylenia na pokład potencjalnie niebezpiecznego poczucia humoru, kazał mu stanąć z boku i zaczekać na kogoś wyższego rangą.

Pozbawiony butów i paska, stojący z rozkrzyżowanymi rękami i omiatany elektronicznym wykrywaczem metalu, Sam zadumał się nad urokami współczesnych podróży. Zatlócone, często obskurne lotniska, gburowata obsługa, ponadprzeciętne szanse opóźnień i przed każdym lotem męczące, upokarzające kontrole bezpieczeństwa. Nic dziwnego, że większość pasażerów po wejściu na pokład, chce od razu dostać drinka.

W kabinie pierwszej klasy, będącej oazą spokoju po zgiełku i zamęcie terminalu, na Sama spłynęła błogosławiona ulga. Przyjął lampkę szampana, zzuł buty i zajrzał do karty dań. Jak zwykle, zawierała ambitne próby skopiowania potraw, jakie można by dostać w naziemnej restauracji. Tego dnia poczesne miejsce zajmowały w niej sosy. Były noisettes z jagnięciny w słodko - ostrym sosie, obsmażana żabnica z sosem szałwiowym, naleśnik z warzywami podlany sosem ze śmietany i bazylii, cannelloni z wędzonym łososiem w sosie balsamicznym. Autor menu, mistrz mydlenia oczu, przedstawił te dania jako prawdziwe frykasy. W rzeczywistości, jak Sam wiedział z doświadczenia, okazałyby się suche i rozczarowujące, sosy byłyby ścięte i pomarszczone od szoku wskutek nagłego uderzenia gorąca, a warzywa mdłe, pozbawione smaku.

Po co linie lotnicze w ogóle próbowały poważać się na haute cuisine, mając do dyspozycji tylko niesamowicie ciasną część kuchenną i mikrofalówkę? To się nie mogło udać. Sam postanowił poprzestać na chlebie, serze i dobrym czerwonym winie, ale nawet ono nie spełniło jego oczekiwań. Etykieta robiła wrażenie, pochodzenie było bez zarzutu, rocznik doskonały. Jednak jakoś to już tak jest, że wino pite na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nigdy

nie smakuje tak, jak powinno. Ze wzrostem wysokości zdaje się tracić swój ciężar. Towarzyszące lotowi turbulencje wpływają na jego harmonię i bukiet. Jak powiada wybitny krytyk: „Start, lądowanie, start, lądowanie, i tak bez końca. W tym szalonym pędzie wino nie ma kiedy wrócić do równowagi”. Sam wziął na próbę jedną lampkę, przerzucił się na wodę, zamiast deseru łyknął pigułkę nasenną i obudził się dopiero wczesnym rankiem, kiedy samolot podchodził do lądowania nad kanałem La Manche.

Jak zawsze, miło było znowu znaleźć się w Paryżu. Kiedy jego taksówka przebiegała się Boulevard Raspail w stronę Saint - Germain, Sama - który to już raz! - uderzyły idealne proporcje wyznaczone przez Haussmanna w połowie dziewiętnastego wieku: szerokość głównych ulic, budynki dostosowane rozmiarami do ludzkich potrzeb, wspaniałe ogrody i niespodzianie ukazujące się małe parki. Do tego dochodziła Sekwana i rozpięte nad nią urokliwe mosty, obfitość drzew i pomników ku czci bohaterów, dalekie, majestatyczne widoki. Wszystko to razem czyniło Paryż jednym z najlepszych na świecie miast do spacerów. Poza tym był czysty, jak na wielką metropolię. Nie widywało się tu stosów worków ze śmieciami, rynsztoków zapchanych papierkami po jedzeniu, styropianem i zmiętymi paczkami po papierosach - mile widziany brak miejskiej nędzy.

Minęły prawie dwa lata od jego ostatniej wizyty w Paryżu - od tamtego długiego, cudownego weekendu z Eleną Morales - ale, jak stwierdził, Montalembert wyglądał uroczo jak zawsze. Hotel ten, schowany w głębi uliczki odchodzącej od Rue du Bac, jest mały, stylowy i przyjazny. Co roku, w czasie prezentacji kolekcji sezonowych, zjeżdżają do niego młodsze, mniej uznane projektantki mody. W barze przesiadują pisarze, ich agenci i wydawcy, snujący przy whisky ponure rozważania o swoich honorariach i kondycji współczesnej literatury francuskiej. Ładne dziewczyny wchodzą i wychodzą zwiewnym krokiem. Handlarze antyków i właściciele galerii w quartier wpadają uczyć zawarcie transakcji szampanem. Wszyscy czują się tam jak u siebie w domu.

Oczywiście, w dużej mierze jest to zasługa personelu, ale pomaga w tym też swobodny styl, w jakim urządzono parter hotelu. Rozmieszczone na względnie małej przestrzeni bar, nieduża restauracja i minibiblioteka z kominkiem opalanym drewnem rozdzielone są nie ścianami, lecz zmianami w natężeniu światła: w



restauracji jest ono jaśniejsze, w bibliotece bardziej przyćmione. Lunche służbowe od frontu, romantyczne schadzki w głębi.

Sam zameldował się w hotelu, nęcony aromatem kawy dochodzącym z restauracji. Wziął szybki prysznic, ogolił się, po czym zszedł na dół na cafe creme z croissantem i przebiegł myślą swoje plany na ten poranek i popołudnie. Dał sobie wolny dzień - dzień na to, żeby pobyć turystą - i był zadowolony, że we wszystkie miejsca, które chciał odwiedzić, swobodnie mógł dotrzeć pieszo: najpierw do Musee d'Orsay, potem przez Pont Royal do Luwru, by przekąsić coś w Cafe Marly, i wreszcie przez Jardin des Tuileries na Place Vendome i umówioną wizytę w Charvet.

Pogoda w Paryżu wahała się gdzieś między końcem zimy a początkiem wiosny i idąc Boulevard Saint - Germain, Sam zauważył, że miejscowe dziewczyny nie bardzo mogły się zdecydować, jak się ubrać. Niektóre wciąż były zakutane w szaliki, płaszcze i rękawiczki; inne, na przekór zimnym podmuchom znad Sekwany, paradowały w krótkich kurtkach i kusych spódniczkach. Jednak bez względu na to, co na sobie miały, wszystkie zdawały się chodzić w ten sam szczególny sposób, po którym Sam nauczył się poznawać prawdziwe paryżanki: zwawy krok, wysoko podniesiona głowa, torebka przewieszona przez ramię i - szczególnie decydujący - ramiona skrzyżowane tak, by piersi były nie tylko podparte, ale i uwydatnione, coś jakby soutien - gorge vivant, czyli żywy biustonosz. Mile rozkojarzony, Sam prawie zapomniał skręcić ulicę prowadzącą ku rzece i Musee d'Orsay.

Jak zawsze, było za mało czasu, żeby zobaczyć wszystko. Sam postanowił ograniczyć się do górnej kondygnacji, gdzie impresjoniści sąsiadowali ze swoimi neoimpresjonistycznymi kolegami po fachu. Mimo to, nawet bez złożenia hołdu rzeźbom czy nadzwyczajnej kolekcji Art Nouveau, przeleciały przeszło dwie godziny, zanim pomyślał, żeby spojrzeć na zegarek. Uchyliwszy w duchu kapelusza przed Monetem i Manetem, Degasem i Renoirem, wyszedł z muzeum i skierował się na drugi brzeg rzeki, w stronę Luwru i miejsca, gdzie miał zjeść lunch.

Francuzi są specjalistami od restauracji wszelkich rozmiarów i prawdziwymi geniuszami organizacji wielkich przestrzeni. Na przykład, La Coupole, otwarta w 1927 roku jako „największa sala restauracyjna w Paryżu”, mimo swojego ogromu zachowuje ludzką

skale. Cafe Marly, choć mniejsza, i tak jak na restaurację jest olbrzymia. Zaprojektowano ją jednak tak, by znalazły się w niej ciche zakątki i oazy intymności, i dzięki temu gość nigdy nie ma poczucia, że je w jadalni wielkości sali balowej. Co najlepsze, jej częścią jest długi, zadaszony taras z widokiem na szklaną piramidę, i to tam Sam usiadł przy małym stoliku.

Kiedy wraca się do Paryża po długiej nieobecności, rodzi się pokusa, by zaszaleć i skosztować wszystkiego, jak leci. Można to nazwać łapczywością albo pragnieniem odreagowania postu, ale jedzenie w Paryżu jest tak zróżnicowane, tak kuszące i tak estetycznie zaprezentowane, że aż żal nie zamówić tuzina najlepszych ostryg z Bretanii, doprawionej ziołami jagnięciny z Sisteron i dwóch - trzech gatunków sera, zanim człowiek rzuci się na desery. Jednak w przyływie wstrzemięźliwości, przypominając sobie, że kolacja dopiero przed nim, Sam poprzestał na skromnej porcji kawioru z siewrugi i schłodzonej wódce. Przy jedzeniu kontemplował otoczenie.

Pijąc kawę, spełnił obowiązek turysty i wykonał normę pisania pocztówek na ten dzień: jedna do Eleny, z wiadomością, że jest zajęty szukaniem śladów, jedna do Bookmana (Pogoda jest piękna. Zazdrościsz, co?) i jedna do Alice, administratorki Chateau Marmont, która nigdy nie wyściubiła nosa poza Los Angeles, ale podróżowała duchem z Samem, ilekroć wyjeżdżał. Zapisał sobie w pamięci, żeby kupić miniaturkę Wieży Eiffla do jej kolekcji pamiątek.

Kiedy nieśmiałe paryskie słońce przebiło się przez chmury, rozjaśniając niebo, Sam porzucił tłumy przed Luwrem na rzecz porządku i precyzji Tuileries. Przystanął, by nasycić oczy niezwykłym widokiem, ciągnącym się w dal przez ogród i wzdłuż Champs - Elysees aż do Łuku Triumfalnego. Jak dotąd, przyjemności tego dnia spełniły jego oczekiwania z nawiązką. Kiedy dotarł na Place Vendome, był w wylewnym nastroju, który zawdzięczał posiłkowi i dobremu humorowi - a to niebezpieczne, kiedy robi się zakupy w Charvet.

Ubierający wyższe sfery od przeszło stu pięćdziesięciu lat, Charvet odpowiadał Samowi przez wzgląd na jego zamiłowanie do stonowanej ekstrawagancji koszul szytych na miarę. I nie komfort, styl i dopasowanie były dla Sama najważniejsze. Uwielbiał także cały ten rytuał, sam w sobie będący nieodłączną częścią procesu: wybieranie materiału, niespieszną rozmowę o mankietach,

kołnierzykach i kroju, pewność, że dostanie dokładnie to, czego chce. A dodatkową atrakcją było dostojne otoczenie, w którym te narady się odbywały.

Siedziba Charvet - którego nie sposób nazwać sklepem - zajmuje kilka kondygnacji jednego z najlepszych adresów w Paryżu: Place Vendome 28. Ledwie Sam przestąpił próg, a już postać czuwająca na tonącym w jedwabiu punkcie obserwacyjnym, wśród krawatów, szali i chusteczek, wyszła mu na spotkanie.

Był to Joseph, który kilka lat wcześniej wprowadził go w świat tajemnych rozkoszy ścięgu stębnowego i guzików z autentycznej masy perłowej. Razem wjechali małą windą do składu materiałów na piętrze i tam, pośród tysięcy bel popeliny, bawełny egipskiej, lnu, flaneli, batystu i jedwabiu, Sam spędził resztę popołudnia. Każda z tuzina koszul, które ostatecznie zamówił, miała być, jak wino, oznakowana rocznikiem, wszytą w wewnętrzny szew małą metką podającą rok produkcji.

W drodze powrotnej do hotelu jego myśli powędrowały ku człowiekowi, z którym miał się spotkać. Axel Schroeder od lat był jednym z najlepszych złodziei na świecie. Klejnoty, obrazy, obligacje, antyki: kradł, czy też, jak sam wolał to nazywać, pośredniczył w zmianie właścicieli. Nie robił tego dla siebie, jak zawsze podkreślał - sam był człowiekiem o prostych upodobaniach - tylko dla swoich pazernych klientów. Schroeder i Sam poznali się przy okazji zgłębiania różnych aspektów tego samego fachu. Z czasem nabrali do siebie swoistego szacunku i odtąd, powodowani kurtuazją zawodową, nie wchodzili sobie nawzajem w paradę. Schroeder miał ważne paszporty trzech różnych państw i Sam podejrzewał, że przeszedł niejedną operację plastyczną zmiany odcisków palców. Był człowiekiem przezornym.

Schroeder czekał już w barze hotelu Montalembert, z lampką szampana na stoliku przed nim. Smukły, ubrany w jasnoszary prążkowany garnitur o nieco staromodnym kroju, z opalenizną narciarza, nienagannie przystrzyżonymi srebrzystymi włosami i paznokciami błyszczącymi po niedawnym manicure, bardziej przypominał emerytowanego dyrektora wielkiego przedsiębiorstwa niż nestora złodziejskiego rzemiosła.

- Miło cię znów zobaczyć, ty stary łajdaku - powiedział Sam, kiedy wymienili uścisk dłoni.

Schroeder uśmiechnął się.

- Drogi chłopcze - powiedział - pochlebstwami nic nie wskórasz. Czyżby w Los Angeles wreszcie przejrżeli na oczy i cię wywalili? - Dał znak kelnerowi. - Poproszę kieliszek szampana dla mojego przyjaciela. I niech pan pamięta, by dopisać mu to do rachunku.

Schroeder, jako człowiek dobrze poinformowany, wiedział, że Sam zerwał z życiem przestępcy i na dobre przeszedł na stronę prawa. Nic dziwnego, że to nie ułatwiało rozmowy. Przez kilka minut wydawało się, że rozgrywają partię niewidzialnego pokera, wymieniając uprzejmości, podczas gdy Schroeder czekał, aż Sam pokaże, co ma na ręku.

- Nie poznaję cię, Axel - powiedział Sam. - Gawędzimy już dziesięć minut, a ty nawet nie spytałeś, co tu robię.

Schroeder napił się szampana, zanim odpowiedział.

- Znasz mnie, Sam. Nie lubię być wścibski. Ciekawość bywa bardzo niezdrowa. - Wyjął z kieszeni na piersi jedwabną chusteczkę i otarł sobie usta. - Ale skoro już o tym wspomniałeś... Co właściwie sprowadza cię do Paryża? Zakupy? Dziewczyna? Chęć zjedzenia porządnego posiłku po tych wszystkich cheeseburgerach?

Sam opowiedział mu o kradzieży, bacznie wypatrując jakiegokolwiek zmiany jego wyrazu twarzy. Bez skutku. Schroeder milczał i tylko od czasu do czasu kiwał głową z nieprzeniknioną miną. Kiedy Sam usiłował wyciągnąć z niego, co naprawdę wie

- i czy w ogóle wie cokolwiek - nawet na najbardziej ogłędne pytania dostawał tylko uprzejme, ale nic niemówiące odpowiedzi. Minęło frustrujące pół godziny, zanim uznał, że pora dać za wygraną. Kiedy wstawali od stolika, podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę.

- Axel, znamy się od lat. Nie sypnę cię, możesz mi wierzyć. Kto cię wynajął?

Twarz Schroedera była studium zdumienia i niewinności. Zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Drogi chłopcze, nie wiem, o czym mówisz.

- To twój stały tekst.

- W istocie. - Uśmiechnął się szeroko i klepnął Sama w ramię.

- Ale przez wzgląd na starą znajomość spróbuję się czegoś dowiedzieć. Odezwę się, jeśli będę coś miał.

Sam patrzył przez okno, jak Schroeder schyla się i wsiada na tył czekającego mercedesa. Odjeżdżając, miał przy uchu telefon komórkowy. Czy ten stary zbój tylko udawał, że nic nie wie?

A może udawał, że wie dużo więcej, niż jest gotów zdradzić? Przy kolacji będzie dość czasu, by o tym pomyśleć.

Jako ostatnią atrakcję swojego dnia wolnego Sam zaplanował wczesną kolację w Cigale Recamier, którą zamierzał zjeść samotnie. To była jeszcze jedna drobna przyjemność, na jaką sobie pozwalał, najlepiej podsumowana przez bon - mot, który poznał na kursie winiarskim w Suze - la - Rousse. Jego autorem był finansista Nubar Gulbenkian, który wyznawał zasadę, że idealna kolacja to taka, w której uczestniczą dwie osoby: „Ja i sommelier”. (Wersja z sommelierem była Sama. Gulbenkian mówił o szefie sali).

We współczesnym, towarzysko usposobionym świecie samotny gość restauracji jest postacią niezrozumianą. Bywa nawet, że staje się obiektem pewnego współczucia, panuje bowiem powszechne przekonanie, że nikt nie chciałby z własnej woli siedzieć w pojedynkę w zatłoczonym lokalu. A mimo to, dla tych, którzy dobrze się czują we własnym towarzystwie, stolik dla jednej osoby ma wiele zalet. Przy braku rozpraszających uwagę współbiesiadników można należycie skupić się na jedzeniu i winie. Podśluchiwanie rozmów przy sąsiednich stolikach często wynagradzane jest wyławianiem fascynujących niedyskrecji. No i, rzecz jasna, uważny obserwator może rozerwać się przy oglądaniu przedstawień, jakie dają inni goście; jest to coś, co obowiązkowo zobaczyć powinien każdy, kogo bawi i intryguje nieustannie zmieniająca się mozaika ludzkiego zachowania.

Cigale Recamier, o pięć minut piechotą od hotelu, była jednym z ulubionych przystanków Sama w Paryżu. Schowana na końcu ślepego zaułka odchodzącego od Rue de Sevres, miała wszystko to, co dla Sama w restauracji liczyło się najbardziej. Była prosta, bezpretensjonalna, z wysoce profesjonalną obsługą. Ci sami kelnerzy pracowali tam od zawsze; opanowali swój zawód do perfekcji, a listę win znali na pamięć. Klientela stanowiła ciekawą mieszankę - wśród miejscowych stałych bywalców Sam widywał ministrów, czołowych tenisistów i aktorów. A do tego jeszcze dochodziły suflety - lekkie i delikatne, smakowite i słodkie.

Ktoś, kto miał do nich słabość, w zasadzie nie musiał zamawiać nic ponadto; mogły wystarczyć za cały posiłek.

Sama zaprowadzono do małego stolika przed szerokim filarem zajmującym środek sali. Usadowiony plecami do filaru, miał przed sobą szereg stolików ustawionych pod ścianą, której większą część zajmowały lustra. Dzięki temu widzieć mógł nie tylko gości na wprost siebie, ale i to, co działo się za jego plecami. Idealne miejsce dla restauracyjnego podglądacza.

Kelner przyniósł lampkę chablis i menu, po czym wskazał tablicę, na której wypisane były dania dnia. Sam wybrał kotlety jagnięce ~ proste, prawdziwe, zarumienione, idealnie przyrządzone kotlety jagnięce, do tego trochę sera i na deser suflet karmelowy. Wybór wina pozostawił kelnerowi, pewien, że jest w dobrych rękach. Z cichym, błogim westchnieniem, odchylił się na oparcie krzesła i wrócił myślami do swojej ostatniej kolacji przed wyjazdem z Los Angeles.

To był jeden z jego regularnych wypadów z Bookmanem. Postanowili sprawdzić szalenie modną restaurację w Santa Monica, świątynię ku czci skrajnych form kuchni fusion i śmiałych eksperymentów kulinarnych. Było to, według jednego z zachwyconych recenzentów, gastronomiczne laboratorium. Powinni byli wyczuć, co się święci. Dostali mnóstwo malusieńkich dań - niektóre na łyżeczce do herbaty, inne w szklanym zakraplaczu do oczu. Sosy serwowano w strzykawkach, a nieco afektowany kelner udzielił im dokładnych instrukcji, jak jeść każdą z potraw. W miarę jak posiłek przechodził na paluszkach od jednego jadalnego cacka do następnego, Bookman popadał w coraz większe przygnębienie. Na prośbę o chleb usłyszał, że szef kuchni nie pochwała łączenia jego dań z chlebem. Cierpliwość Bookmana wreszcie się wyczerpała, kiedy kelner zaczął rozplýwać się nad dessert du jour, którym okazały się lody o smaku jajka sadzonego na bekonie. Tego już było za wiele dla nich obu. Wyszli i ruszyli w miasto poszukać czegoś do jedzenia.

Stoliki wokół Sama zaczynały się zapełniać i jego uwagę przykuła para siedząca naprzeciwko, ramię przy ramieniu. Mężczyzna był w średnim wieku, elegancko ubrany i jak się zdawało, dobrze znany kelnerom. Jego towarzyszka, prześliczna dziewczyna, może osiemnastoletnia, o twarzy młodej Jeanne Moreau, słuchała go w skupieniu. Siedzieli bardzo blisko siebie i mieli jedną kartę dań. Sam złapał się na tym, że się na nich gapi.

- Elle est mignonne, eh? - powiedział kelner, podając mu kotlety jagnięce, i poruszył brwią w stronę dziewczyny. Sam skinął głową. Kelner zniżył głos. - Monsieur to nasz stary klient, a to jego córka. Uczy ją, jak jeść kolację z mężczyzną. - Tylko we Francji, pomyślał Sam. Tylko we Francji.

Później, wracając bocznymi uliczkami do hotelu, rozmyślał o swoim wolnym dniu. Od Maneta i Moneta po kotlety jagnięce i godny zapamiętania na długo suflet karmelowy, była to dla niego podróż sentymentalna, połączona z częstymi ukłuciami melancholii. Mimo braku liści na drzewach, Paryż wyglądał zachwycająco. Paryżanie, którym wyraźnie groziło, że przestaną uchodzić za uosobienie arogancji i froideur, byli życzliwi. Muzyka rozbrzmiewającego wokół języka francuskiego, ciepły aromat świeżo upieczonego chleba płynący z boulangeries, stalowoszary poblask Sekwany - wszystko było tak, jak to zapamiętał, a przy tym wydawało się zupełnie nowe. Paryż tak działa na ludzi.

To był udany dzień. Przyjemnie zmęczony, Sam wziął gorącą kąpiel, żeby złagodzić znużenie wywołane zmianą stref czasowych. Tej nocy spał jak kamień.

## Rozdział 8

Następnego dnia, w trakcie krótkiego lotu do Bordeaux, Sam dla zabicia czasu zajął się wyszukiwaniem różnic między samolotem pełnym Francuzów a samolotem pełnym Amerykanów. Kiedy usiadł na swoim miejscu, jego pierwsze wrażenie było takie, że w kabinie jest dużo mniejszy gwar. Rozmowy były ściszone, nic tak bowiem nie przeraża Francuzów, jak myśl, że ktoś mógłby ich podsłuchać. Pasażerowie wydawali się drobniejsi, o ciemniejszej karnacji; mniej było blondynów i blondynek. Mniej było także iPodów, za to więcej książek. Amerykański nawyk popijania butelkowanej wody od rana do wieczora nie udzielił się jeszcze francuskim pasażerom (choć, jako że wielu z nich pochodziło z Bordeaux, niewykluczone, że ze względów zdrowotnych ograniczali się do wina). Nie było podjadania. Co do ubrań, ich styl lokował się gdzieś pomiędzy kategoriami „strój do biura” a „strój na polowanie na ptaki”. Na garnitury narzucone były sięgające bioder kurtki myśliwskie w kolorze mchu i Sam wręcz spodziewał się zobaczyć wystającą z kieszeni którejś z nich głowę martwego bażanta. Mężczyźni mieli dłuższe włosy i silnie wionęło od nich wodą po goleniu, ale w zasięgu wzroku nie było ani jednego męskiego kolczyka czy baseballówki. Przeważał styl bardziej oficjalny.

Było jednak jedno ogromne podobieństwo między Francuzami a ich amerykańskimi kuzynami. Ledwie samolot podjechał do hali przylotów, a już, jak w wyćwiczonym manewrze, wyłoniło się dwieście telefonów komórkowych, by pasażerowie mogli powiadomić żony, kochanki, kochanków, sekretarki i partnerów biznesowych, że pilot także i tym razem wywinął się śmierci i zdołał bezpiecznie wylądować. Sam, który w zasadzie zgadzał się z opinią, że dziewięćdziesiąt procent rozmów przez komórki jest niepotrzebne, nie miał nic przeciwko temu, by czekać na swój bagaż w milczeniu, jeden niemy w tłumie gaduł.

Wypatrując swojej asystentki, madame Costes, rozejrzał się po tłumie w hali przylotów, aż jego wzrok spoczął na kobiecie, która stała na uboczu. Na wysokości bioder trzymała kawałek tektury z jego nazwiskiem. Wyglądała prawie jakby było jej wstyd, że na oczach ludzi zaczepia nieznanego człowieka wysiadającego z samolotu. Podeszedł do niej, by się przedstawić.



Czekało go miłe zaskoczenie - madame Costes bynajmniej nie była starą, krzepką jejmością z płaskostopiem i lekkim wąsikiem, jakiej się spodziewał. Okazała się szczupłą trzydziestokilkulatką, ubraną zwyczajnie, w sweter i spodnie, a do tego jedwabny szal, luźno zawiązany na szyi. Miała okulary przeciwsłoneczne, w tej chwili nasunięte na płowe, prawie, ale nie całkiem blond włosy. Jej twarz była w typie tych, jakie zwykle ogląda się w magazynach poświęconych życiu sławnych i bogatych: pociągła, wąska i arystokratyczna. Krótko mówiąc, miał przed sobą ucieleśnienie bon chic bon genre. Podczas poprzednich wizyt we Francji Sam często słyszał to wyrażenie - zazwyczaj w formie skrótu BCBG - używane w odniesieniu do osób mających określoną klasę i styl: eleganckich, konserwatywnych i wiernych marce Hermes.

Sam z uśmiechem uściśnął jej dłoń.

- Dzięki, że przyjechała pani po mnie. Mam nadzieję, że nie zepsuło to pani całego popołudnia.

- Skądże znowu. Miło wyrwać się z biura. Witam w Bordeaux, panie Levitt.

- Proszę, mów mi Sam.

Przekrzywiła głowę i uniosła brwi, jakby zaskoczona, że ledwo ją poznał, a już się spoufala. No ale przecież był Amerykaninem.

- Ja jestem Sophie... Chodź, samochód czeka przed terminalem.

Zaprowadziła go do wyjścia, szukając kluczyków w dużej skórzanej torebce, kolorem i fakturą przypominającej mocno wytarte siodło. Sam spodziewał się, że jej samochód okaże się standardowym francuskim modelem: małym, zwinnym i niewyobrażalnie ciasnym dla każdego o typowo amerykańskich, długich nogach. Tymczasem zatrzymali się przy ciemnozielonym, ubłoconym range roverze.

Sophie cmoknęła z dezaprobatą.

- Przepraszam za samochód - powiedziała. - Wczoraj byłam na wsi. Wszędzie błoto.

Sam uśmiechnął się szeroko.

- W Los Angeles drogówka pewnie zatrzymałaby cię za prowadzenie niehigienicznego pojazdu.

- Ah bon? Zatrzymaliby mnie?

- Żartuję. - Sam rozsiadł się wygodnie, podczas gdy Sophie szybko i zdecydowanie przebijiała się przez korek na drodze wyjazdowej z lotniska. Jej dłonie na kierownicy były tak BCBG jak

cała reszta jej osoby: krótko obcięte, wypolerowane, ale niepomalowane paznokcie, mały złoty sygnet na małym palcu, tak stary, że zdobiący go herb rodowy zupełnie się wygładził, i klasyczny zegarek Cartier Tank z czarnym paskiem z krokodylej skóry.

- Zarezerwowałam ci pokój w Splendide - powiedziała Sophie. - To w starej części miasta, blisko Maison du Vin. Mam nadzieję, że będzie ci odpowiadał. Mnie trudno to ocenić, bo tu mieszkam. Jeszcze nigdy nie nocowałam w hotelu w Bordeaux.

- Kiedy się tu sprowadziłaś?

- Urodziłam się w Pauillac, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. Czyli jestem... une filie de coin, miejscową dziewczyną.

- A twój angielski? Nie mów, że też pochodzi z Pauillac.

- Przed laty spędziłam trochę czasu w Londynie. Wtedy trzeba było mówić po angielsku; francuskiego nikt nie znał. Dziś Londyn to prawie une ville francaise. Mieszka tam ponad trzysta tysięcy Francuzów. Mówią, że tam łatwiej robić interesy. - Sophie nachyliła się nad kierownicą. - No, dość tych pytań. Muszę się skupić.

Przebrnęła przez sieć ulic jednokierunkowych i zatrzymała się przed hotelem, osiemnastowiecznym gmachem z pompatyczną fasadą, emanującym napuszczonym dostojeństwem.

- Voila - oznajmiła. - Muszę wracać do biura, ale jak chcesz, możemy zjeść razem kolację.

Sam skinął głową i uśmiechnął się.

- Chcę.

Czekając na nią w hotelowym holu - czy, jak nazwano go w hotelowej broszurze, salon bourgeois „cosy” - Sam czuł ulgę i optymizm po swoim pierwszym spotkaniu z Sophie Costes. Wiedział, że to z jego strony krańcowo niegodne i szowinistyczne, ale zdecydowanie wolał pracować z ładnymi kobietami. A Sophie miała jeszcze tę zaletę, że urodziła się i wychowała w Bordeaux. Z tego, co czytał o miejscowych stosunkach towarzyskich, był to jeden wielki labirynt silnych lub zerwanych powiązań rodzinnych, trwających setki lat sporów i sojuszy. Dobrze zorientowany przewodnik będzie bezcenny.

Stukot wysokich obcasów na posadzce oznajmił przybycie Sophie. Przebrała się do kolacji. Mała czarna, naturellement. Dwa sznury pereł. Gruby czarny kaszmirowy szal. Intrygująca nutka zapachu. Sam poprawił krawat.

- Dobrze, że włożyłem garnitur - powiedział. Sophie się zaśmiała.

- A jaki jest normalny strój wyjściowy mężczyzn w Los Angeles?

- Och, dzinsy za pięćset dolarów, kowbojki z wężowej skóry, T-shirt od Armaniego, jedwabna marynarka, czapka baseballowa od Louis Vuittona... no wiesz, siermiężne, chłopskie łąchy. Ale bez pereł. Prawdziwy mężczyzna nie nosi pereł.

Sophie zrobiła taką minę, jakby ta ostatnia informacja potwierdziła jej wcześniejsze spostrzeżenie.

- Ty chyba nie jesteś poważnym człowiekiem.

- Taki mam cel - przyznał Sam - ale w kwestii kolacji potrafię być śmiertelnie poważny. Dokąd się wybieramy? Mam zamówić taksówkę?

- Możemy pójść pieszo. To zaraz za rogiem... mała knajpka, ale z dobrym jedzeniem i równie dobrą kartą win. - Kiedy szli ulicą, Sophie odwróciła się do Sama i zadarła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. - Chyba pijesz wino, co?

- Jeszcze jak. A myślałaś, że co będę pił? Diet colę? Mrożoną herbatę?

Sophie zbyła to pytanie machnięciem ręki.

- Z Amerykanami nigdy nic nie wiadomo.

Restauracja spodobała się Samowi od pierwszego wejrzenia. Była przytulna, niewiele większa od jego salonu w Chateau Marmont, z małym kontuarem na jednym końcu, lustrami i oprawionymi czarno - białymi zdjęciami portretowymi na ścianach, niewymyślnymi meblami i grubymi, białymi obrusami. W środku powitała ich uśmiechnięta brunetka, przedstawiona Samowi jako Delphine, żona szefa kuchni. Sądząc po wymianie pocałunków między obiema paniami, Sophie musiała tu być stałą bywalczynią. Delphine zaprowadziła ich do stolika w kącie, zaproponowała lampkę szampana na czas przeglądania karty dań i pospieszyła z powrotem do kuchni.

- Takie właśnie knajpki lubię najbardziej - powiedział Sam, rozglądając się. - Doskonały wybór. - Wskazał ruchem głowy ścianę naprzeciwko. - Kim są ci goście na zdjęciach?

- To vigneroni, znajomi Oliviera, szefa kuchni. Na liście znajdziesz ich wina. Nie bądź zawiedziony, jeśli nie będzie żadnego z Kalifornii.

Delphine przyniosła szampana i karty dań. Sam wzniosł kieliszek.

- Dzięki, że zgodziłaś się mi pomóc. Ta robota od razu stała się dużo przyjemniejsza.

Sophie przekrzywiła głowę.

- Musisz mi o niej opowiedzieć. Ale najpierw zamówimy. Sam natychmiast sięgnął po listę win.

- Jesteś jak mój dziadek - powiedziała, patrząc na niego.

- Zawsze najpierw wybierał wino, potem jedzenie.

- Mądry człowiek - skwitował Sam, z nosem wsadzonym w listę.

- No to ani chybi mój szczęśliwy wieczór. Zobacz, co znalazłem: Lynch - Bages rocznik '85. Jakże moglibyśmy go nie zamówić? Pochodzi z twoich rodzinnych stron. - Uśmiechnął się szeroko do Sophie. - A co dobraliby do tego twój dziadek?

Sophie zamknęła kartę dań.

- To oczywiście. Przyrumienioną pierś kaczki. Może na początek ostrygi i jeszcze po lampce szampana?

Patrząc na nią, Sam zamknął listę win i wrócił myślą do tych wszystkich kolacji w Los Angeles z dziewczynami, dla których gastronomicznym wyzwaniem było wszystko, co większe od dwóch krewetek z liściem sałaty. Jakże przyjemnie dla odmiany dzielić stolik z kobietą, która lubi sobie podjąć.

Delphine przyjęła zamówienie i niemal od razu wróciła z winem i karafką. Pokazała Samowi butelkę, a kiedy skinął głową z aprobatą, zdjęła kapsułę, wyciągnęła korek - bardzo długi, ciemny i wilgotny - powąchała go, wytarła szyjkę butelki i przelała wino do karafki.

- Co się w Bordeaux sądzi o zakręcanych butelkach? - Przy całej praktyczności tego rozwiązania Samowi aż skóra cierpła na myśl, że szlachetne wino miałyby znosić takie poniżenie.

Sophie wzdrygnęła się lekko.

- Wiem. Niektórzy tu tak robią. Ale większość z nas pozostaje wierna tradycji. Myślę, że nieprędko zaczniemy rozlewać wino do butelek po lemoniadzie.

- I słusznie. Chyba jestem snobem, jeśli chodzi o korki, i tyle.

- Sam sięgnął do kieszeni i wyjął notes ze swoimi zapiskami. - Może przed ostrygami omówimy sprawy służbowe? Nie wiem, jak dużo ludzie z Paryża ci powiedzieli.

Sophie słuchała z uwagą, kiedy Sam szybko opowiedział jej o kradzieży i swoich bezowocnych poszukiwaniach, które skłoniły go do przyjazdu do Bordeaux. Już miał zaproponować plan działania,

kiedy przyniesiono ostrygi - dwa tuziny, pachnące morzem, do tego cienkie kromki ciemnego chleba i druga kolejka szampana.

Sophie wyjęła pierwszą ostrygę z muszli i chwilę trzymała ją w ustach, zanim przełknęła. Potem wzięła muszlę, odchyliła głowę do tyłu, odsłaniając smukłą szyję, i wysssała sok. To był pokaz, od którego Sam nie mógł oderwać oczu.

Sophie uprzytomniła sobie, że jest obserwowana.

- Gapisz się na mnie - powiedziała.

- Podziwiam twoją technikę. Mnie zawsze leje się po brodzie.

Sophie sięgnęła po drugą ostrygę.

- To bardzo proste - powiedziała. - Do picia soku trzeba ułożyć usta - o, w taki sposób. - Odeła wargi i wysunęła je do przodu tak, że przybrały kształt litery „O”. - Teraz podnosisz muszlę, aż dotknie twojej dolnej wargi. Odchylasz głowę, ssiesz lekko, et voila. Ani kropli na brodzie. Teraz ty.

Sam spróbował raz, potem drugi, i wreszcie przy czwartym podejściu Sophie uznała, że można mu bezpiecznie dać ostrygę do ręki. Odprężona po tym edukacyjnym przerywniku, stała się dociekliwa i spytała Sama, gdzie zaznajomił się z bordo na tyle, by wyłowić z listy win prawdziwą perłę. A dalej rozmowa potoczyła się wartko i kiedy przyniesiono kaczkę, czuli się już swobodnie w swoim towarzystwie.

Sam przystąpił do rytualnej degustacji wina, świadom, że jest pod okiem eksperta. Uniósł kieliszek do światła, by obejrzeć kolor. Delikatnie zakręcił winem. Powąchał je; nie raz, nie dwa, lecz trzy razy. Wziął łyżeczek i odczekał kilka sekund w skupieniu, zanim przełknął. Spojrzał na Sophie i postukał palcem w krawędź kieliszka.

- Poezja w butelce - powiedział głosem zniżonym w udawanym zachwycie. - Jędrne, acz wytworne. Nuta wiórków z ołówka... A to co? Czyżbym wyczuwał soupçon tytoniu? Doskonała kompozycja, długo utrzymujący się smak. - Z powrotem przybrał normalny ton. - I jak mi idzie?

- Pas mal - powiedziała Sophie. - Dużo lepiej niż z ostrygami.

Jedli i pili bez pośpiechu i Sophie opowiedziała Samowi jedną ze swoich ulubionych historii związanych z winem, która, traf chciał, wydarzyła się w amerykańskiej restauracji. Klienci zamówili butelkę Petrus rocznik '82, wycenioną na sześć tysięcy dolarów. Wypili ją z należytą czcią i zadowoleniem. Zamówili drugą, za następnych sześć

tysięcy dolarów. Ta jednak smakowała inaczej, zdecydowanie inaczej, więc ją odesłali. Właściciel restauracji, okazując stosowną skruchę, podał im trzecią butelkę Petrus rocznik '82. Na szczęście, uznana została za równie dobrą jak ta pierwsza.

Kiedy goście wyszli, zdumiony właściciel restauracji zaniósł trzy butelki do eksperta, który po ich przebadaniu ustalił, co było nie tak z drugą butelką. W odróżnieniu od pozostałych, była autentyczna.

- Wiem, dlaczego ta historia ci się podoba - powiedział Sam.

- Dlatego, że pokazuje, jak mało Amerykanie wiedzą o winie.

- Pogroził jej palcem. - Mam dla ciebie dwa słowa: Robert Parker.

Jeszcze nie skończył mówić, a już kręciła głową.

- Nie, nie, w żadnym wypadku. To samo mogło się zdarzyć we Francji. Na pewno słyszałeś o degustacji na ślepo, w czasie której miejscowi kiperzy wzięli białe wino w temperaturze pokojowej za wino czerwone. Nie, to dobra anegdota dlatego, że płynie z niej morał.

- Podniosła kieliszek i objęła go dłońmi. - Nie ma czegoś takiego jak podniebienie doskonałe.

Sam nie był co do tego przekonany, ale pominął to milczeniem. Zauważył, że w karafce zostało jeszcze sporo wina i czuł potrzebę, by w pełni docenić smak każdego łyku.

- Cóż, pani profesor, co pani powie na odrobinę sera? Sophie uśmiechnęła się i nachyliła nad stolikiem.

- Mam dla ciebie jedno słowo - powiedziała, kiwając palcem.

- Camembert.

Co do tego byli w pełni zgodni: zwieńczeniem takiego posiłku mógł być tylko delikatny, słony camembert.

Kiedy rozstali się po kolacji, Sam złapał się na tym, że odprowadza Sophie wzrokiem. Ładna kobieta, pomyślał. Tej nocy śniło mu się, że uczy Elenę jeść ostrygi a la francaise.

Sophie mile wspominała swoje pierwsze spotkanie z Samem. Był dobrym kompanem, sprawiał wrażenie, jakby znał się na winie, a jego z lekka podniszczona twarz wyglądała całkiem atrakcyjnie. Do tego dochodziły jeszcze te piękne amerykańskie zęby. Może jednak nie będzie to taka znowu nudna robota.

## Rozdział 9

Następne dwa dni były dla Sama przyjemne, pouczające i z każdą chwilą coraz bardziej frustrujące. Dzięki znajomościom Sophie mieli wstęp do wszystkich winnic, włącznie z tymi, w których goście normalnie nie byli mile widziani. To także jej zasługą było to, że zarządcy majątków i piwnic bardzo chcieli im pomóc. W każdej z winnic - od wspaniałej Lafite Rothschild po niepozorną Petrus - para śledczych spotykała się z kurtuazyjnym przyjęciem. Byli cierpliwie wysłuchiwanie. Na każde pytanie dostawali odpowiedź. Tu i ówdzie poczęstowano ich nawet lampką nektaru. Sam musiał jednak przyznać, że wizyty te, choć powiększyły jego wiedzę o winie, nie przyniosły żadnych efektów. Bilans był przygnębiający: dwa dni, sześć winnic, sześć ślepych zaułków.

Wieczorem drugiego dnia, zmęczeni i przybici, Sam i Sophie poszli poszukać pociechy w barze hotelowym. Zamówili i dostali szampana, ten niezawodny środek pokrzepiający.

- Cóż, to chyba koniec - powiedział Sam, wznosząc kieliszek. - Przykro mi, że zmarnowałem twój czas. Dzięki za pomoc. Byłaś niesamowita.

Sophie wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej będziesz mógł się pochwalić w Los Angeles, że widziałeś kilka wielkich chateaux. - Uśmiechnęła się do niego. - Naszą skromną wersję Napa Valley.

Zadzwoiła jej komórka. Sophie spojrzała na nią, skrzywiła się, westchnęła i odstawiła szampana.

- Mój адвокат. Przepraszam. - Wstała i odeszła na bok, żeby odebrać.

Sam nie pierwszy raz widział we Francji takie zachowanie i nie mógł rozstrzygnąć, czy brało się z dobrych manier, czy ze strachu przed podsłuchującymi. Tak czy owak, kiedy tylko to było możliwe, Francuzi starali się nie przeszkadzać innym swoimi rozmowami przez telefon komórkowy i woleli prowadzić je w jakimś ustronnym zakątku. Sam miał nadzieję, że jego rodacy kiedyś przejmą ten cywilizowany obyczaj.

Podczas gdy czekał, aż Sophie skończy rozmawiać, raz jeszcze przejrzał swoje notatki z wizyt w winnicach. W każdej pytali o stałych klientów, poważnych nabywców z dużymi caves wymagającymi ciągłego uzupełniania zapasów. Odpowiedzi przeważnie nie były

zaskakujące: Ducasse, Bocuse, Taillevent, Pałac Elizejski, Tour d'Argent, kilka banków prywatnych, paru miliarderów (których nazwisk, rzecz jasna, nie ujawniono). Innymi słowy, wszyscy, których można się było spodziewać.

Sam siedział z wzrokiem wbitym w notatki. I kiedy tak się w nie wpatrywał, nasunęło mu się inne pytanie, pytanie, którego nie przyszło im do głowy zadać. Wciąż jeszcze pluł sobie w brodę z tego powodu, kiedy wróciła Sophie.

Wychylił się do przodu z zadowoloną miną psa, który odkopał zapomnianą kość.

- Pamiętasz stare francuskie kryminały? Sophie spojrzała na niego bez wyrazu.

- No wiesz, te sceny, kiedy detektyw przypomina sobie coś, co mu umknęło?

Nadal milczała.

- Doznaje olśnienia i wali się dłonią w czoło. - Zademonstrował to na sobie. - „Zut! - mówi. - Przecież to oczywiste!” - Teraz już był szeroko uśmiechnięty.

- Zut? - zdziwiła się Sophie. - O co chodzi z tym „zut” i waleniem się w głowę? Dobrze się czujesz?

- Przepraszam. Tak, wszystko gra. Ale właśnie mnie tknęło, że może zadawaliśmy nie te pytania, co trzeba. Może powinniśmy raczej spytać, czy ktoś próbował kupić te konkretne roczniki i odszedł z kwitkiem, bo wszystkie zostały wyprzedane. Może gdzieś tam jest pasjonat z obsesją, ktoś taki, jak ten gość, który chciał wyłożyć ściany swojej piwnicy stu pięćdziesięcioma rocznikami Latour, ktoś zdecydowany uzupełnić braki w kolekcji za wszelką cenę. To już jakiś motyw, mam rację? - Jego twarz była jak pełen nadziei znak zapytania.

Sophie odeła usta i powoli pokiwała głową.

- To możliwe - powiedziała - zresztą, nic innego nam nie pozostało. - A poza tym, pomyślała, to dużo lepsza zabawa od siedzenia za biurkiem i ślęczenia nad wnioskiem właściciela winnicy o pokrycie szkód wywołanych przez przygruntowe przymrozki. - To co chcesz zrobić? Wracamy do chateaux? To chyba lepsze niż rozmowy przez telefon.

- Wracamy do chateaux. Jutro, z samego rana.

Sophie spojrzała na zegarek, zasępiła się i wzięła torebkę.



- Spóźnię się na spotkanie, a adwokatowi płacę od minuty. Czyli do jutra... to co, przyjdę po ciebie o dziesiątej?

- To ma być z samego rana?

- Sam. Jesteś we Francji.

Sam wstał wcześniej. Poprzedniego wieczoru dręczyły go wątpliwości, martwił się, czy dobrze robi, wyciągając Sophie na następny dzień walenia głową w mur. Jednak sen przywrócił mu optymizm, a poza tym świeciło słońce. Dobry znak. Postanowił pójść na śniadanie, znalazł tętniącą życiem kafejkę naprzeciwko Grand Theatre i usiadł z cafe creme i „Herald Tribune”.

Rzut oka na nagłówki nie zmienił tego poranka na lepsze. Na świecie wszystko było po staremu. Pożary lasów w południowej Kalifornii, jałowe pyskówki polityków w Waszyngtonie, gęstniejący smog nad Chinami, zamieszki na Bliskim Wschodzie, groźne pomruki Rosji, niepokój i apatia Europy i spora dawka ponurych wieści z Wall Street. A wśród tej litanii nieszczęść porzucane były reklamy zegarków i torebek, co jedna, to bardziej krzykliwa. Przypomnienie, że nawet najgorsze wiadomości nie stłumią pierwotnej ludzkiej żądzy zakupów.

Sam odłożył gazetę i rozejrzał się wokół. Inni klienci wydawali się dziwnie weseli. Jedząc tartines i popijając kawę, ze świeżymi twarzami nietkniętymi jeszcze przez troski nadciągającego dnia, sprawiali wrażenie nieświadomych, że sądząc z porannych wiadomości, jeszcze przed porą lunchu mógł nastąpić koniec świata.

Zamówił następną creme i wynotował wina i roczniki, których szukał: Lafite '53, Latour '61, Petrus '70, Yquem '75, Figeac '82, Margaux '83. Co za lista. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że szkoda takich skarbów dla Danny'ego Rotha. Roth widział w nich tylko symbol statusu w butelce, i to symbol cokolwiek niesatysfakcjonujący, nie mógł bowiem ich wywiesić na ścianie, by wszyscy mogli je podziwiać. Ciekawe, co zrobiłby z odszkodowaniem, zastanawiał się Sam, gdyby wina nie odnaleziono?

W dalszych rozmyślaniach przeszkodził mu dźwięk jego telefonu komórkowego. To była Sophie; zadzwoniła, żeby powiedzieć, że jeszcze nie ma dziesiątej, a ona, proszę, już jest w hotelu. Z samego rana, tak jak się umówili. Ale gdzie się podziewa on? To w Kalifornii tak długo się śpi?

Pospiesznie wrócił do hotelu i zastał ją w holu. Wyraźnie była w dobrym nastroju - uśmiechnięta, trzymała rękę w górze i stuknęła palcem w zegarek na nadgarstku, zadowolona, że przyszła przed nim. Tego ranka ubrana była tak, jakby przyjechała na koniu - w obcisłe spodnie wsunięte do butów z miękkiej skóry, kurtkę z tweedu i zawiązany na szyi jedwabny szal ozdobiony dyskretnym wzorkiem w podkowy (niewątpliwie marki Hermes). Szczyt hippicznego szyku. Oglądając ją z uznaniem od stóp do głów, Sam zastanawiał się, czy powinien zarzeć. Czegoś takiego nie widziało się w Los Angeles na co dzień.

- Fantastyczny strój - powiedział. - Szkoda, że zapomniałaś ostróg. Przepraszam, że kazałem ci czekać. I jak, jesteś dobrej myśli?

- Oczywiście - odparła. - Tres optimiste. Dzisiaj coś znajdziemy. Zobacysz. - Kiedy ruszyli do samochodu, wzięła go pod ramię. - Zaczniemy od Lafite?

W czasie jazdy z Bordeaux do Medoc Sophie wyjaśniła, skąd wziął się jej doskonały nastrój. Poprzedniego wieczoru, po rozstaniu z Samem, spotkała się ze swoim adwokatem, który powiadomił ją, że wreszcie udało się zakończyć trwający trzy lata spór z jej byłym mężem, i tym samym wkrótce będzie mogła ponownie wziąć ślub. Uzgodniono warunki ugody. Jej eks zatrzyma łódź w Saint - Barth, z której wynajmu się utrzymywał; Sophie zachowa mieszkanie w Bordeaux. Może nawet pozostaną przyjaciółmi. A może nie. Od początku były z nim kłopoty, zwierzyła się Sophie, wciąż wypływał gdzieś łodzią i znajdował sobie jakieś nieodpowiednie panienki.

- Hmm - powiedział Sam. - Wyczuwam w nim bratnią duszę.

Sophie się roześmiała.

- Lubisz łodzie?

- Wolę dziewczyny. Nie przyprowadzają mnie o chorobę morską.

Sophie wybrała drogę, która przecinała płaskie, nieskazitelnie czyste pola z równymi jak od linijki rzędami winorośli ciągnącymi się po horyzont. I po lewej, i po prawej stronie były winnice: Leoville Barton, Latour, Pichon - Lalande, Lynch - Bages, Pontet - Canet. Sam czuł się, jakby jechali przez listę win z najwyższej półki.

- Byłaś kiedyś w kalifornijskiej krainie winnic? - spytał.

- W Napa i Sonoma? Nie, nigdy. Może kiedyś. Jest tam podobnie jak tutaj?

Sam pomyślał o suchych, brązowych wzgórzach, rozległych, nowoczesnych winiarniach ze sklepami z pamiątkami i autokarach pełnych gości.

- Nie całkiem. Ale niektóre z win są niezłe.

- A wiesz, dlaczego? - Sophie nie dała mu szansy odpowiedzieć.

- Bo teraz macie tam tylu Francuzów, którzy robią wino. - Uśmiechnęła się do niego szeroko. - Jestem strasznie chauvine. Według mnie, francuskie wino nie ma sobie równych.

- Spróbuj powiedzieć to Włochowi.

- Włosi robią ubrania i buty. I jeden dobry gatunek sera. Ich wino... - Kąciki jej ust opadły i lekceważąco machnęła ręką. Wyraźnie nie było o czym dyskutować. Kolejne zwycięstwo, pomyślał Sam, francuskiego kompleksu wyższości.

Pozostawiwszy w tyle centrum Paillac, zobaczyli Chateau Lafite, stojące na niskim pagórku dość daleko od drogi. Sophie zatrzymała range rovera i odwróciła się do Sama.

- Tylko to jedno pytanie, tak? Czy w ciągu ostatniego roku ktoś próbował kupić rocznik '53 i odszedł z pustymi rękami?

- Tak - powiedział Sam. - Trzymajmy kciuki.

Czas mijał, pierwsze dwie winnice zostały wykreślone z listy i Sam nabierał przekonania, że czeka ich powtórka frustracji ostatnich dwóch dni. Ich rozmówcy wyteżali pamięć, marszczyli brwi, wzruszali ramionami, ale - desole, mais non - nikt nie przypominał sobie pełnego nadziei, ale ostatecznie rozczarowanego nabywcy.

Szczęście uśmiechnęło się do nich w trzecim odwiedzionym miejscu. Zarządca majątku, rodowity mieszkaniec Pauillac i przyjaciel rodziny Sophie, mgliście pamiętał, że zeszłej jesieni miał gościa, który szukał jednego określonego rocznika; był to dość uparty jegomość, który nie rozumiał słowa „nie”. Zostawił swoją wizytówkę, żeby można się z nim było skontaktować, gdyby pojawiły się butelki z tego konkretnego rocznika. Zarządca majątku poskrobał się po głowie i przeszperał szuflady swojego biurka, aż wreszcie wyjął starą cygarnicę, w której trzymał wizytówki mogące się kiedyś przydać. Wysypał je na blat - widniały na nich nazwiska klientów z Anglii i Ameryki, krytyków winiarskich z całego świata, kilku mistrzów kucharskich, bednarzy, sommelierów - i rozłożył na biurku, tworząc imponującą wystawę kaligrafii na cienkiej białej tekturce.

Jego palce zatrzepotały nad wizytówkami, by po chwili znieruchomieć.

- Voila - powiedział, odsuwając jedną od pozostałych - un monsieur tres insistant.

Sophie i Sam wychyliłi się do przodu, żeby przeczytać wizytówkę.

Florian Vial

Caviste

Groupe Reboul

Palais du Pharo 13007 Marseille

W drodze do następnej winnicy - czwartej tego dnia - Sam spytał Sophie, czy wie coś o Groupe Reboul. Czy słyszała kiedyś tę nazwę? Czy to hurtownia win?

Sophie się zaśmiała.

- Każdy Francuz zna Groupe Reboul. Jest wszędzie, zajmuje się wszystkim. - Zmarszczyła brwi. - Oprócz wina. Nie słyszałam, by Reboul handlował winem. Później ci o nim opowiem, ale nie podniecaj się za bardzo. To pewnie tylko przypadkowa wizyta.

Być może jednak się myliła, jako że i w Figeac, i potem w Margaux dowiedzieli się, że monsieur Vial był tam przed nimi, szukając w pierwszej winnicy rocznika '82, a w drugiej '83. W obu zostawił wizytówki.

- Dwa razy to może być zbieg okoliczności. - oświadczył Sam. - Trzy razy - nie. Postawię ci kolację, jeśli opowiesz mi wszystko o Reboulu.

## Rozdział 10

Sarn zawsze uważał się za poszukiwacza przygód gastronomicznych, gotowego zjeść prawie wszystko, co przed nim stawiano: ślimaki, żabie udka, zupę z płetwy rekina, mrówki w czekoladzie, wiewiórkę zapiekana w glinie - każdego z tych specjałów skosztował i nawet jeśli nie wszystkie mu smakowały, to na pewno były interesujące. Odwaga opuszczała go jednak w jednym jedynym wypadku: kiedy chodziło o tę przebogata kolekcję bebeczów i wnętrzności, znaną jako podroby. Na samą myśl o flakach przechodził go dreszcz. Był klasycznym przykładem człowieka, który nie próbuje czegoś, bo jest pewien, że tego nie polubi, i odkąd sięgał pamięcią, udawało mu się unikać potraw, w których występowały wnętrzności w dowolnej postaci. Ten stan rzeczy miał się zmienić.

Sophie nalegała, by kolację także i tym razem zjedli w restauracji Delphine, i po drodze wytłumaczyła mu dlaczego. Był czwartek. A w każdy czwartek Olivier, szef kuchni, przyrządzał boskie rognons de veau - nerki cielęce - gotowane w porto i serwowane z puree ziemniaczanym tak lekkim i puszystym, że zdawało się wręcz samo wpływać z talerza do ust. Uwielbiała tę potrawę jak żadną inną, co do tego nie było wątpliwości. Właśnie zaczynała opisywać zalety sosu, kiedy zauważyła brak entuzjastycznej reakcji Sama i jego lekko skonsternowaną minę.

Zatrzymała się i odwróciła do niego.

- No tak - powiedziała - zapomniałam. Amerykanie nie jadają nerek, prawda?

Patrzyła z rozbawieniem, jak Sam bierze głęboki wdech.

- Nie jesteśmy ich miłośnikami. Jakoś nie przepadamy za wnętrznościami, i tyle. Ja nigdy ich nie próbowałem.

- Wnętrznościami?

- No wiesz... narządami wewnętrznymi. Żołądkami, wątrobami, płucami, grasicami, podrobami...

- ...i nerkami. - Sophie spojrzała na niego ze współczuciem. Jak można przeżyć całe życie i nie skosztować nerki? Stanowczo postukała go w ramię palcem. - Umówmy się tak: spróbujesz i jeśli nie będą ci smakować, możesz zamówić steak frites na mój koszt. Zaufaj mi.

Usiedli przy stoliku i Sam już sięgał po listę win, kiedy palec Sophie znów wkroczył do akcji, tym razem kiwając się jak metronom.

- Mais non, Sam. Jak możesz wybierać wino do czegoś, czego nigdy nie próbowałeś?

Sam oddał listę i odchylił się na oparcie, podczas gdy Sophie studiowała stronę za stroną, przygryzając dolną wargę w skupieniu. Był ciekaw, czy potrafiła gotować, a jeśli tak, to co miała na sobie, gdy to robiła. Jedwabny szal przy smażeniu omletów? Perły przy deserze? Czy Hermes szyje fartuszki kuchenne? Jego rozmyślania przerwała Delphine, niosąca kieliszki szampana, i dwie kobiety odbyły szeptem naradę, która zakończyła się wymianą skinień głową i uśmiechów.

- Bon - powiedziała Sophie. - Na początek bliny z kawiozem. Potem rognons, z wybornym Pomerol rocznik 2002, z Chateau L'Evangile. Może być?

- Nigdy nie spieram się z piękną kobietą, która zna się na nerkach.

Trącili się kieliszkami i Sophie opowiedziała Samowi wszystko, co wiedziała o Groupe Reboul.

Brytyjczycy mają Bransona, powiedziała. Włosi Berlusconi. Francuzi zaś mają Francisca Reboula - zwanego Sissou przez przyjaciół i zaufanych dziennikarzy, którzy od czterdziestu lat dokumentują jego biznesowe dokonania. Stał się on człowiekiem - instytucją; czy, jak chcą niektórzy, skarbem narodowym, barwną postacią, chłopcem z Marsylii, któremu się powiodło i który upajał się swoim sukcesem. Rozgłos mu odpowiadał. Jego krytycy zarzucali mu wręcz, że nie może się rano ubrać bez wydania komunikatu prasowego o kolorze swojego krawata i ogólnym stanie swojej garderoby. To rzecz jasna zapewniało mu przychylność mediów; był chodzącym wydarzeniem, zawsze było co o nim pisać.

I bez przerwy robił rozmaite interesy, dodała Sophie. Imperium biznesowe, które zbudował przez lata, obejmowało branżę budowlaną, regionalne gazety i stacje radiowe, drużynę piłkarską, oczyszczalnię ścieków, transport, elektronikę - wydawało się, że miał udziały we wszystkim.

Urwała, kiedy przyniesiono bliny.

- A co z winem? - spytał Sam. - Ma jakąś winnicę?

- Nie wiem. Jeśli tak, to nie tutaj. - Wzięła kęs blina i jej oczy zamknęły się na chwilę. - Mmm, psychota. Mam nadzieję, Sam, że lubisz kawior?

- Uwielbiam. Jak chyba każdy.

- Gdzie tam każdy. Są dziwni ludzie, którzy nie jadają rybich wnętrzności. - Uśmiechnęła się słodko i włożyła do ust następny kawałek blina.

Sam uniósł dłonie w geście kapitulacji.

- Dobrze, już dobrze. Niech będzie, że lubię rybie wnętrzności. A teraz mów dalej o Reboulu.

Sophie poszukała w pamięci strzępków informacji o Reboulu, które wychwyciła z prasy i telewizji. Mieszkał w Marsylii, w pałacu czy czymś takim. Jego pasją, do której się często i publicznie przyznawał, była Francja i wszystko, co francuskie (z wyjątkiem Paryża, do którego, jak każdy szanujący się marsylczyk, odnosił się nieufnie). Zdobywał się nawet na najwyższą ofiarę, jaką jest płacenie podatków we Francji, i co roku organizował w kwietniu konferencję prasową, by opowiedzieć światu o tym, jak wielki wkład wnosi do gospodarki narodowej. Lubił młode damy i chętnie pokazywał się z nimi na łamach pism plotkarskich; pobłażliwi dziennikarze nazywali je jego „siostrzenicami”. Miał dwa jachty: jeden, na lato, w Saint - Tropez, drugi, na zimę, na Seszelach. A do tego, rzecz jasna, prywatny odrzutowiec.

- I to wszystko, co wiem - powiedziała Sophie. - Jeśli potrzeba ci czegoś więcej, będziesz musiał pogadać z moją fryzjerką. Ma hopla na jego punkcie. Uważa, że powinien zostać prezydentem. - Zerknęła nad ramieniem Sama. - Zamknij oczy. Niosą nerki.

Sam zamknął oczy, ale węchem poznał, że nerki znalazły się na stoliku przed nim. Opuścił głowę i wciągnął w nozdrza mocny zapach podobny do woni dziczyzny, bardziej intensywny od aromatu zwyczajnego mięsa, ciepły, bogaty i niezmiernie apetyczny. Może jednak mylił się co do podrobów. Otworzył oczy. Wonna smużka pary unosiła się z wyrastającego pośrodku talerza wulkanu z ziemniaczanego puree, w którego kraterze rozlewało się jeziorko sosu. Wokół ziemniaków leżały cztery pulchne, ciemnobrązowe nerki, każda mniej więcej wielkości piłki golfowej.

Sophie wychyliła się nad stolikiem, by nałożyć mu na talerz odrobinę musztardy.

- Nie można z nią przesadzić, bo kłóciłyby się z winem. Bon appetit. - Usiadła wygodnie i patrzyła, jak Sam bierze pierwszy kęs.

Przeżuł. Przełknął. Pomyślał. Uśmiechnął się szeroko.

- Wiesz, zawsze powtarzam, że po ciężkim dniu nie ma to jak nerki gotowane w porto. - Pocałował czubki swoich palców. - Znakomite.

Nerki i doskonałe pomerol zrobiły swoje i w chwili, kiedy Sam i Sophie wycierali ostatnimi kromkami chleba resztkę sosu, oboje byli rozluźnieni i pełni optymizmu. Wątek z Reboulem był interesujący i zapewne niewiele ponadto, ale przynajmniej podsuwał im trop, nad którym mogli popracować.

- Z tego, co mówiłaś - powiedział Sam - wynika, że facet ma tyle pieniędzy, że nie wie, co z nimi zrobić, jest lekko ekscentryczny i ma słabość do wszystkiego co francuskie. Czy wiadomo coś o tym, by poważnie podchodził do wina? Musi tak być, skoro zatrudnia caviste. Czy ma kontakty w Stanach? Czy kolekcjonuje coś jeszcze oprócz dziewczyn i jachtów? Chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- W takim razie - oświadczyła Sophie - powinieneś się spotkać z moim kuzynem. - Pokiwała głową i podniosła kieliszek. - Tak, moim kuzynem Philippem. Mieszka w Marsylii, pracuje w „La Provence”. To największa gazeta w regionie. Jest starszym reporterem. Na pewno niejedno o Reboulu słyszał, a jeśli czegoś nie wie, może się tego dowiedzieć. Polubiłbyś go. Jest trochę zwariowany. Jak wszyscy stamtąd. Nazywają to fada.

- Już go lubię. Tego właśnie nam trzeba. Kiedy wyjeżdżamy? - My?

Sam pochylił się nad stolikiem, przybrał śmiertelnie poważny ton i skupioną minę.

- Nie możesz mnie puścić samego. Marsylia to duże miasto. Zgubiłbym się. Nie miałbym z kim jeść bouillabaisse. A poza tym ludzie z Knox liczą, że sprawdzisz każdy wątek, każdy trop, nawet gdyby wymagało to wyjazdu na południe Francji. Jak mawiamy w branży ubezpieczeniowej, to parszywa robota, ale ktoś ją musi odwalić.

Sophie pokręciła głową ze śmiechem.

- Zawsze udaje ci się namówić kobiety, żeby zrobiły, co zechcesz?

- Nie tak często, jakbym chciał. Ale staram się jak mogę. A teraz co powiesz na odrobinę tego camemberta, który Delphine trzyma na łańcuchu w piwnicy?

- Jestem za.



A kiedy skończyli pić wino, kawę i calvados, który wmusiła w nich Delphine, przystała także na wyjazd do Marsylii.

Sam skończył pakowanie i już miał się uśpić dawką CNN, kiedy zadzwoniła komórka.

- Dzień dobry, panie Levitt. Jak się pan miewa? - spytał dziewczęcy głos, ciepły, radosny, typowo kalifornijski. - Łączę z Eleną Morales.

Sam stłumił ziewnięcie.

- Eleno, wiesz, która tu jest godzina?

- Nie złość się, Sam. To był jeden z tych okropnych dni. Miałam na karku Rotha. Wpadł do mojego gabinetu i godzinę się awanturował. .. prawnicy, media, jego kolega gubernator... gdyby został jeszcze trochę dłużej, pewnie dorzuciłby do tego Sąd Najwyższy. Innymi słowy, chce wiedzieć, co się dzieje, i dostać swoje pieniądze. Pytał o twój numer, ale powiedziałam, że nie można się z tobą skontaktować.

- Grzeczna dziewczynka.

- Kiedyś tu wróci. Co mu wtedy powiem? Masz coś?

Sam potrafił poznać, kiedy ktoś jest zdesperowany. Rozwrzeszczany Danny Roth, toczący pianę z ust i miotający groźby na lewo i prawo... nawet święty by tego nie wytrzymał. Czas na, miał nadzieję, wiarygodnie brzmiące kłamstwo.

- Słuchaj - zaczął - powiedz Rothowi, że prowadzę negocjacje z władzami Bordeaux i liczę na przełom w ciągu najbliższych kilku dni. Ale... i to bardzo istotne... negocjacje te są delikatne i wymagają wielkiego wyczucia. Stawką jest reputacja Bordeaux. Jakikolwiek rozgłos, gdziekolwiek, mógłby wszystko zepsuć. Dlatego nie życzymy sobie żadnych prawników, żadnych mediów i żadnego gubernatora. Jasne?

Wręcz słyszał, jak mózg Eleny pracuje na drugim końcu linii.

- Co tak naprawdę się dzieje, Sam?

- Pojawiło się coś, co może być ważne albo nie, więc jutro jedziemy do Marsylii to sprawdzić.

- „My”?

Sam westchnął. Drugi raz tego wieczoru usłyszał to pytanie.

- Zabieram ze sobą madame Costes. Zna tam kogoś, kto może mi pomóc.

- Jaka ona jest?

- Madame Costes? Och, gruba blondyna pod pięćdziesiątkę. No wiesz.

- Tak, jasne. Czyli jest laską.

- Dobranoc, Eleno.

- Dobranoc, Sam.

## Rozdział 11

Sam nigdy nie był w Marsylii, ale oglądał Francuskiego łącznika i czytał kilka mrożących krew w żyłach artykułów dziennikarzy piszących o turystyce, więc wydawało mu się, że wie, czego się spodziewać. Na każdym rogu czyhać będą podejrzane typy - ani chybi przyszli szefowie mafii. Targ rybny na Quai des Belges okaże się kanałem przesyłowym substancji zazwyczaj niespotykanych wewnątrz ryb; w ofercie znajdą się okonie morskie nadziewane heroiną i graniki garniowane kokainą. Kieszonkowcy i wszelkiego rodzaju voyous rozlokowani będą w miejscach dogodnych do tego, by pozbawić nieuważnego turystę aparatu fotograficznego, portfela lub torebki. Co krok przypominać się będą słowa, którymi Somerset Maugham podsumował Lazurowe Wybrzeże: „Słoneczne miejsce dla typów spod ciemnej gwiazdy”. Zapowiadało się, że będzie ciekawie.

Sophie, która była w tym mieście tylko raz, przed kilkoma laty, niewiele zrobiła, by zmienić wyobrażenia Sama. W porównaniu z uporządkowanym, dystyngowanym Bordeaux, Marsylia, jak ją pamiętała, była obskurnym, zatłoczonym labiryntem, w którym roilo się od hałaśliwych, często dość groźnie wyglądających mężczyzn i kobiet. Miasto i jego mieszkańców określała słowem louche - czyli, jak podaje słownik, „niebudzący zaufania, podejrzany, niepewny, dwulicowy”. Nie pojmowała, jak jej kuzyn Philippe mógł tam mieszkać i jeszcze być z tego zadowolony. Z drugiej strony, jak zdradziła Samowi, często wydawało jej się, że on też miał w sobie coś louche.

Kiedy po południu wylądowali na lotnisku Marignane, ponure myśli natychmiast rozpierzchły się w zderzeniu ze spektakularnie klarownym, niemal oślepiającym światłem dnia, soczystym galijskim błękitem nieba i pogodą ducha taksówkarza, który zabrał ich do hotelu. Szybko stało się jasne, że minął się z powołaniem; powinien pracować w biurze informacji turystycznej. Według niego Marsylia była centrum wszechświata, a Paryż zaledwie przyszcem na mapie. Marsylia, istniejąca przeszło dwa tysiące sześćset lat, stanowiła skarbnicę historii, tradycji i kultury. Marsylskie restauracje były powodem, dla którego Bóg stworzył ryby. A tak wielkodusznych i serdecznych ludzi jak w Marsylii nie spotka się nigdzie indziej.

Sophie słuchała tego wszystkiego bez słowa komentarza, choć jej półuśmiech i uniesione brwi wskazywały, że nie jest do końca

przekonana. Gdy kierowca zrobił przerwę dla nabrania tchu, spytała go, co sądzi o Francisie Reboulu.

- Ach, Sissou, król Marsylii! - W głosie taksówkarza zabrzmiała nuta szacunku. - Oto człowiek, który powinien rządzić tym krajem. Miliarder, a zupełnie się nie wywyższa. Pomyślcie tylko, człowiek, który gra w boules ze swoim szoferem! Człowiek, który mógłby mieszkać wszędzie, a zamieszkał gdzie? Nie w Paryżu, nie w Monte Carlo, nie w Szwajcarii, tylko tu, w Marsylii, w Palais du Pharo, gdzie, jak wyrzy przez okno, może zobaczyć najpiękniejszy widok na świecie... na Vieux Port, Morze Śródziemne, Chateau d'If, wspaniały kościół Notre - Dame de la Garde... Merde!

Kierowca zahamował ostro i wrzucił wsteczny, po czym cofnął się slalomem przez chór klaksonów nadjeżdżających samochodów, aż dotarł do krótkiego podjazdu prowadzącego do hotelu. Przepraszając za to, że przegapił skręt, wysadził ich, dał Sophie swoją wizytówkę, promiennym uśmiechem podziękował Samowi za napiwek i życzył im niezapomnianego pobytu w Marsylii.

Za radą swojego kuzyna Philippe'a Sophie zarezerwowała pokoje w Sofitel Vieux Port, nowoczesnym hotelu z widokiem na Fort Saint - Jean, jeden z trzech fortów zbudowanych przed wiekami po to, by odstraszały piratów i żeglarzy z Paryża. Już w swoim pokoju, Sam rozsunął okno, wyszedł na taras i głęboko odetchnął słonym powietrzem. Nieźle, pomyślał, ogarniając wzrokiem panoramę miasta. Zupełnie nieźle. Wiosna wcześniej przyszła do Marsylii i promienie słońca odbite od tafli wody sprawiały, że powietrze wydawało się połyskujące, rozmigotane. Maszty setek małych łodzi zmieniły port w pływający las. W oddali, na morzu, rysowała się wyraźna, ostra, płaska sylwetka Chateau d'If. Aż trudno uwierzyć, by widok z okien Reboula mógł być jeszcze piękniejszy.

Zszedł na dół, by spotkać się z Sophie w holu, i zastał ją chodzącą w tę i z powrotem, z komórką przyciśniętą do ucha. Kiedy skończyła rozmawiać, ruszyła ku niemu, zerkając na zegarek.

- To był Philippe - powiedziała. - Proponuje, żebyśmy za pół godziny spotkali się na drinku.

- Wcześniej zaczynają w Marsylii. Przyjdzie tutaj? Sophie westchnęła i pokręciła głową.

- Z Philippem nic nigdy nie jest proste. Chce nam pokazać jedną z tych swoich knajpek, do których turyści nie zagląдают. To w Le

Panier. Mówi, że możemy tam pójść spacerkiem i że to coś typiquement marseillais. Jesteś na to przygotowany?

Wzięli z recepcji plan miasta i zeszli ze wzgórza w kierunku Vieux Port. Sophie po drodze opowiedziała wszystko, co wiedziała o Le Panier - a nie było tego wiele. Ta najstarsza część Marsylii, niegdyś zamieszkała przez rybaków, Korsykańczyków i Włochów, podczas wojny stała się kryjówką uchodźców żydowskich i innych uciekinierów przed nazistami. W akcie odwetu, Niemcy w 1943 roku zarządzili ewakuację dzielnicy, po czym wysadzili większą jej część w powietrze.

- Philippe zna wiele historii z tamtych czasów - powiedziała Sophie. - Po wojnie odbudowano quartier - moim zdaniem, nie za ładnie - i dziś mieszkają tam głównie Arabowie.

Szli nabrzeżem na końcu Vieux Port, przeciskając się przez grupy turystów i studentów czekających na prom, który miał ich zabrać do Chateau d'If. Na niskim murku przysiedli w szeregu starsi panowie, którzy patrzyli na dziewczyny, mrugając oczami od słońca jak jaszczurki. Dwa psy węszyły po placu, na którym rano odbywał się targ rybny. Dzieci w wózkach oddychały świeżym powietrzem, podczas gdy ich matki ucinały sobie pogawędki. Była to sielankowa, spokojna scena i Sam czuł się głęboko zawiedziony.

- Jakoś niezbyt tu niebezpiecznie - zauważył. - Gdzie złodzieje? Co, w piątki mają wolne? Nikt mi jeszcze nie obrobił kieszeni, ty ciągle masz swoją torebkę, a przecież jesteśmy w Marsylii już prawie godzinę. Coś kiepsko u miejscowych z formą.

Sophie poklepała go po ramieniu.

- Bez obaw. Spytamy Philippe'a. On ci powie, gdzie można się załapać na dobry... jak by to nazwać... rozbój? - Zatrzymała się, by zerknąć na plan. - Musimy znaleźć Montee des Acoules, tuż przed katedrą. O, zobacz, a to ciekawostka. Naszym najbliższym sąsiadem jest Reboul. - Wskazała na plan i rzeczywiście, Palais du Pharo był raptem kilkaset metrów od hotelu.

Atmosfera zmieniała się, kiedy tylko opuścili omiatane wiatrem, otwarte przestrzenie na obrzeżach portu. Słońce zniknęło. Montee była stroma, ciemna i wąska, szerokości zaledwie jednego samochodu. Budynki, które w słońcu mogłyby mieć pewien obskurny urok, tu wyglądały po prostu ponuro. Jedynymi oznakami życia były pikantne zapachy kuchenne i jękliwe dźwięki póinocnoafrykańskiego popu,

dobywające się z okien mijanych domów. Skręcili w zaułek po lewej stronie.

- Zdaje się, że ten bar jest na końcu - powiedziała Sophie - na placette bez nazwy. Nie wiem, jak Philippe znajduje te knajpy.

- Goście, którzy są louche, zawsze znają najlepsze adresy. Ale trzeba uczciwie przyznać, że, jak sama mówiłaś, chciał nam pokazać coś typiquement marseillais.

Reakcją Sophie był dąs z efektami dźwiękowymi, wydęcie ust z towarzyszącym pogardliwym prychnięciem. To była francuska specjalność, coś, co Sam wiele razy próbował naśladować, bez większego powodzenia. W jego wykonaniu takie prychnięcie bardziej przypominało odgłos puszczonego bąka niż wyraz pogardy. Doszedł do wniosku, że do tego trzeba mieć galijskie wargi, i tyle.

Wyszli na placyk na końcu zaułka. Na środku rósł mały, ale hardy platan, który zdołał przeżyć pomimo otaczającego go ciasnego kołnierza z betonu. Bar mieścił się na rogu; jego okna pokryte były wymalowanymi białą farbą bojowymi hasłami kibiców piłkarskich - największą popularnością cieszyły się ALLEZ LES BLEUS! i DROIT AU BUT! Wyblakłe litery nad wejściem głosiły wszem wobec, że lokal nazywa się Le Sporting. Na zewnątrz stał zakurzony czarny skuter marki Peugeot.

Sam pchnął drzwi i gęsta mgła dymu tytoniowego zadrzała w podmuchu świeżego powietrza. Rozmowy ucichły. Grupka mężczyzn o zrytych brzdami, zniszczonych twarzach podniosła głowy od partii kart. Dwaj inni odwrócili się od baru. Jedyne uśmiech w sali pojawił się na twarzy tęgiej, ciemnowłosej postaci, mężczyzny zbudowanego jak niedźwiedź, który siedział przy stoliku w kącie. Wstał, rozłożył szeroko ręce i przypadł do Sophie.

- Ah, ma petite cousine - powiedział i z wielkim entuzjazmem pocałował ją po dwa razy w każdy policzek - enfin a Marseille. Bienvenue, bienvenue. - Odwrócił się do Sama i wprawnie przeszedł z jednego języka na drugi. - A ty to ani chybi Amerykanin Sam. - Chwycił dłoń Sama i energicznie nią potrząsnął. - Witaj w Marsylii. Czego się napijecie? - Nachylił się ku nim i zniżył głos. - Entre nous, wino stołowe bym sobie odpuścił, jeśli chcecie dożyć jutra. Może pastis? Piwo? Jest też doskonała korsykańska whisky. Siadajcie, siadajcie.

Sam rozejrzał się wokół. Wystrój pamiętał lepsze czasy. Większość płytek posadzki w szachownicę pościerała się do betonu. Sufit, kiedyś biały, przeszedł w brąz, pożółkły jak palce palacza. Stoliki i krzesła były tak wytarte, że aż świeciły. Ale może lokal miał też jakieś ukryte zalety.

- Przytulnie tu - powiedział. - Organizują wesela?

- Tylko pogrzeby - odparł Philippe z szerokim uśmiechem. - Ale poza tym to cicha knajpka. I bardzo dyskretna. Spotygam się tu z lokalnymi politykami, którzy nie chcą, by widziano ich rozmawiających z dziennikarzami.

- Nie mają telefonów? Philippe cmoknął.

- Telefony mogą być na podsłuchu. Kto jak kto, ale ty, jako Amerykanin, powinienesz to wiedzieć. - Odwrócił się i zawołał w stronę baru: - Mimine, s'il te plait? On est presque mort de soif.

- J'arrive, j'arrive. - Głos Mimine, przyjemny, delikatny baryton, dobiegł zza zasłony z drewnianych koralików w głębi sali, a zaraz potem ukazała się jego właścicielka. Wyglądała imponująco: przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu w butach na wysokich obcasach, kędzierzawa czupryna w odcieniu rudego, który świeci w ciemności, podczernione oczy, ogromne złote kolczyki - koła i iście monumentalny biust, którego większa część była widoczna, a reszta wyrwała się na wolność z o dwa rozmiary za małego pomarańczowego topu. Stała przy stoliku i podparła się pod biodra, z oczami utkwionymi w Samie. Wskazała go ruchem głowy i powiedziała coś do Philippe'a; a właściwie nie tyle powiedziała, co wyrzuciła z karkołomną szybkością potok słów z akcentem nieco zbliżonym do francuskiego, zakończony chrapliwym rechotem. Philippe się roześmiał. Sophie poczerwieniała. Sam nic nie zrozumiał.

- Wpadłeś Mimine w oko - wyjaśnił Philippe, wciąż roześmiany.

- Nie powiem ci, co zasugerowała, ale nie bój się. Ze mną nie zginiesz.

Zamówili i Mimine dłużej niż to było konieczne pochylała się nad Samem, kiedy stawiała przed nim pastis. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się, by to na niego lubieżnie patrzono. Było to dziwne, ale nie takie znowu nieprzyjemne.

- No już, Philippe - powiedziała Sophie - przestań rzeć. Starczy tych wygłupów. Sam wyjaśni ci, po co przyjechaliśmy do Marsylii.

Poczynając od kradzieży w Los Angeles i kończąc na odnalezieniu w Bordeaux wizytówek Floriana Viala, Sam omówił wszystko, co, jak sądził, Philippe powinien wiedzieć. Jego potężny rozmówca słuchał uważnie, od czasu do czasu zadając pytania i robiąc notatki. Kiedy Sam skończył, Philippe przez długą chwilę siedział w milczeniu, stukając długopisem w notes.

- Bon. Cóż, mogę dać ci wszystko, co mamy o Reboulu, a jest tego sporo. Ale to nie wystarczy, jak sądzę?

Sam pokręcił głową.

- Musimy się z nim zobaczyć.

- Jeśli jest tu, w Marsylii, żaden kłopot. Facet nie potrafi oprzeć się pokusie udzielenia wywiadu. Oczywiście, musicie mieć dobrą przykrywkę.

- Chcemy też obejrzyć jego piwnicę z winem.

- Aha. W takim razie musicie mieć bardzo dobrą przykrywkę.

- Philippe uśmiechnął się i znów postukał w notes. - A jak dobrze pójdzie, może i ja będę coś z tego miał. - Wzruszył ramionami.

- Nigdy nic nie wiadomo.

- O czym ty mówisz?

- O sensacyjnym materiale, mój drogi Samie. Przypuśćmy, że wasze dochodzenie wykaże coś ciekawego... mały scandale z udziałem najbogatszego człowieka w Marsylii. To byłaby wiadomość na pierwszą stronę, a ja nie chciałbym jej dzielić z innym dziennikarzem. Rozumiesz?

- Bez obaw, Philippe. Wszystko zostanie w rodzinie. Pomożesz nam, a w zamian dostaniesz wyłączność. - Sam wyciągnął rękę nad stolikiem. - Umowa stoi.

Uścisnęli sobie dłonie i Philippe wstał.

- Wrócę do biura i zacznę kompletować dossier Reboula. Zostajecie tutaj? - Mrugnął do Sama. - Jestem pewien, że Mimine dobrze się tobą zaopiekuje.

- Musisz wybaczyć mojemu kuzynowi - powiedziała Sophie, wstała i pokręciła głową. - Czasem zastanawiam się, jak to możliwe, że jesteśmy spokrewnieni.

Wyszli z baru, Philippe otworzył kłódkę zabezpieczającą skuter i usiadł na siodełku.

- Najlepszy sposób przemieszczania się po Marsylii - oznajmił, dodając gazu. - A bientot, mes enfants. - Po czym pomachał im i z



terkotem odjechał w głąb zaułka, niechlujna, zwałista postać balansująca na dwóch małych kółkach.

## Rozdział 12

- A zatem potrzebujemy przykrywki - odezwał się Sam. - Musimy wymyślić, coś, co pozwoli nam dostać się do piwnicy Reboula na dość długo, by dokładnie zobaczyć, co w niej trzyma. Ma dużo wina, więc może to potrwać parę godzin. Albo dłużej. Będziemy musieli robić notatki, a może i zdjęcia. Aha, i musi to być przykrywka, której nie będzie można od ręki sprawdzić. - Przyzwalając skinał głową kelnerowi, który przystąpił do odkorkowywania butelki. - Nie będzie łatwo. Masz natchnienie?

Postanowili zjeść w hotelowej restauracji, która oferowała miejscowe ryby, miejscowe białe wino z Cassis i pierwszorzędny widok na miejscowy zachód słońca nad Vieux Port. Było jeszcze wczesnie i nie licząc stolika zajętego przez biznesmenów, którzy zabrali swoje teczki i plany marketingowe na uroczystą kolację, mieli cały lokal dla siebie.

- Myślałam o tym - powiedziała Sophie. - Jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówi Philippe, zobaczyć się z Reboulem to nic trudnego. Moglibyśmy powiedzieć, że piszemy o nim artykuł...

- Urwała. Sam już kręcił głową.

- Zapytałby, do jakiego pisma, a jego ludzie prawdopodobnie chcieliby zadzwonić do naczelnego, żeby mieć pewność, że nie szykujemy paszkwilu. Tak czy owak, wywiad z Reboulem to tylko zasłona dymna, środek do celu. Tak naprawdę chcemy zobaczyć piwnicę. Wina.

Jak dotąd, Sophie zetknęła się z kłamstwami i blefem tylko na nielicznych wyrafinowanych pod względem towarzyskim delikatnych przyjęciach w Bordeaux, ale stwierdziła, że wymyślanie wiarygodnej bajeczki to dla niej interesujące wyzwanie.

- Wiem - powiedziała. - Jesteś bogatym Amerykaninem, który chce założyć wspaniałą piwnicę... jak najszybciej, oczywiście, jak wszyscy bogaci Amerykanie... a ja twoją konsultantką. Przyjechaliśmy do Reboula szukać natchnienia, bo słyszeliśmy, że ma jedną z najlepszych piwnic we Francji.

Sam miał zmarszczone czoło.

- Ale co on z tego będzie miał? Po co miałby pomóc dwu obcym osobom?

- Bo lubi, jak się mu schlebia. - Sophie wzruszyła ramionami. - Jak wszyscy mężczyźni... zwłaszcza ci, którym się dobrze powodzi.

- Jasne. Ale to niewystarczający powód dla kogoś, kto uwielbia rozgłos... a że on rozgłos uwielbia, to już wiemy. Nie wygląda mi na człowieka, który po cichu spełnia dobre uczynki.

Sam już miał rozlać wino, kiedy znieruchomiał z butelką w połowie drogi między wiaderkiem z lodem a kieliszkiem Sophie.

- Co przed chwilą powiedziałaś? Coś o tym, że Reboul ma jedną z najlepszych piwnic we Francji, dobrze słyszałem?

Sophie skinęła głową.

- I co z tego?

- To, że to temat w sam raz na książkę. Przypuśćmy zatem, że pracujemy nad książką. Grubym, luksusowo wydanym, drogim albumem o najlepszych piwnicach Francji... nie, najlepszych piwnicach świata... i chcemy umieścić w nim piwnicę Reboula. - Sam był tak pochłonięty swoimi rozmyślaniami, że zapomniał o ociekającej butelce w dłoni i kelnerze cierpliwie czekającym u jego boku. - A dlaczego? Bo jego piwnica ma wszystko: wspaniałą kolekcję win, niezwykle umiejscowienie, fascynującego i odnoszącego sukcesy właściciela, i tak dalej. I dlatego, rzecz jasna, będziemy chcieli, by i ją, i... zwłaszcza... jej właściciela sfotografował jeden z najlepszych fotografów na świecie. To będzie pochlebstwo, którego Reboul oczekuje, i to pochlebstwo publiczne. A my będziemy mieli pretekst, żeby przebywać w jego piwnicy tak długo, jak zechcemy. Dość długo, by zrobić notatki. I zdjęcia. - Sam usiadł wygodnie i oddał butelkę stojącemu nad nim kelnerowi, który czekał, żeby napełnić ich kieliszki. - Co ty na to?

- Obiecujące - przyznała Sophie. - I to bardzo, szczerze mówiąc. Ale mam jedno ważne pytanie. Kim jesteśmy? To znaczy, w którym wydawnictwie pracujemy? Reboul na pewno o to spyta.

Sam francuskim zwyczajem energicznie pokiwał na nią palcem.

- Nie jesteśmy wydawcami. Jesteśmy niezależnymi promotorami książek. Mamy pomysł na książkę. Dajemy jej tytuł, powiedzmy, Najlepsze piwnice świata. Wynajmujemy ludzi, którzy piszą tekst i robią zdjęcia. Przygotowujemy makietę i sprzedajemy prawa do publikacji jednemu z wielkich międzynarodowych wydawnictw, takich jak Bertelsmann, Hachette, Taschen, czy Phaidon, zależy, kto zaoferuje najwięcej.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy?

Sam wrócił pamięcią do swojego jedyne jak dotąd kontaktu z branżą wydawniczą.

- Parę lat temu miałem robotę we Frankfurcie podczas targów książki. To prawdziwe zoo, ale jednocześnie duża sprawa... wydawcy z całego świata przyjeżdżają kupować i sprzedawać. Ludzie z branży co wieczór brali we władanie bar hotelowy, no i kilku z nich poznałem. O rany, ale goście tankują. Oni mówili. Ja słuchałem. Dużo się nauczyłem. Było całkiem ciekawie.

Przez cały czas, kiedy niespiesznie delektowali się okoniem morskim z koprem włoskim, świeżym kozim serem z tapenade i sorbetem rozmarynowym, dyskutowali o swoim pomysle, szukając w nim słabych punktów i dokonując kilku retuszów. W chwili kiedy przyniesiono kawę, byli już przekonani, że mają przykrywkę, która trzyma się kupy. Rano Sophie weźmie od Philippe'a numer do biura Reboula i, przy odrobinie szczęścia, umówi się z nim na spotkanie. Sam kupi aparat fotograficzny i wyszlifuje prezentację ich propozycji.

- I właśnie wymyśliłem, co będzie najlepszym zakończeniem tego wieczoru - oświadczył, składając podpis na rachunku.

- Przeszpiegi w świetle księżyca.

Sophie spojrzała na niego z ukosa.

- Co to są przeszpiegi?

Sam postukał się w nos i mrugnął.

- Tajny zwiad. Pomyślałem sobie, że może warto by przejść się do naszego sąsiada i rzucić okiem na jego dom. Idziesz ze mną?

- Czemu nie? Jeszcze nigdy nie byłam na przeszpiegach. Opuścili hotel i ruszyli Boulevard Charles Livon pod górę, aż dotarli do masywnej żelaznej bramy, która stała otworem. Podjazd wiódł przez ciemność w stronę odległego blasku, zapewne bijącego z domu.

- No to teraz już nic mnie nie zaskoczy - powiedział Sam.

- Grodzone osiedle dla jednej osoby. - Ruszył podjazdem, lekko wystraszona Sophie trzymała się krok za nim.

Pociągnęła go za rękaw.

- Sam? Co powiemy, jeśli ktoś nas zatrzyma? - Najpierw przestaniemy szeptać. A potem... och, sam nie wiem, może że jesteśmy parą niewinnych amerykańskich turystów i myśleliśmy, że to park publiczny. Ale pamiętaj, nie mówimy po francusku. Dużo się uśmiechaj, a będzie dobrze.

Z każdym kolejnym krokiem w głąb podjazdu odgłosy ruchu ulicznego stopniowo cichły, przechodząc w przytłumiony pomruk. Dwieście metrów dalej ich oczom ukazał się starannie przystrzyżony trawnik wielkości boiska piłkarskiego, a za nim jarzący się światłami dom Francisa Reboula.

Sam gwizdnął cicho.

- Ta chata mogłaby przypawić Biały Dom o kompleks niższości.

Zatrzymali się, by obejrzeć budowlę wznoszącą się przed nimi. Był to prawdziwy kolos - dwupiętrowe, trójboczne gmaszysko, którego dwa krótsze boki okalały wysypy żwirem placyk. W rogu placyku stało kilka niemal niedostrzegalnych czarnych limuzyn, zaparkowanych w równym rzędzie, a w świetle padającym z okien na parterze widać było grupkę szoferów w uniformach, którzy rozmawiali i palili papierosy, czekając na wieczornym chłodzie.

- Jest impreza - powiedział Sam. Spojrzał na zegarek. - Lepiej tu nie stójmy. Goście mogą zacząć wychodzić.

Właśnie się odwracali, żeby odejść, kiedy w ich twarze uderzył snop światła z mocnej latarki. Z ciemności wyłonił się ochroniarz z wilczurem. Nie wyglądali przyjaźnie.

Sam poczuł, że Sophie zamarła u jego boku. Wziął głęboki wdech, uniósł ręce i uśmiechnął się do oślepiającego blasku.

- Cześć. Chyba zabłądziliśmy. Mówisz po angielsku?

- Que faites - vous ici?

- No tak, widzę, że po angielsku się nie dogadamy. Pies zaskowyczał cicho i naprężył smycz.

- Szukamy naszego hotelu - powiedział Sam. - Sofitel. Hotel Sofitel? - Wymachiwał rękami, usiłując sprawiać wrażenie człowieka, który mógłby mieć kłopoty z odnalezieniem jednego z najbardziej charakterystycznych hoteli Marsylii.

Ochroniarz podszedł nieco bliżej. Wyglądał tak groźnie jak jego pies. Sam był ciekaw, czy gryzą na zmianę. Ochroniarz skierował snop światła w głąb ścieżki i wskazał ją gwałtownym ruchem głowy.

- Au hout du chemin. Puis a gauche.

- Gauche... czyli w lewo. Zgadza się? Gracias... nie, zaraz... merci. - Sam odwrócił się do Sophie. - Te cholerne języki już mi uszami wychodzą. Za rok jedziemy na Cape Cod.

Ochroniarz nachmurzył się jeszcze bardziej i znów wykonał latarką gest, jakby próbował ich wymieść snopem światła. Kły psa

zalsniły w blasku. Sophie wzięła Sama za ramię i wciąż mamrocącego poprowadziła w stronę bramy.

Kiedy wyszli bezpiecznie na bulwar, odetchnęła z ulgą i wybuchnęła śmiechem.

- Czy przeszpiegi się udały? Ten człowiek nie był gentil, wcale a wcale.

- Biedak - westchnął Sam. - Co za parszywa robota. Każdy byłby rozdrażniony, gdyby musiał całą noc chodzić z psem. Ciekawe, czy jest stałym elementem wystroju, czy był tam tylko przez wzgląd na gości. Sądząc po tych szoferach, Reboul ma nie lada znajomości. I nie lada dom. Już nie mogę się doczekać, kiedy zajrzę do środka.

Wrócili do hotelu i odebrali klucze w recepcji. Sophie próbowała stłumić ziewnięcie. To był ciężki dzień i wydawało się, że od pobytu w Bordeaux upłynął szmat czasu.

- Gotowa na jutro? - spytał Sam. - Być może będzie to twój pierwszy dzień w zawodzie promotora książek. Może być ciekawie.

- Nie znam żadnych promotorów książek. Jak się ubierają? Sam uśmiechnął się szeroko.

- Sugestywnie. Śpij dobrze. Zobaczymy się rano.

- Skoro świt?

- Skoro świt.

Sam stał pod prysznicem i przebiegał myślą wydarzenia tego dnia. Philippe zapowiadał się na świetnego współpracownika; był chętny do pomocy, obdarzony poczuciem humoru i dość bystry, by zwietrzyć okazję na zdobycie sensacyjnego materiału. Poza tym sprawiał wrażenie człowieka, jak to określiła Sophie, lekko louche. Miał w sobie coś z szelmy. To była cecha, z którą Sam utożsamiał się bez trudu, i uważał ją za solidny fundament owocnej współpracy. Jutro zobaczy, czy Philippe zdoła zdobyć coś ciekawego na temat Reboula.

No i była jeszcze Sophie, osoba nieporównanie bardziej skomplikowana. Sam miał wrażenie, że w pewnym stopniu pozostawała więźniem swojego środowiska - owej jakże dystygowanej francuskiej burżuazji, z jej savoir - vivre'em, ściśle przestrzeganyimi zasadami zachowania się przy stole, sposobem ubierania się i niechęcią do wszystkiego i wszystkich, którzy w taki czy inny sposób odbiegali od normy. Być może pewnego dnia Sophie się zmieni. Była inteligentna, atrakcyjna i nie bała się ryzyka, co

udowodniła, kiedy poszła z nim do Palais du Pharo. Urocza kobieta, pod każdym względem. Ale, Sam przyznał w duchu z westchnieniem, nie Elena Morales.

Wyszedł spod prysznic, owinał się ręcznikiem w biodrach i ruszył do sypialni. Jego telefon leżał na stoliku nocnym, obok zegarka. Sprawdził, która godzina. W Los Angeles był środek popołudnia i Sam mógł sobie wyobrazić, jak Elena, po jak zawsze skromnym lunchu zjedzonym przy biurku, usiłuje spławić nieustannie wydzwaniającego Danny'ego Rotha i zastanawia się, jakie Sam poczynił postępy, jeśli w ogóle jakiegokolwiek. Kusiło go, żeby zadzwonić. Ale co miałby jej powiedzieć? Prawdę? Że chciał usłyszeć jej głos? Nakazał sobie poczekać do jutra, kiedy może będzie miał coś konkretnego do przekazania.

Przez następne pół godziny oglądał we francuskiej telewizji mecz rugby, usiłując cokolwiek z tego zrozumieć, aż zasnął z huczącym w uszach rykiem kibiców.

## Rozdział 13

Sam wyszedł na świeże poranne powietrze i obejrzał stolik przygotowany do śniadania. Starannie ułożone na czystym białym obrusie na tarasie, czekało wszystko to, czego rozsądny człowiek mógłby sobie życzyć na rozpoczęcie dnia: dzbanek wonnej cafe filtre, duży dzban gorącego mleka, dwa pulchne złote croissanty i „Herald Tribune”. Założył okulary przeciwsłoneczne, upewnił się, że widok wciąż jest tak piękny jak wczoraj, i usiadł, przyjemnie odprężony. Zadzwoiła jego komórka.

Zanim odebrał, spojrzął na zegarek. Sophie udzielały się amerykańskie nawyki.

- Dzień dobry - powiedział. - Co tak wcześnie?
- Na starość kiepsko się sypia, Sam. Kiedyś się przekonasz.
- Głos był łagodny, z lekkim akcentem. Axel Schroeder.

Sam odczekał chwilę, by ochłonać z zaskoczenia, zanim odpowiedział.

- Jakże się cieszę, Axel. Miło cię słyszeć. Co u ciebie?
- Och, to i owo, Sam. To i owo. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy dziś wieczorem wyskoczyć na drinka. - Nastąpiła pauza.
- Jeśli nadal jesteś w Paryżu.

Próbujesz mnie wybadać, pomyślał Sam. Pewnie już dzwoniłeś do Montalembert i wiesz, że wyjechałem.

- O niczym innym nie marzę, Axel. Ale dziś nie da rady.
- Szkoda - powiedział Axel. - Nie cierpię przekazywać złych wiadomości przez telefon. - Sam usłyszał jego westchnienie.
- Będę się streszczał. Nie wchodząc w szczegóły, słyszałem, że Roth sfingował kradzież wina.
- Serio?
- Tak. Obawiam się, że tracisz czas we Francji. Powinieneś wrócić do Kalifornii. Taka jest moja rada.

- Dzięki, Axel. Nie omieszkać dać ci znać, jak się sprawy potoczą.

Kręcąc głową, Sam nalał sobie pierwszą filiżankę kawy. Lubił Axela i wiedział, że czasem, ku zaskoczeniu innych - i zapewne siebie samego - zdarzało mu się powiedzieć prawdę. Ale nie tym razem, Sam był tego prawie pewien. To obiecujące. Oderwał końcówkę croissanta i umoczył ją w kawie, kolejny francuski zwyczaj, który podłapał; może i nie wyglądało to estetycznie, ale smakowało doskonale. Poczuli



na ramionach ciepły dotyk słońca i otworzył gazetę na dziale sportowym.

Godzina jedenasta zastała Sophie, Sama i Philippe'a siedzących wokół stolika w cichym kącie hotelowego holu. Sophie spędziła pierwszą część poranka na mozolnym pokonywaniu kolejnych warstw zabezpieczeń, którymi otoczyła Reboula jego świta. Wreszcie udało jej się połączyć z jego prywatną sekretarką, od której jednak usłyszała, że monsieur Reboul jest ze swoim nauczycielem power jogi i nie można mu przeszkadzać. Sekretarka obiecała oddzwonić.

- Co jej powiedziałaś? - spytał Philippe.

Sophie zdradziła mu ich pomysł i Philippe pokiwał głową z aprobatą, kiedy opisała swoje nowe wcielenie promotorki książek.

- To może się udać - uznał, kiedy skończyła. Potem wyjął ze swojego poplamionego nylonowego plecaka grubą teczkę.

- Voila: dossier Reboula. Wydrukowałem wszystko, co najciekawsze, żebyście mogli to przeczytać bez komputera. Zobaczycie z tego, jak bardzo Reboul lubi być w centrum uwagi, zwłaszcza kiedy jest szansa, że go sfotografują. Jak prawdziwy polityk. - Urwał i skrzywił się. - No, może nie aż tak źle. Macie, sami zobaczcie. - Otworzył teczkę i zaczął rozkładać jej zawartość na stoliku.

Na zdjęciach był Reboul mistrz budowlany w kasku na jednej ze swoich budów; Reboul magnat prasowy z zakasnymi rękawami w pomieszczeniu, które wyglądało jak newsroom; Reboul w koszulce piłkarskiej, gawędzący z piłkarzami Olympique Marsylia; Reboul w wystrzępionym słomianym kapeluszu, z sekatorem w pogotowiu, obcuający z kłębkiem winogron; Reboul lotnik wsiadający do swojego odrzutowca; Reboul wilk morski za sterem swojego jachtu; i, w przeróżnych strojach, poczynając od garnituru, a na T - shircie i szortach kończąc, Reboul dumny właściciel domu, chez lui w Palais du Pharo. Szczególnie interesujące studium przedstawiało Reboula w roli konesera, oglądającego kieliszek wina pod światło przed ciągnącymi się w dal szeregami stojaków z butelkami; zapewne zrobione zostało w jego piwnicy.

Sam po trosze spodziewał się, że lada moment natrafi na zdjęcia Reboula w piżamie, ale może ten wielki człowiek nie miał czasu na sen.

- Pracuś z niego - powiedział. - Ma osobistego fotografa? Philippe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Co najmniej jednego. Redaktorzy, którzy go dobrze znają, nawet nie wysyłają do niego fotografa, kiedy szykują o nim artykuł.

- A żonę? Jest jakaś madame Reboul?

- Była. Umarła przed laty, a on nigdy się drugi raz nie ożenił. Co nie znaczy, że nie ma jednej czy dwóch petites amies. - Philippe przewertował artykuły, aż znalazł zdjęcie Reboula ze zjawiskową pięknnością kilkanaście centymetrów wyższą od niego. - Mali mężczyźni z wielkimi portfelami - powiedział. - Tacy zawsze są najbardziej jurni i zawsze lecą na wysokie kobiety. Mam rację, Sophie? - Spojrzał na nią i poruszył brwiami.

Skrzywiła się, ale zanim mogła odpowiedzieć, zadzwonił jej telefon. Obserwowana przez Sama i Philippe'a, wstała i odeszła na bok, by odebrać. Rozmowa była krótka i udana.

Kiedy Sophie wróciła do stolika, na jej twarzy gościł szeroki uśmiech.

- O wpół do siódmej dziś wieczorem - poinformowała swoich towarzyszy. - To musi być dzisiaj, bo jutro płynie swoją łodzią na Korsykę i kilka dni go nie będzie.

- Znakomicie - ucieszył się Sam. - Dobra robota. Masz wspaniałą przyszłość w zawodzie promotora książek. No dobrze, co nam będzie potrzebne? Lepiej wezmę aparat.

- Muszę znaleźć strój - powiedziała Sophie. - Coś w stylu bizneswoman.

Philippe spojrział na zegarek.

- A ja muszę zjeść lunch. Inaczej umrę z głodu - oznajmił. - Znam taki jeden lokal, typiquement marseillais. Możemy pogadać przy jedzeniu.

Wysiedli z taksówki na rogu Rue de Village, bocznej ulicy odchodzącej od Rue de Rome. Philippe zaprowadził ich do na pozór zwyczajnego sklepu mięsnego z witryną ozdobioną kompozycją z wołowiny, jagnięciny i cielęciny. Przy wejściu zatrzymał się i odwrócił do Sama.

- Mam nadzieję, że nie jesteś wegetarianinem? - Odpowiedział na własne pytanie przeczącym ruchem głowy. - Byłbym zapomniiał. Jesteś Amerykaninem. Oczywiście, że uwielbiasz mięso. A tu dają najlepsze w Marsylii.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Sam usłyszał gwar rozmów dochodzący z głębi lokalu. Młody mężczyzna wyszedł im na powitanie, dzielnie zniósł energiczny uścisk Philippe'a i zaprowadził ich do małej, zatłoczonej sali, usianej plamkami światła przesączającego się przez liście gigantycznej bugenwilli płożącej się na szklanym dachu. Philippe rozejrzał się i wymienił ukłony i uśmiechy z kilkoma klientami.

- Wszyscy tu są z Marsylii - powiedział do Sama z niejaką satysfakcją. - Pewnie jesteś ich pierwszym Amerykaninem. - Sam przez ten czas oglądał salę, której wystrój wiele zawdzięczał szkole dekoracji wnętrz koncentrującej się na urokach bydła. Portrety wielkiej, dostojnej, czarno - białej krowy imieniem La Belle były wszędzie, na obrazach i podkładkach pod nakrycia, na solniczkach, pieprzniczkach i kartach dań.

- No to chyba już wiadomo, co będziemy jedli - zauważył Sam. - Polecisz coś szczególnego?

Philippe zamknął menu z trzaskiem.

- Na początek bresaola z sercami karczocha, suszonymi na słońcu pomidorami i parmezanem. Potem policzki wołowe, które tu podają z plasterkiem foie gras na wierzchu. I fondant au chocolat. To zaspokoi nasz głód do kolacji. Możecie mi wierzyć.

Podczas gdy niespiesznie jedli lunch, jeden doskonały kęs po drugim, Philippe skupił swoją uwagę na Sophie. Zbyt długo się nie widzieli, jak oświadczył, i chciał nadrobić zaległości. Po kilku niewinnych pytaniach o pracę i Bordeaux, wziął łyk wina, otarł usta serwetką i przeszedł do bardziej delikatnych spraw.

- A jak tam twoje życie uczuciowe?

- Philippe! - Sophie zarumieniła się uroczo i wbiła wzrok w talerz, jakby znalazła na nim coś fascynującego.

- Cóż, założę się, że nie jesteś już z tym... kim on był? Projektantem jachtów? Zawsze wydawało mi się, że miał w sobie coś louche. - Urwał, przekrzywił głowę i przyjrzał się Sophie.

- Mam rację, prawda?

Sophie skinęła głową.

- Właśnie uzyskałam rozwód.

- I... - nie dawał za wygraną Philippe. - I...

- I od prawie półtora roku spotykam się z kimś innym.

- Spojrzała na Sama, kręcąc głową. - Tak to jest, jak się ma dziennikarza w rodzinie. - Odwróciła się do Philippe'a. - Nazywa się Arnaud Rolland, ma małe chateau nieopodal Cissac, mamę, która jest przeuroczą staruszką, i dwa labradory. Bezdzienny. A teraz daj mi skończyć jeść.

Philippe spojrział na Sama z ukosa i mrugnął porozumiewawczo.

- Tak tylko pytam - wyjaśnił.

Przy kawie rozmowa wróciła do planów na ten wieczór.

- Zanim zapomnę - powiedział Philippe, grzebiąc w swoim plecaku. - Wasze devoirs, lektura obowiązkowa przed dzisiejszym wieczorem. - Przesunął małą książkę po stoliku w stronę Sama. - To historia Palais du Pharo, nawiasem mówiąc bardzo ciekawa. Reboul jest dumny ze swojego domu. Będzie pod wrażeniem, jeśli pokażecie mu, że coś o nim wiecie.

- Philippe? - Sophie studiowała plan Marsylii. - Gdybyś miał kupować ubrania, to gdzie?

Philippe zerknął w dół i strzepnął wyimaginowaną drobinę kurzu z wygniecionych spodni khaki wsuniętych do wytartych butów wojskowych.

- Przy Canebiere jest sklep z artykułami z demobilu. Właściciel to mój znajomy. Rozumie mon 'look'.

- Nie dla ciebie. Dla mnie.

Philippe spojrział w zamyśleniu na sufit.

- Myślę, że na Rue Paradis, Rue Breteuil, któreś z uliczek w tamtej okolicy. Zaznaczę ci je na planie.

Stanęli przed restauracją i Philippe pokazał im, którędy mają iść - Sophie do butików, Sam po aparat fotograficzny. On sam, przygnieciony bezlitosnym brzemieniem obowiązku dziennikarza, wyruszył przygotować relację z pierwszego w historii Salon d'Erotisme w Marsylii, unikalnego i zapewne w dużej mierze rozbieranego wydarzenia. Kiedy rozmyślał na głos, co też może tam zobaczyć, Sophie zakryła uszy dłońmi i szybko odeszła.

Wróciwszy na swój taras, Sam usiadł i otworzył książkę od Philippe'a, cienką broszurę w dwóch językach przedstawiającą historię wspaniałego domu, obecnie należącego do Reboula.

Pomysł zbudowania Palais du Pharo zrodził się w 1852 roku, kiedy to Ludwik Napoleon, le prince - president i przyszły cesarz,

napomknął lokalnym dygnitarzom, że rezydencja z widokiem na morze to mogłoby być coś w sam raz dla niego.

Sugestia Napoleona znaczyła prawie tyle, co cesarski rozkaz, więc zaci z obywateli Marsylii zareagowali bez zwłoki. Zbudujemy waszej ekscelencji dom, powiedzieli. Napoleon, uznając, że taka hojność to lekka przesada (umi ar, jakiego na ogół próżno szukać u cesarzy), odrzucił propozycję. Zapewnił jednak, że z chęcią przyjmie działkę, na której wzniesie odpowiedni dla siebie dom.

Jak to się zdarza w Prowansji, budowa postępowała wolno i nie bez zakłóceń. Choć prace oficjalnie rozpoczęły się w 1856 roku, kamień węgielny położono dopiero w roku 1858, 15 sierpnia - w dniu świętego Napoleona, jak się szczęśliwie złożyło. I to był jeden z nielicznych szczęśliwych momentów. Liczni architekci kłócili się między sobą, mistrz kamieniarski okazał się niekompetentny, zatrudniono za mało robotników, występowały trudności z dostawą kamienia, częste wichury niszczyły okna. Prace ciągnęły się przez dziesięć lat, ale z końcem roku 1868 palais Napoleona wciąż nie nadawał się do zamieszkania.

A najgorsze miało dopiero nadejść. Dwa lata później, wskutek nieroztropnych awantur wojennych, Napoleon został zdetronizowany. Wyemigrował do Anglii, gdzie w 1873 roku zmarł. Wdowa po nim, Eugenia, zwróciła Marsylii dar dla niej i męża, i tak oto miasto stało się właścicielem najbardziej spektakularnego pustostanu na wybrzeżu.

Przez następnych sto dwadzieścia lat ojcowie miasta przekonali się, że utrzymanie ogromnych domów, zwłaszcza tych wystawionych na niszczące działanie słonego powietrza, kosztuje krocie. Wypróbowano i odrzucono dziesiątki planów zdobycia środków na ten cel. Ostatecznie miasto ze sporą ulgą przystało na przedstawioną przez Reboula propozycję wynajęcia Palais du Pharo do jego prywatnego użytku. Dokumenty podpisano w dniu świętego Napoleona w 1993 roku i Reboul wprowadził się do pałacu.

Smutna historyjka, pomyślał Sam zamykając książkę. Jeśli cesarz nie może postawić sobie domu w dziesięć lat, to na co mamy liczyć my, szaraczki?

Wczesnowieczorna bryza znad morza stała się chłodna i Sam wszedł do środka, by przebrać się na spotkanie w garnitur. Sprawdził nowy aparat fotograficzny i schował do swojej górnej kieszeni pół tuzina wizytówek. Na każdej widniało tylko jego nazwisko i adres.

Nie było szczegółów jego zawodu, te bowiem zmieniały się w zależności od zlecenia. Poprawił jeszcze krawat - podróbkę Harvard Club - i zszedł na dół, by spotkać się z Sophie w holu.

Już czekała, kiedy Sam wyszedł z windy; właśnie rozmawiała z zasłuchanym w każde jej słowo konsjerżem, który wyraźnie był pod wrażeniem jej kreacji. Była to francuska wersja stroju bizneswoman - innymi słowy, krótka, ale nie za krótka spódniczka, i obcisły żakiet, spod którego wystawał rąbek koronkowego décollete.

Na widok Sama Sophie odwróciła się do niego z ręką na biodrze i uniesionymi brwiami.

- I jak? Może być?

Sam skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś chlubą branży wydawniczej. Powiem więcej: w branży wydawniczej wzbudziłabyś sensację.

- Poprosiłam konsjerżę, żeby wezwał taksówkę - powiedziała.

- Więcej niż dwadzieścia metrów w tych butach nie przejdę.

Sam spojrzał na jej buty. Teraz to on uniósł brwi.

- Rozumiem doskonale - zapewnił. Podał Sophie ramię.

- Chodźmy. To szczęśliwy wieczór Reboula.

## Rozdział 14

Żelazna brama otworzyła się, by wpuścić taksówkę. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, na samym skraju podjazdu, stał nadnaturalnych rozmiarów posąg kobiety w powłóczystych greckich szatach. Jej nic niewidzące marmurowe spojrzenie utkwione było w wielkim budynku w oddali, ręce miała wyciągnięte przed siebie, jakby chciała go dotknąć.

Kiedy przejeżdżali obok, kierowca wskazał ją ruchem głowy.

- Cesarzowa Eugenia - powiedział. - La pauvre. Bliżej swojego pałacu nigdy nie podeszła.

Na schodach przed wejściem czekał młody człowiek w ciemnym garniturze, z głową przechyloną w uprzejmym powitalnym ukłonie. Zaprosił ich do środka i poprowadził alejką z lśniącego miodowego parkietu w jodełkę wiodącą do wysokich, podwójnych drzwi. Otworzył je zamaszystym gestem i zniknął, zostawiając Sophie i Sama prawie oślepionych słońcem wpadającym przez szereg sięgających sufitu okien. Na tle jednego z nich rysowała się sylwetka Reboula, stojącego plecami do pokoju, z telefonem komórkowym przy uchu.

Sophie trąciła Sama łokciem.

- Nie wie, że już jesteśmy.

- Pewnie, że wie - powiedział Sam. - Po prostu daje nam do zrozumienia, jaki jest zapracowany. W Los Angeles wszyscy tak robią. - Odwrócił się i zamknął podwójne drzwi z głośnym hukiem. Hałas był wystarczający, by przyciągnąć uwagę sylwetki, i Reboul, wciąż mocno oświetlony od tyłu, odłożył telefon i przyszedł się przywitać.

Był niski, szczupły i prezentował się nienagannie. Miał gęste siwe włosy, pięknie przystrzyżone en brosse, koszulę w najjaśniejszym odcieniu niebieskiego, oficjalny krawat londyńskiego Guards Club - Sam poznał to jako badacz tego rodzaju tajemnych sygnałów - i ciemnoniebieski jedwabny garnitur. Jego twarz była koloru polakierowanego drewna tekowego, a jasnobrązowe oczy na widok Sophie stały się jeszcze jaśniejsze.

- Bienvenue, madame - powiedział i nachylił się, by pocałować ją w rękę i obejrzeć jej décollete, zanim zwrócił się do Sama. - Et vous etes Monsieur...

- Levitt. Sam Levitt. Miło mi pana poznać. Wielkie dzięki, że zgodził się pan z nami spotkać. - Uścisnął dłoń Reboula i dał mu swoją wizytówkę.

- Ach - powiedział Reboul. - Wolałby pan, żebyśmy rozmawiali po angielsku.

- Byłbym wdzięczny - odparł Sam. - Nie mówię po francusku tak dobrze, jak by wypadało.

Reboul wzruszył ramionami.

- Żaden kłopot. Dziś w biznesie trzeba znać angielski. Wymagam tego od wszystkich moich pracowników. Jak sądzę, wkrótce będziemy musieli się nauczyć chińskiego. - Spojrzał w dół na wizytówkę Sama i uniósł krzaczastą siwą brew. - Chateau w Los Angeles? Jakże modnie.

- Skromne, bo skromne, ale to mój dom - powiedział Sam z uśmiechem.

Reboul wyciągnął rękę w stronę szeregu okien.

- Chodźcie, pokażę wam mój zachód słońca. Podobno najlepszy w Marsylii.

„Jego” zachód słońca, pomyślał Sam. Miliarderzy mieli zadziwiający zwyczaj przywłaszczania sobie cudów natury. Musiał jednak przyznać, że widok był wyjątkowy. Niebo płonęło - przecinała je ziejąca, szkarłatna rana, na krawędziach przechodząca w odcienie różu i lawendy; światło malowało złocistą, pomarszczoną smugę na tafli morza. Reboul skinął głową, jakby na potwierdzenie, że widok spełnił jego wysokie wymagania.

Kilka kilometrów od brzegu była ocieniona grupka małych wysp. Sophie wskazała najbliższą z nich.

- To Chateau d'If, prawda?

- W rzeczy samej, moja droga. Widzę, że dobrze pamiętasz twórczość Alexandre'a Dumas. To tam więziono hrabiego Monte Christo. Nawiasem mówiąc, wielu turystów wierzy, że to postać historyczna. - Zachichotał. - Oto potęga dobrej książki. - Odwracając się od okna, wziął Sophie pod ramię. - Co przypomina mi o powodzie waszej wizyty. Usiądźmy i będziecie mogli mi wszystko opowiedzieć.

Reboul wskazał im dziewiętnastowieczne fotele i sofę ustawione wokół niskiego stolika ociekającego pozłacanym brązem. Zanim sam usiadł, wyjął telefon komórkowy i wcisnął guzik. Młody mężczyzna w ciemnym garniturze - najwyraźniej cały czas czekał pod drzwiami - wniósł tacę i postawił ją na stoliku. Wyjął z wiaderka z lodem butelkę



szampana i na przyzwalające skinienie Reboula otworzył ją. Korek wysunął się z cichym szelestem. Młody mężczyzna rozlał szampana, rozdał kieliszki i zniknął.

- Mam nadzieję, że lubicie kruga - powiedział Reboul. Rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu i skrzyżował nogi, odsłaniając czarne pantofle z krokodylej skóry i szczupłe, mocno opalone nagie kostki. - Wybaczcie brak skarpetek - powiedział - ale ich nie cierpię. Po domu chodzę bez nich. - Wzniósł kieliszek ku Sophie i uśmiechnął się. - Za literaturę.

Przygotowując prezentację, Sam i Sophie uzgodnili, że to Sophie, jako rodowita mieszkanka Bordeaux, jest naturalną kandydatką do roli redaktora odpowiedzialnego za wybór piwnic, które będą opisane w książce. Wzięła więc łyk szampana, by zwilżyć nagle wyschnięte gardło, i na początek przedstawiła Reboulowi ogólny zarys całego przedsięwzięcia, okraszając swoje wyjaśnienia nazwami branż pod uwagę szeroko znanych, profesjonalnych piwnic - należących do najlepszych restauracji i hoteli świata i, rzecz jasna, Pałacu Elizejskiego. Reboul, jak nakazywała grzeczność, słuchał z uwagą, od czasu do czasu dyskretnie przenosząc spojrzenie z twarzy Sophie na jej nogi.

Kiedy przeszła do, jak to określiła, meritum książki - najlepszych prywatnych piwnic świata - zainteresowanie Reboula wzrosło. Spytał, do kogo oprócz niego zamierzają się zwrócić. Sophie, przygotowana na to pytanie, bez zająknięcia wyrecytowała nazwiska garstki angielskich arystokratów, kilku słynnych amerykańskich przemysłowców, najbogatszego człowieka w Hongkongu, stroniącej od świata szkockiej wdowy, która mieszkała w zamku na trzydziestu tysiącach akrów ziemi w Highlands, i kilku szerzej znanych rodów z Bordeaux i Burgundii.

Sophie coraz bardziej się rozkręcała i Reboul wyraźnie był pod wrażeniem, kiedy nachyliła się ku niemu dla podkreślenia wagi swoich następnych słów. Kandydaci do książki, wyjaśniła, muszą spełnić trzy wymogi. Po pierwsze, muszą mieć dość klasy i pieniędzy, by zgromadzić rzeczywiście wyjątkową kolekcję win. Po drugie, muszą być interesujący z powodów innych niż miłość do wina - być ludźmi, jak to ujęła, dla których świat nie kończy się na ich piwnicy. I po trzecie, same piwnice muszą być, pod takim czy innym względem, niezwykle. Aby pokazać, co przez to rozumie, podała dwa przykłady:

angielskiego hrabiego, który trzymał wina w stojącej na krańcu jego ogrodu strzelistej wiktoriańskiej budowli wyposażonej w windę z kontrolą wilgotności; i Amerykanina, który poświęcił na swoją kolekcję całe piętro trypoziomowego mieszkania na Park Avenue. I choć nie widziała jeszcze piwnic Palais du Pharo, zapewniła, że nie wyobrażała sobie, by mogły nie być nadzwyczajne.

Reboul skinął głową.

- W istocie, są nadzwyczajne. I całkiem spore. Dość powiedzieć, że ich zarządca, monsieur Vial, przemieszcza się po nich małym rowerem. - Uniósł dłoń i młody człowiek zmaterializował się, by napełnić kieliszki. - To interesujące przedsięwzięcie, nad wyraz uroczo przedstawione. - Skłonił głowę w kierunku Sophie. - Ale... jak by to ująć... diabeł tkwi w szczegółach. Jak powstaje taka książka?

Przyszła kolej na Sama. Zatrudni najlepszych fachowców, zapewnił Reboula. Przygotowanie tekstu zostanie zlecone któremuś z renomowanych krytyków winiarskich - pierwszym, który przychodzi do głowy, jest rzecz jasna Hugh Johnson

- do tego zaś być może dojdzie przedmowa pióra Roberta Parkera; zdjęcia zrobią Halliwell albo Duchamp, powszechnie uważani za mistrzów. Za ogólny wygląd książki odpowiadać będzie Ettore Pozzuolo, geniusz designu i legenda branży wydawniczej. Innymi słowy, kosztą nie grają roli. To będzie ni mniej, ni więcej, tylko biblia miłośników wina, których są miliony na całym świecie. I to biblia przez wielkie „B”, dodał Sam. Naturalnie, Reboul dostanie do akceptacji tekst i ilustrujące go zdjęcia, a funkcję łącznika między autorem, fotografem a Palais du Pharo pełnić będzie madame Costes. Która, nawiasem mówiąc, będzie do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

Reboul w zamyśleniu pociągnął się za płatek szorstkiego ucha. Był świadom, że prawi mu się pochlebstwa, ale to nigdy go nie niepokoiło. Pomysł nie jest zły, stwierdził, wcale a wcale. Sam chętnie sięgnąłby po taką książkę. A jeśli umowa zapewni mu prawo do autoryzacji tekstu, nie spotkają go żadne kłopotliwe niespodzianki, kiedy album ukaże się na rynku. To będzie jeszcze jedno świadectwo jego sukcesu - portret magnata o podniebieniu ze złota. A plusem nie do pogardzenia była też perspektywa wielu sympatycznych narad redakcyjnych z czarującą madame Costes, która patrzyła na niego z taką nadzieją.

Podjął decyzję.

- Dobrze zatem - powiedział. - Zgadzam się. Nie dla osobistego rozgłosu, oczywiście, ale dlatego, że zawsze szukam okazji, by rozślawić Francję i wszystko, co francuskie. Takie mam hobby. Chyba można mnie nazwać staroświeckim patriotą. - Zawiesił głos, by mieli czas w pełni docenić szlachetność jego intencji.

- No dobrze. Jak wiecie od mojej sekretarki, jutro z samego rana wyjeżdżam na kilka dni na Korsykę. Jednak na tym etapie prac nie jestem wam potrzebny. Człowiekiem, z którym powinniście się zobaczyć, jest monsieur Vial. Opiekuje się moją piwnicą od prawie trzydziestu lat. Choć trzymam w niej kilka tysięcy butelek, czasem mam wrażenie, że zna każdą z nich. Lepszego przewodnika nie znajdziecie. - Reboul skinął głową i powtórzył:

- Tak, to z Vialem musicie się zobaczyć.

Kiedy mówił, nadzieja na twarzy Sophie przeszła w radość. Jej ręka spoczęła na ramieniu Reboula.

- Dziękuję - powiedziała, nachylona ku niemu. - Nie pożałuje pan, daję słowo.

Reboul poklepał ją po dłoni.

- Nie wątpię, moja droga. - Spojrzał na drugi koniec pokoju, w stronę stale kręcącego się tam młodego człowieka. - Dominique umówi was z Vialem na jutro. A teraz proszę o wybaczenie, ale zaraz mam następnego gościa. Dominique odwiezie was do hotelu.

W drodze do wyjścia omal nie zderzyli się z gościem Reboula: wysoką, smukłą dziewczyną w dużych ciemnych okularach - na wypadek, gdyby słońce jakimś cudem wyszło na bis - za którą ciągnął się zapach perfum.

- Shalimar - powiedziała Sophie, pociągając nosem z dezaprobatą. - I mocno z nim przesadziła.

Kiedy na stopniach przed wejściem czekali na samochód, Sam objął Sophie ramieniem i uściskał.

- Byłaś rewelacyjna - stwierdził. - Przez chwilę myślałem, że usiądziesz mu na kolanach.

Sophie się roześmiała.

- On chyba też tak myślał. Flirciarz z niego, co się zowie.

- Odeła wargi. - Choć trochę za niski.

- To nie kłopot, wierz mi. Gdyby stanął na swoim portfelu, byłby wyższy od nas obojga razem wziętych.

Przed domem zatrzymał się długi, lśniący czarny peugeot i Dominique wyskoczył z niego, by otworzyć tylne drzwi.

- Mieszkamy tuż obok - poinformował go Sam. - W Sofitelu.

Kiedy podjeżdżali do bramy, samochód stanął obok posągu cesarzowej Eugonii. Dominique opuścił szybę, wyciągnął rękę i wcisnął guzik ukryty w fałdzie marmurowej szaty Eugonii.

Elektrycznie sterowana brama otworzyła się na oścież. Dominique szepnął „Merci, madame”, skreślił na bulwar i po kilku minutach byli już z powrotem w hotelu.

- Nie wiem, jak ty - powiedział Sam do Sophie, kiedy samochód odjechał - ale ja myślę, że zasłużyliśmy na jeszcze jednego drinka. To co, ścigamy się do baru?

Kiedy przemierzali hol, pospieszyła ku nim potężna, rozchełstana postać z uniesionymi brwiami, zgarbionymi ramionami i szeroko rozłożonymi rękami. Żywy semafor, świeżo po wizycie na Salon d'Erotisme.

- Alors? Alors? Jak poszło? Sam podniósł oba kciuki.

- Sophie była fantastyczna. Jesteśmy na jutro umówieni na zwiedzanie piwnicy. A ty co? Miałaś erotyczne popołudnie?

Odpowiedzią był szeroki uśmiech.

- Zdziwiłbyś się. Tyle nowości... żebyście wiedzieli, co się dziś robi z lateksu. Na przykład...

- Philippe! Dość tego. - Sophie kręciła głową przez całą drogę do baru.

Przy drinkach wprowadzili Philippe'a w sytuację. Wszyscy zgodzili się, że to był obiecujący początek, ale kluczowe będzie to, co stanie się jutro. Czekają ich mnóstwo roboty. Sądząc z opisu Reboula, jego piwnica była gigantyczna, skoro jeździło się w niej na rowerze. A to jeszcze nie wszystko. Musieli znaleźć raptem pięćset spośród tysięcy butelek. Zapowiadał się ciężki dzień.

Sam dopił drinka i wstał.

- Lepiej pójdeż zadzwonić. W Los Angeles na pewno zachodzą w głowę, co się dzieje, a najlepiej złapać ich przed lunchem. Ale nie wątpię, że macie sobie do przekazania wiele rodzinnych plotek.

Philippe zrobił zawiedzioną minę.

- Nie chcesz wiedzieć, jak było na Salon d'Erotisme?

- Jeszcze jak - odparł Sam - ale nie dziś.

W Los Angeles była jedenasta rano i Elena Morales zaczynała się zastanawiać, czy w książce telefonicznej nie znalazłoby się jakiejś firmy zajmującej się usuwaniem ludzi. Telefony od Danny'ego Rotha - czy to złośliwe, czy obelżywe, czy też pełne grózb - dołowały ją do tego stopnia, że często marzyła o tym, żeby zlecić komuś zgładzenie go. Do tego dochodziła irytacja spowodowana przedłużającym się milczeniem Sama i frustrujący brak wieści o postępach jego dochodzenia we Francji - o ile w ogóle jakiegokolwiek były. Dlatego też kiedy jej sekretarka oznajmiła, że dzwoni pan Levitt, Elena miała ochotę urwać mu łeb.

- Tak, Sam. O co chodzi? - Ton jej głosu był kilka stopni poniżej zera.

- Jednym z wielu powodów, dla których cię uwielbiam - powiedział Sam - jest to, jak miło się z tobą gawędzi przez telefon. A teraz słuchaj.

Zajęło mu pięć minut, żeby omówić wszystkie wydarzenia, które doprowadziły do spotkania z Reboulem i zaplanowanej na następny dzień wizyty w jego piwnicy. Elena dała mu skończyć, zanim się odezwała.

- Czyli twój koleżka z półświatka, Axel Schroeder, powiedział ci, że Roth upozorował kradzież?

- Właśnie tak.

- Ale mu nie uwierzyłeś. I nie wiesz, czy ten Reboul ma skradzione wino?

- Otóż to.

- A jeśli je ma, jak zamierzasz to udowodnić?

- Pracuję nad tym. - Odpowiedziała cisza na drugim końcu linii. - Jakoś cię to nie cieszy.

- Poprosiłam paryską filię o przesłanie CV Sophie Costes. - I...

- Jest ze zdjęciem. Wygląda nie całkiem tak, jak ją opisałeś.

- Sam wręcz czuł chłód bijący z telefonu. - Dobranoc, Sam.

- Połączenie urwało się, zanim mógł odpowiedzieć.

## Rozdział 15

Sam wstał wcześniej, wciąż bijąc się z myślami z powodu wczorajszej rozmowy telefonicznej. Powinien był jeszcze raz zadzwonić do Eleny i wszystko wytłumaczyć. Nie, nie powinien. Do diabła z tym. Jeśli chciała wyciągać pochopne wnioski, proszę bardzo. Chodził z kąta w kąt, ogarnięty silnym poczuciem déjà vu. Tak właśnie zaczynały się ich kłótnie w starych czasach: od jej podejrzeń i jego oślego uporu. Przez to ich związek był burzliwy - za to pojednania, trzeba przyznać, niekiedy nadzwyczaj spektakularne. Odpędził wspomnienia wzruszeniem ramion i skupił się na dossier Reboula, które zostawił mu Philippe.

Francuszczyzna Sama daleka była od doskonałości, ale kiedy brnął przez kolejne artykuły, z grubsza rozumiał ich treść. Przez wszystkie - bez względu na to, w jakiej roli występował w nich Reboul, magnata prasowego czy pirata Morza Śródziemnego - przewijał się jeden motyw: wspaniałość Francji i wszystkiego, co francuskie. Kultury, języka, kuchni, wina, chateaux, mody, francuskich kobiet, francuskich piłkarzy i tak dalej. Nawet szybkobieżne pociągi TGV, choć Reboul przyznał, że nigdy żadnym nie jechał, zasłużyły sobie na gorące pochwały. I na podstawie jego słów można było odnieść wrażenie, że odegrał kluczową rolę w stworzeniu tego wszystkiego.

Jedyną oznakę, że Francja według Reboula mogła nie być rajem na ziemi, stanowiła jego pogarda dla fonctionnaires, tej szarej armii biurokratów, która rozpleliła się we wszystkich dziedzinach życia Francuzów. To był konik, na którego publicznie wsiadał każdej wiosny, kiedy z okazji, jak to określał, fete de fisci, czyli święta poborcy podatkowego, organizował konferencję prasową poświęconą podatkom. Nie poprzestając na ujawnieniu światu, ile płacił fiskusowi, podawał równowartość tej kwoty w pensjach fonctionnaires. Zapewniało to stosowny punkt wyjścia do jego dorocznej tyrady przeciwko bezczynności, niekompetencji i marnotrawstwu biurokracji - zawsze wielce przychylnie przyjmowanej przez prasę popularną. To jednak było wszystko, jedyna skaza na poza tym idyllicznym francuskim pejzażu.

Reboul był osobliwością pośród miliarderów. Większość z nich wolała spędzać życie, przemieszczając się między takimi azylami jak Nassau, Genewa i Monako, w ciągłym stanie pogotowia na wypadek

jakiegokolwiek zmiany w przepisach podatkowych. Sam nie mógł nie poczuć sympatii do człowieka gotowego płacić cenę za zamieszkiwanie w kraju, który w sposób tak oczywisty kochał. Skinął głową na znak aprobaty, po czym zamknął teczkę i zszedł na dół, by spotkać się z Sophie w holu.

Florian Vial czekał na nich przed głównym wejściem do Palais du Pharo. Gdyby nie wiedzieli, że opiekował się piwnicą Reboula, wzięliby go za profesora, a może poetę, któremu się dobrze powodzi. Mimo dość ciepłej, wiosennej temperatury, ubrany był w garnitur z grubego, butelkowiezielonego sztruksu, chroniący przed piwnicznym chłodem. Na szyi miał długi czarny szalik, okręcony kilka razy wokół niej w skomplikowany, typowo francuski sposób. Spod marynarki wystawał rąbek koszuli w kolorze śliwkowym. Jego włosy, długie, proste, zaczesane do tyłu, były szpakowate, podobnie jak broda, starannie przystrzyżona w trójkąt. Jasnoniebieskie oczy patrzyły przez okrągłe okulary bez oprawki. Sprawiał wrażenie żywcem przeniesionego z dziewiętnastego wieku. Gdyby dodać mu jeszcze wielką fedorę i pelerynę, mógłby być postacią z obrazu Toulouse - Lautreca, bon vivantem wybierającym się do swojej kochanki.

Schylił się, by pocałować Sophie w rękę, i musnął jej palce swoimi wąsikami.

- Enchante, madame. Enchante. - Odwrócił się do Sama i uściskał mu dłoń, potrząsając nią energicznie. - Tres heureux, monsieur - powiedział, po czym cofnął się, unosząc obie ręce. - Mais pardonnez - moi. Zapomniałem. Monsieur Reboul uprzedzał, że woli pan angielski. To dla mnie nie kłopot. Mówię płynnie po angielsku. - Z błyskiem w oku, obdarzył Sophie i Sama promiennym uśmiechem. - To co, zaczynamy?

Prowadzeni przez Viala przeszli przez szereg bogato zdobionych pokojów - Vial nazywał je salons - do przestronnej kuchni. W odróżnieniu od salons, którym pozwolono zachować dość pretensjonalny wystrój z epoki, zdominowany przez żyrandole, lambrekiny i frędzle, kuchnia była okazem nowoczesności: nierdzewna stal, wypolerowany granit, wbudowane oświetlenie. Jediną pamiątką dawnych tradycji kulinarnych był zamontowany wysoko na ścianie żeliwny regał, na którym stało trzydzieści - czterdzieści wypucowanych miedzianych garnków. Vial machnął ręką w stronę masywnej kuchenki - Le Cornu, wyposażona w dość

palników, płytek do podgrzewania i piecyków, by obsłużyć cały bankiet - i powiedział ze sporą satysfakcją:

- Szef kuchni w Passedat, znajomy naszego patron, jest tu częstym gościem. Życie oddałby za taką kuchnię.

Przeszli do drugiej, już nie tak imponującej kuchni, wielkiego pomieszczenia o ścianach zastawionych szafkami, zamrażalnikami i zmywarkami. W kącie było dwoje drzwi. Vial otworzył te większe i obejrzał się przez ramię.

- Schody są bardzo wąskie. Attention! Jak to się mówi: spiesz się powoli.

Schody były nie tylko wąskie, ale i strome, w kształcie ciasno zwiniętej spirali, kończącej się przed drzwiami z pomalowanej stali. Vial wcisnął kilka cyfr na wbudowanej w ścianę elektronicznej klawiaturze i otworzył drzwi. Włączywszy światła, odsunął się na bok z uśmiechem, by obserwować reakcję gości. Najwyraźniej był to jego ulubiony moment.

Sophie i Sam stali na progu jak wryci, w niemym oszołomieniu. Przed nimi ciągnęło się długie na dobrych dwieście metrów, szerokie przejście wyłożone kamiennymi płytami, niemal niezauważalnie nachylone. Sufit był szeregiem wysokich, wysmukłych sklepień ze starej cegły, które wskutek działania czasu przybrały jasny, przykurzony odcień różu. Od głównego korytarza odchodziły mniejsze, o wejściach oznaczonych murowanymi kolumnami wysokości człowieka. Na lewo od drzwi, oparty o beczkę, stał rower Viala, stary solex. Powietrze pachniało tak, jak powietrze w piwnicy pachnieć powinno: było lekko wilgotne i lekko zatęchłe.

Vial pierwszy przerwał milczenie.

- Alors? Co wy na to? Będzie pasować do waszej książki?

- Z uśmiechem pogładził wąsy grzbietem palca wskazującego, gestem człowieka, który wie, że za chwilę usłyszy komplement.

- Imponujące, naprawdę - powiedziała Sophie. - Nawet w Bordeaux nie znalazłoby się tak wielkiej piwnicy, na pewno nie w prywatnym domu. Wspaniała, Sam, nie sądzisz?

- Idealna - przyznał. - W sam raz do książki. - Uśmiechnął się szeroko do Viala. - Jedyne kłopot w tym, że trzeba mapy, żeby tu nie zabłądzić.

Vial omal nie pękł z zadowolenia.



- Ależ ja oczywiście mam taką mapę! Mais oui! Przejdźmy do mojego gabinetu, a pokażę wam, jak się dostać z, jak to się mówi, punktu A do punktu B.

Ruszyli w głąb wyłożonego kamiennymi płytami przejścia. Vial coraz bardziej wczuwał się w rolę przewodnika wycieczki.

- Wszystko to ulice, wiecie, jak w mieście. Teraz jesteśmy na głównej. - Wskazał niebiesko - białą emaliowaną tabliczkę z napisem Boulevard du Palais, umieszczoną na wysokości wzroku na pierwszej kolumnie, do której podeszli. - A po bokach

- ciągnął Vial - są inne ulice, większe i mniejsze. - Zatrzymał się i podniósł palec. - Ale nazwa każdej mówi nam, kto na niej mieszka. - Pokiwał palcem. - Oczywiście, mam na myśli butelki. - Dał im znak, żeby skręcili na jeden z bocznych korytarzy. Następna niebiesko - biała tabliczka informowała, że są na Rue de Champagne.

I rzeczywiście, była tam nieopisana obfitość szampana, wypełniającego stojaki wzdłuż wąskiego przejścia, wysypanego żwirem: Krug, Roederer, Bollinger, Perrier - Jouet, Clicquot, Dom Perignon, Taittinger, Ruinart - w zwykłych butelkach, magnum, jeroboamach, rehoboamach, matuzalemach, a nawet nabuchodonorach. Vial wpatrzył się w tę wystawę z czułością kochającego rodzica, zanim zaprowadził ich na następną ulicę, Rue de Mersault, a po niej, jedną po drugiej, pokazał im jeszcze Rue de Montrachet, Rue de Corton - Charlemagne, Avenue de Chablis, Allee de Pouilly - Fuisse i Impasse d'Yquem. Ta strona bulwaru głównego, wyjaśnił, zarezerwowana była dla białych win; strona przeciwna dla czerwonych.

Minęła prawie godzina, zanim przemierzyli całą długość piwnicy, tu i tam przystając na znak czci - na przykład dla wspaniałych czerwonych burgundów na Rue du Cote d'Or czy legendarnego tria Latour, Lafite i Margaux na Rue des Merveilles. Kiedy dotarli do gabinetu Viala, lekko szumiało im w głowach, jakby nie tylko oglądali trunki, ale i ich kosztowali.

- Pozwoli pan, że o coś spytam - powiedział Sam. - Nie zauważyłem Rue de Chianti. Macie tu może jakieś włoskie wina?

Vial spojrzał na niego tak, jakby Sam znieważył jego matkę. Kiedy skończył kręcić głową i cmokać językiem, pozwolił sobie na to, żeby przemówić.

- Nie, nie, nie, wykluczone. Wszystkie butelki pochodzą z Francji, zgodnie z życzeniem monsieur Reboula. Mamy tylko to, co najlepsze. Chociaż... - Vial jakby się zawahał, czy coś im wyznać. - Entre nous, i proszę nie pisać o tym w książce, tam dalej zobaczy pan kilka skrzynek z waszej Kalifornii. Monsieur Reboul ma winiarnię w, jak wy to nazywacie, Napa Valley. Dla własnej rozrywki. To takie hobby. - I, sądząc z miny Viala, hobby, które nieszczerze pochwalał.

Na samym końcu piwnicy, w kącie obok gigantycznych podwójnych drzwi, stał patriotyczny wózek golfowy, pomalowany na niebiesko, białą i czerwoną, w barwy francuskiego tricolore. Za przyciśnięciem guzika drzwi się otworzyły, ukazując długi podjazd, który prowadził do posągu smutnej Eugonii i bramy posiadłości.

- Widzicie? - powiedział Vial. - Piwnica jest pod la grande pelouse, trawnikiem przed domem. - Wskazał ruchem głowy wybrukowany plac za drzwiami. - Tu przyjmujemy dostawy. Butelki wyładowywane są z ciężarówki do mojego chariot de golf, ja rozwożę je pod właściwe adresy.

Sophie spojrzała na wózek golfowy ze zmarszczonym czołem.

- Ale, monsieur Vial, jak przenosicie wino do domu, kiedy chcecie je wypić? Chyba nie tymi schodami? A może jedzie pan wózkiem wokół...

- Aha! - Vial postukał się w nos. - Niezawodny kobiecy zmysł praktyczny. Pokażę to wam na samym końcu. A teraz chodźmy do mojego gabinetu, zobaczycie, jakie mam zwariowane meble.

Stawało się oczywiste, że Vial przewidywał dla siebie ważną rolę drugoplanową w książce, dlatego też skrupulatnie wskazał liczne godne uwagi przedmioty w jego zagraconym gabinecie. Korkociąg - kolos długości co najmniej metra, o uchwycie z poskręcanej, wypolerowanej kawałka gałęzi drzewa oliwnego, stał oparty o ścianę z boku biurka; biurka konesera, jak nazwał je Vial. Nie licząc szklanego blatu, było w całości skonstruowane z drewnianych skrzynek na wino z najsłynniejszych winnic; każda skrzynka służyła za szufladę, a na każdej szufladzie widniał stempel z nazwą i symbolem winnicy. Nierzucające się w oczy uchwyty szuflad były okrągłymi drewnianymi czopami, zabarwionymi tak, by przypominały korki.

Sam wyjął aparat fotograficzny i uniósł go.

- Mogę? Żeby potem niczego nie zapomnieć.

- Ależ oczywiście! - Vial przesunął się tak, by być w kadrze, położył dłoń na biurku, uniósł głowę i przybrał dostojny wyraz twarzy: wybitny caviste uchwycony w rzadkim momencie zadumy.

Sam uśmiechnął się do niego.

- Widać, że już pan to robił.

Vial musnął dłonią wąsy i zmienił pozę: tym razem przysiadł na skraju biurka z rękami założonymi na piersi.

- Dla magazynów o winie, owszem. Zawsze lubią, jak to nazywają, historie z życia wzięte.

Podczas gdy Sam robił zdjęcia, Sophie oglądała inne eksponaty „z życia wzięte”, zajmujące większą część jednej ściany: oprawione zdjęcia Viala z aktorami, piłkarzami, gwiazdami popu, projektantami mody i modelkami, i innymi znamienitymi gośćmi. Sąsiadowały one z certyfikatami wydanymi przez Jurade de Saint - Emilion i Chevaliers du Tastevin i stosownie wyeksponowanym listem z podziękowaniami z Pałacu Elizejskiego, podpisanym przez samego prezydenta Republiki Francuskiej. Wyglądało na to, że podobnie jak jego szef Reboul, Vial nie ma nic przeciwko odrobinie autopromocji.

Sophie odeszła od tej galerii sław i przystanęła przy długim, szerokim regale zastawionym alkoholowymi antykami - nieotwartymi butelkami z dziewiętnastego wieku, o poplamionych, wyblakłych etykietach i tajemniczej, mętnej zawartości. Jej uwagę przyciągnęła butelka z ciecżą, która niegdyś była białym bordo, Gradignan rocznik 1896, spoczywającą na kilkunastocentymetrowej warstwie osadu. Vial oderwał się od aparatu fotograficznego i podszedł z Samem do Sophie.

- Mój kącik sentymentalny - powiedział. - Znajduję te butelki na pchlich targach i nie mogę się im oprzeć. Niezdatne do picia, rzecz jasna, ale bardzo malownicze, nie sądzicie?

- Fascynujące - odparła Sophie. - To też. - Wskazała na stojący w kącie mały miedziany alembik, służący destylacji wyłoków gronowych w eau - de - vie. - Zobacz, Sam. Macie takie w Kalifornii?

Sam pokręcił głową.

- Tylko na pokaz. Ten działa?

Vial udał zgorzzonego tym pytaniem.

- Czy ja wyglądam na przestępcę, monsieur? Od roku, niech ja pomyślę, 1916 osobom prywatnym nie wolno pędzić własnego, jak to

się mówi, samogonu. - Pozwolił sobie na porozumiewawcze mrugnięcie i uśmiezek zadowolenia z tego, że błysnął znajomością takiego słowa. - A teraz pozwólcie, że pokażę wam, jak nie zabłądzić w moim miasteczku. - Przeszedł na tył gabinetu i machnął ręką w stronę mapy wiszącej na ścianie za jego biurkiem.

Miała może dwadzieścia pięć centymetrów wysokości i metr szerokości i przedstawiała narysowany odręcznie widok piwnicy z lotu ptaka, z nienagannie wykaligrafowanymi nazwami ulic. Wokół mapy, przy samej prostej połączanej ramie, biegła obwódka, którą tworzyły kolorowe miniaturowe korkociągi, każdy z innym uchwytem. Niektóre miały wymyślne kształty - serca, psa, francuskiej flagi, ptasiego dzioba - pozostałe zaś były artystycznymi wersjami bardziej konwencjonalnych modeli. W rogu mapy widniał podpis, była też data, podana rzymskimi liczbami.

- Doskonała - powiedział Sam. - W sam raz na wyklejki. Sophie, choć nie miała pojęcia, o czym on mówi, skinęła głową z mądrą miną.

- Dobra myśl.

Sam wyjaśnił zdziwionemu Vialowi, że niektóre książki - droższe, bardziej luksusowe wydania - często mają grafiki zdobiące wewnętrzną stronę przedniej i tylnej okładki.

- Pańska mapa, z tymi wszystkimi nazwami i korkociągami, byłaby idealna do książki o winie - powiedział. - Nie ma pan aby więcej egzemplarzy?

Z następnym mrugnięciem, Vial przypadł do biurka, otworzył jedną z dolnych szuflad i wyjął zwój, który rozłożył na blacie.

- Zostały wydrukowane, zanim oprawiliśmy oryginał. Rozdajemy je jako drobne upominki znajomym monsieur Reboula, którzy przychodzą do piwnicy na degustację. Charmant, non? - Zwinął mapę w rulon i podał ją Sophie.

Kiedy zaczęli mu dziękować, spojrział na zegarek i skrzywił się.

- Peuchere! Jak to się stało, że zleciał już cały poranek? Mam rendez - vous w Marsylii. - Wyprowadził ich z gabinetu. - Koniecznie wróćcie po lunchu.

Wsiadł do wózka golfowego i dał znak, by do niego dołączyli.

- Proszę sobie wyobrazić, że jest pan skrzynką wina - zwrócił się do Sama - i że dziś nadchodzi pańska chwila chwały, że już tego wieczoru wprawi pan w zachwyt gości monsieur Reboula i zostanie

skonsumowany wśród okrzyków rozkoszy. - Uruchomił wózek i ruszył w głąb Boulevard du Palais.

- Miła perspektywa - powiedział Sam. - Skrzynką wina czerwonego czy białego?

- Wszystko jedno - odparł Vial. - Może być i takiego, i takiego. To bez znaczenia. Najważniejszym pana problemem jest to, jak się dostać do sali jadalnej. - Dojechał na koniec bulwaru i zaparkował wózek przed drzwiami piwnicy. - Jak pan widzi - oznajmił, wysiadając z wózka - są tu jeszcze jedne drzwi. - Wskazał je. Były niskie, wąskie, osadzone w ścianie. Gestem magika, który znalazł w cylindrze nie jednego, a dwa białe króliki, otworzył te drzwi i cofnął się o krok. - Voila! Winda dla butelek. Wjeżdża do kuchni na tyłach. Bez turbulencji. Bez zaburzeń równowagi wywołanych wchodzeniem po schodach. Wino przybywa spokojne, odprężone, gotowe spełnić swoje przeznaczenie.

- My to nazywamy „niemym kelnerem” - powiedział Sam.

- Otóż to - odparł Vial, dodając następne wyrażenie do swojego repertuaru. - „Niemy kelner”. - Znów spojrzał na zegarek i wzdrygnął się. - To co, spotkamy się o trzeciej? Będę czekał przy wejściu dla dostawców. I dam wam adres lokalu w Vieux Port, w którym można zjeść dobry lunch.

Sophie i Sam wymienili spojrzenia.

- Typiquement marseillais? - spytała Sophie.

- Mais non, chere madame. To sushi bar.

## Rozdział 16

Postanowili zrezygnować z uroków baru sushi, który okazał się ciemną, zatłoczoną kłitką przy bocznej uliczce, na rzecz słońca i kanapki na tarasie La Samaritaine, po drugiej stronie ulicy od portu. Zanim przyniesiono karafkę rose i dwa jambons beurrés, zdążyli się nieco ogrzać po poranku spędzonym pod ziemią, wśród butelek.

Była to ciekawa wizyta. Vial, choć nieco zbyt skłonny do popisów jak na konserwatywny, ukształtowany w Bordeaux gust Sophie, prowadził pierwszorzędną piwnicę, pięknie urządzonej i wolnej od pajęczyn. I był tak pomocny, że bardziej już nie można. Chwilami aż za pomocny, jak oboje zgodnie stwierdzili. Niczym przesadnie troskliwy kelner, ani na moment nie zostawił ich samych. Zaglądał im przez ramię, wpadał w zachwyty nad taką czy inną winnicą lub takim czy innym rocznikiem, i mimo swoich dobrych intencji, ogólnie tylko przeszkadzał. Był to problem, który należało jakoś rozwiązać. Wytropienie pięciuset spośród wielu tysięcy butelek zapewne zajmie kilka godzin i będzie wymagało dużego skupienia. Jedno popołudnie powinno wystarczyć, zwłaszcza że mieli mapę, która wskaże im drogę. Mimo to łatwo nie będzie, a towarzystwo stale kręcącego się w pobliżu Viala nie pomoże.

Sam rozlał wino do dwóch kieliszków. Ciemniejsze od bladych rose, ostatnio modnych w Los Angeles, miało niemal ten sam odcień różu, co wędzona szynka w jego kanapce. Wzniósł kieliszek ku słońcu, wziął łyk i długo trzymał wino w ustach. Smak lata. Po poranku spędzonym wśród win z arystokracji przyjemnie było dla odmiany napić się czegoś prostego, skromnego, a przy tym dobrego - bez długiego rodowodu, historycznego rocznika, komplikacji i absurdalnie zawyżonej ceny. Nic dziwnego, że był to ulubiony trunek w Prowansji.

- Wiesz co? - powiedział. - Kiedy wrócimy tam po południu, może dobrze byłoby się rozdzielić. Jedno z nas mogłoby zostać po stronie białych, a drugie sprawdzi czerwone. Vial nie może być w dwu miejscach jednocześnie. Co ty na to?

Sophie po chwili namysłu skinęła głową.

- Białe biorę na siebie.

- Proszę bardzo. Jest jakiś szczególny powód?

- Z win, których szukasz, większość to wina czerwone. Lepiej, żeby Vial nie widział, że robisz notatki czy zdjęcia. A poza tym...

jestem z Bordeaux. Znam się na czerwonych winach. Za to na szampanie i białym burgundzie już niekoniecznie. Dlatego to normalne, że mogę chcieć, by Vial mi o nich opowiedział. On lubi mówić, popisywać się wiedzą. Sam widziałeś. Jestem pewna, że wystarczy, że podpuszczę go o, tyle... - tu zbliżyła palec wskazujący do kciuka na ułamek centymetra - ...a przegada ze mną całe popołudnie. C'est certain. - Uśmiechnęła się i spojrzała na Sama znad okularów przeciwsłonecznych.

- Dobrze się bawisz, co?

- Pod pewnymi względami bardzo dobrze. To dużo bardziej zajmujące od ubezpieczeń. Zupełnie jak gra. - Wzruszyła ramionami. - Ale nie jestem pewna, czy chcę, żebyśmy wygrali. Rozumiesz, co mam na myśli?

Sam rozumiał to doskonale. W przeszłości prowadził kilka dochodzeń, w których jego sympatia, z takich czy innych powodów, leżała po stronie sprawcy.

- Tak, wiem, o czym mówisz. Reboul i Vial robią sympatyczne wrażenie. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale sympatyczni ludzie też mogą być przestępcami. Weźmy mnie. Sam kiedyś byłem przestępcą.

Sophie przyjęła tę sensacyjną informację z nie większym zaskoczeniem, niż gdyby powiedział, że grał zawodowo w futbol amerykański. W końcu był Amerykaninem, więc wszystko było możliwe.

- Brakuje ci tego... to znaczy, życia przestępcy?

- Czasami. - Sam odchylił się na oparcie i powiódł wzrokiem za starszym panem, który powłócząc nogami, powoli przechodził przez jezdnię i wygrażał samochodom laską. - Kiedy robisz przekręt, czujesz, że żyjesz. Intensywnie. Chyba sprawia to świadomość ryzyka, no i adrenalina. Poza tym uwielbiałem wszystkie towarzyszące temu przygotowania, obmyślanie porządnej, czystej roboty, rozplanowanej co do sekundy i wykonanej jak należy. Bez broni, bez przemocy, nikomu nie dzieje się krzywda.

- Oprócz biednej firmy ubezpieczeniowej.

- Też coś. Pokaż mi biedną firmę ubezpieczeniową, a ja pokażę ci dowód, że Święty Mikołaj żyje i mieszka na Florydzie. Ale wiem, do czego pijesz. Ktoś zawsze jest ofiarą. - Jak Danny Roth, pomyślał, ale nie zdołał obudzić w sobie nawet krzty współczucia.

Sophie zadzwoniła do Philippe'a, żeby przekazać mu najświeższe wiadomości, po czym siedzieli przy resztkach wina i małych porcjach piekielnie mocnej kawy, aż nadeszła pora, by wrócić do Palais du Pharo. Teraz wszystko się rozstrzygnie. Jeszcze tego popołudnia dowiedzą się, czy tylko tracą czas, czy też może są na najlepszej drodze do rozwiązania klasycznego przestępstwa na odległość, kradzieży sans frontieres. Nie tylko zgrabnej, ale i urzekająco staroświeckiej, przywołującej prostsze czasy, kiedy nie kradło się przy wykorzystaniu cudów elektroniki czy pokrętnych talentów prawników. Kiedy stali w słońcu, czekając na taksówkę, Sam sprawdził, czy ma wszystko w kieszeniach: mapa, aparat fotograficzny, notes i lista skradzionych win. Za pięć trzecia. Byli gotowi.

- I jak sushi, smakowało? - Vial nie czekał na odpowiedź, tylko od razu zagonił ich do swojego gabinetu. - Udało mi się uwolnić na całe popołudnie. Je suis a vous. - Przekrzywił głowę wyczekująco i Sophie zwietrzyła okazję.

- Tyle jest do zobaczenia - powiedziała - pomyśleliśmy więc, że byłoby najlepiej, gdyby każde z nas obejrzało połowę piwnicy. Ja wybrałam białe wina, ale pod jednym warunkiem. - Spojrzała na Viala i przez jedną, długą chwilę Sam miał wrażenie, że Sophie zaraz zatrzepocze rękami. - Ponieważ pochodzę z Bordeaux, dobrze znam najlepsze czerwone wina. Jednak jeśli chodzi o najznakomitsze szampany i białe wina z Burgundii i Sauternes... choć oczywiście znam je z nazwy... to mam, że tak powiem, duże braki w wykształceniu. Dlatego byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan... - Zawiesiła głos, nie odrywając oczu od Viala, który odruchowo wyprostował ramiona i podniósł dłoń, by pogłodzić się po wąsach.

- Droga madame, nic nie sprawia mi większej przyjemności od dzielenia się moją skromną wiedzą z innym entuzjastą. - Ruszył w stronę drzwi krokiem człowieka mającego do spełnienia ważną misję. - Proponuję, żebyśmy zaczęli od szampana, a zakończyli na Yquem, jak przy kolacji robią wszyscy cywilizowani ludzie. - Sam miał wrażenie, że był to tekst, którego profesor Vial użył już przy oprowadzaniu niejednej wycieczki.

Kiedy wychodzili z gabinetu, Vial nagle stanął i odwrócił się do Sama.



- Ale zapomniałbym o moim drugim gościu. Nie będzie się pan czuł osamotniony? Nie zabłądzi pan? Jest pan pewien?

- Mam pańską doskonałą mapę, towarzystwa dotrzymają mi całkiem nieźle butelki, i nie mam nic przeciwko temu, żeby pracować w pojedynkę. Nie martwcie się o mnie. Poradzę sobie.

Viala nie trzeba było przekonywać.

- Bon. A teraz, droga madame, jeśli zechce pani pójść ze mną, to zaczniemy od szampanów. Z pewnością słyszała pani, że wynalazcą szampana jest mnich Dom Perignon, który po skosztowaniu swego boskiego dzieła miał rzec: „Jakbym pił gwiazdy”. Trafniejszy opis nie pojawił się do dziś. Człowiek ten dożył sędziwego wieku... siedemdziesięciu siedmiu lat, jak mi się zdaje... co jest świadectwem leczniczych właściwości szampana. Mniej znana jest historia niezwykłego związku tego świątobliwego braciszka z pewną zakonnicej z sąsiedztwa... - Kiedy oprowadzał Sophie, jego głos był to głośniejszy, to cichszy, ale nie milkł ani na moment. Miała słuszność: Vial uwielbiał przemawiać, zwłaszcza gdy miał uroczą słuchaczkę.

Koniec końców poszukiwania były dużo krótsze i łatwiejsze, niż Sam tego oczekiwał. Mapka piwnicy, ogromne udogodnienie, zaprowadziła go najpierw na Rue des Merveilles: Lafite rocznik '53, Latour rocznik '61, Margaux rocznik '83. Wszystkie te roczniki obecne były w imponujących ilościach, z latami wypisanymi kredą na małych tabliczkach, którymi oznakowana była każda półka. Vial znajdował się w bezpiecznej odległości; Sam ledwo słyszał jego głos w oddali. Wyjął butelkę Lafite z jej miejsca spoczynku i ostrożnie położył na wysypanej żwirem podłodze, etykietą do góry. Ukucnął nad butelką, sfotografował ją i sprawdził na zdjęciu, czy nazwa i data są czytelne, zanim odłożył wino do stojaka. To samo zrobił z Latour, a potem z Margaux. Na razie nieźle.

Poszukał na mapce Rue Saint - Emilion. Sąsiadowała z Pomerol, co odzwierciedlało rzeczywiste położenie geograficzne tych winnic. Wina Figeac rocznik '82 było pod dostatkiem. Prawdę mówiąc, wszystkiego było pod dostatkiem, gdziekolwiek spojrzeł, i zaczął się zastanawiać, kto dałby radę wypić to wszystko, zanim przeniesie się do wielkiej niebiańskiej piwnicy. Może gdzieś tam było stadko spragnionych małych Rebouli, ustawiających się w kolejce po spadek. Sam miał taką nadzieję. Szkoda, żeby tak wspaniała kolekcja skończyła rozdzielona między domy aukcyjne.

Przeszedł obok, do Pomerol. Jedna z dolnych półek zajęta była w całości przez Chateau Petrus rocznik 1970. Policzył butelki: dwadzieścia, względnie skromna liczba jak na Reboula. Dwoma rękami - jedną kładąc na kapsule, drugą podtrzymując butelkę od spodu - wyjął magnum i położył je na żwirze, podziwiając misterny wzór zdobiący górną część etykiety. Artysta umieścił wśród pędów winorośli mały portret świętego Piotra z kluczem - kluczem do bram nieba. Czy, jak chcą niektórzy, kluczem do piwnicy tego chateau.

Zrobiwszy zdjęcie, Sam odłożył magnum z pewną niechęcią, zmieszaną jednak z satysfakcją. Znalazł - i miał na to dowody - wszystkie czerwone wina ze swojej listy. Zostało jeszcze tylko Yquem rocznik '75, ono zaś powinno być po przeciwnej stronie piwnicy.

Wrócił na centralny bulwar i usiłował ustalić, jak daleko Sophie i Vial zawędrowali od czasu swojego pierwszego postoju pośród szampanów. Sądząc po głośności wykładu Viala, wciąż jeszcze byli gdzieś w sercu falujących wzgórz między Cotton - Charlemagne a Chablis. Yquem będzie ostatnim punktem programu. Miał czas.

Z irracjonalnym wrażeniem, że jest tu intruzem, przeszedł na Impasse d'Yquem, do części piwnicy najbliższej gabinetu Viala.

Przy okazji przygotowań do tej roboty Sam dowiedział się, że Chateau d'Yquem często opisywane jest jako najdroższe wino świata. W swojej długiej historii zyskało sobie niezwykle zróżnicowane grono miłośników: Thomas Jefferson, Napoleon, carowie Rosji, Stalin, Ronald Reagan, książę Karol, wszyscy oni zachwycali się świetlistą, złocistą barwą tego wina i jego pysznym, śmietankowym smakiem. Rocznie rozlewa się nie więcej niż osiemdziesiąt tysięcy butelek, co stanowi zaledwie ułamek całkowitej produkcji Bordeaux. I jest to wino trwałe. Grupa koneserów - szczęśliwców otworzyła butelkę z rocznika 1784 dwieście lat później i po skosztowaniu orzekła, że smakowało wyśmienicie.

Zgromadzona przez Reboula kolekcja win Yquem była chyba najbardziej imponującą częścią nadzwyczajnej piwnicy - nie przez swoją wielkość, obejmowała bowiem nie więcej niż sto butelek, ale z uwagi na dobór roczników. Były tam tylko te najlepsze, poczynając od 1937, poprzez '45, '49, '55 i '67, na 1975 kończąc. Sam wybrał jedną butelkę, zrobił jej zdjęcie i, ledwie odłożył ją na właściwe miejsce, zmarł w bezruchu. Głos Viala był niepokojąco blisko.

- Chablis, oczywiście, to jedno z najszlachetniejszych białych win na świecie. Ale, że tak powiem, jedno Chablis drugiemu nierówne.

- Ah bon? - powiedziała Sophie, która zdołała nasycić te dwie sylaby podszytą zdumieniem fascynacją.

- Mais oui. Tutaj mamy te najlepsze, grands crus, wina ze wzgórz na północ od miasta. Weźmy na przykład to Les Preuses. - Sam usłyszał dźwięk wysuwanej butelki. - W kieliszku ma zachwycającą barwę, złocistą, może co najwyżej z najdelikatniejszą soupçon zielonego. - Butelka wróciła na stojak. Wysunęła się następna. Wstrzymując oddech, Sam wyszedł na palcach z Impasse d'Yquem i wrócił na przeciwną stronę bulwaru, by schronić się pośród czerwonych win. I to tam Vial i Sophie znaleźli go piętnaście minut później, oglądającego Pomerole z aparatem schowanym z powrotem do kieszeni i notesem w dłoni.

- Aha! - powiedział Vial. - Oto i on, pani kolega. Pracowity jak pszczołka, non? Mam nadzieję, że znalazł coś ciekawego.

- Rewelacja - rzucił Sam. - Absolutna rewelacja. Nadzwyczajna kolekcja.

- Musisz obejrzeć białe wina - powiedziała Sophie. - Burgundy! Yquem! Monsieur Vial udzielił mi lekcji, którą zapamiętam na całe życie.

Vial napuszył się z dumy.

- Już nie mogę się doczekać - odparł Sam. - Ale myślę, że zajęliśmy monsieur Vialowi dość czasu jak na jeden dzień. Mam do pana wielką prośbę. Czy moglibyśmy tu jeszcze wrócić?

- Oczywiście. - Vial wyłowił z kieszeni wizytówkę. - To numer mojego portable. Aha, byłbym zapomniał... monsieur Reboul dzwonił z Korsyki, żeby upewnić się, że macie państwo wszystko, czego wam potrzeba.

Po długiej wymianie uprzejmości, na którą złożyły się wylewne podziękowania Sophie i Sama oraz uroczym skromnym zapewnieniami Viala, że nie ma za co, wyszli, mrugając oczami, z piwnicznego półmroku na późnopołudniowe słońce.

W drodze powrotnej do hotelu prawie się nie odzywali, zajęci rozmyślaniami o tym, co zobaczyli przez ostatnie dwie i pół godziny.

- Philippe obiecał, że będzie tu na nas czekał - powiedziała Sophie, kiedy byli już przed hotelem. - Strasznie jest ciekaw, czego

się dowiedzieliśmy. Mówi, że to coś jak z roman policier, no wiesz, powieści detektywistycznej. Sam zatrzymał się w pół kroku.

- A propos, ma jakieś znajomości w tutejszej policji? Pewne kontakty? Może od czasu do czasu chodzi z jakimiś glinami na drinka?

- Na pewno. Jak wszyscy dziennikarze. Zobacz, już jest. - Wskazała czarny skuter Philippe'a, na wpół ukryty w żywopłocie rosnącym wzdłuż podjazdu. - Czemu pytasz o policję?

- Na razie to tylko przypuszczenie, ale coś mi mówi, że mogą nam być potrzebni.

## Rozdział 17

Philippe rozmawiał przez telefon, chodząc po holu i wymachując wolną ręką z góry na dół i z boku na bok, jakby dyrygował niewidoczną orkiestrą. Jak zwykle miał na sobie strój wojskowy, którego najważniejszym elementem był stary mundur polowy z napisem HELL ON WHEELS na plecach, wymalowanym od szablonu ociekającymi, krwistoczerwonymi literami. Na widok Sophie i Sama błyskawicznie uciał rozmowę, zdążywszy tylko wymamrotać „Au'voir”, zanim telefon wylądował z powrotem w jego kieszeni. Sam nieraz zauważył, że Francuzi, którzy przecież najbardziej na świecie uwielbiają rozmawiać, rozmowy telefoniczne kończą szorstko, niemal brutalnie. Długie pożegnania to nie dla nich; dziwne, jak na tak gadatliwy naród.

- Alors? Alors? - Philippe, płonący z ciekawości, pospiesznie pocałował Sophie w oba policzki i od razu zwrócił się do Sama.

- Jakież nowe informacje?

- Całe mnóstwo - powiedział Sam. - Wszystko wyjaśnię, ale najpierw muszę wziąć parę rzeczy ze swojego pokoju. Zajmiecie stolik w barze? Zaraz przyjdę.

Wrócił po pięciu minutach, niosąc całe naręczce papierów - swoje notatki, dossier Reboula i cienką teczkę z materiałami przywiezionymi z Los Angeles. Rzucił wszystko na stół, a na wierzchu położył swój aparat fotograficzny.

Philippe pod jego nieobecność wziął na siebie złożenie zamówienia.

- Sophie mówiła, że lubisz rose - powiedział teraz, wyjmując butelkę Tavel z wiaderka z lodem i napełniając kieliszki. - Voila, Domaine de la Mordoree. - Ułożył palce w kształt bukietu i pocałował je. - Nie pozwól, żeby ci przeszkodziło w mówieniu.

- Dzięki. W takim razie najpierw dobra wiadomość: szukaliśmy sześciu win z określonych roczników i wszystkie widziałem. Są tam i dzięki Sophie udało mi się je sfotografować. - Sam poklepał aparat fotograficzny. - Ale nie ma co się za bardzo podniecać. To rzeczywiście dobra wiadomość, ale tak naprawdę to dopiero początek. Problem polega na tym, że rozlano ponad sto tysięcy butelek każdego z tych win, z wyjątkiem Yquem, a nawet w jego wypadku produkcja wyniosła około osiemdziesięciu tysięcy sztuk. Czyli wina z tych roczników nie brakuje i Reboul mógł kupić te butelki legalnie. Jasne?

Jeśli zaś Vial ma w papierach taki porządek jak w piwnicy, na wszystko powinny być rachunki. Tu jednak pojawia się następny problem: nie możemy poprosić, żeby te rachunki nam pokazał, bo wtedy byśmy się zdradzili. Poza tym nie wolno nam zapominać, że Reboul nie zbił majątku dzięki głupocie. Jeśli jest człowiekiem, którego szukamy, daję głowę, że zorganizował sobie lewe papiery, którymi będzie się mógł zasłaniać, coś, co pozwoli mu twierdzić, że kupił wino w dobrej wierze. Liechtenstein, Nassau, Hongkong, Kajmany... mógł to załatwić przez każdy z tych krajów. Na świecie są tysiące dziwnych małych firm, które za opłatą dostarczają każdy dokument, jakiego klient sobie zażyczy. I zaraz potem znikają. Wytropienie ich może zająć całe lata. Spytajcie Izbę Skarbową. - Sam urwał, by skosztować wina.

Philippe wyraźnie oklapł.

- Czyli to koniec - westchnął. - Z artykułu nici.

- Niekoniecznie - powiedział Sam, teraz już uśmiechnięty. - Przez cały dzień coś nie dawało mi spokoju i właśnie sobie przypominałem co. - Przewertował papiery leżące przed nim i wyjął kserokopię. - To artykuł z „L.A. Times” o kolekcji wina Rotha. Później przedrukował go „Herald Tribune”, który ma zasięg międzynarodowy. A zatem zobaczyć go mogli maniacy wina z całego świata... w tym nasz znajomy Reboul. - Wskazał na główne zdjęcie, nieco rozmazane, ale w miarę wyraźne. - A oto i sam Roth. Widzicie, co trzyma?

Philippe wbił wzrok w zdjęcie.

- Petrus. Chyba magnum.

- Zgadza się. Możesz odczytać datę na etykiecie? Philippe podniósł ksero, żeby przyjrzeć się z bliska.

- Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty?

- Otóż to. To jedna z butelek, które zostały skradzione, a Roth trzyma ją kurczowo obiema rękami. Na pewno cała jest w jego odciskach palców. Odciski palców zaś mają to do siebie, że najlepiej utrwalają się w wilgotnym środowisku, a wilgotność w profesjonalnej piwnicy, takiej jak u Reboula, wynosi około osiemdziesięciu procent. Jest w sam raz. W tych warunkach linie papilarne na szkle mogą przetrwać całe lata. Załóżmy, że mamy szczęście i nikt nie pomyślał, żeby wytrzeć wszystkie butelki. Jeśli odciski Rotha są na niektórych

winach Petrus z piwnicy Reboula, moim zdaniem jest to dowód kradzieży.

Wokół stolika zapadła cisza, która trwała dość długo, by te słowa miały czas w pełni do nich dotrzeć.

- Sam, jest coś jeszcze. - Sophie szperała w dossier Reboula. Wyciągnęła zdjęcie, na którym pozował przed swoim samolotem. - Przyszło mi to do głowy, kiedy oglądałam z Viałem te wszystkie butelki. Gdybyś chciał przetransportować dużą ilość wina z Kalifornii do Marsylii bez korzystania z firmy przewozowej, czy nie byłoby, że tak powiem, wygodnie mieć własny samolot?

Sam pokręcił głową, zły na siebie, że przeoczył coś tak oczywistego.

- No jasne. Prywatne samoloty na ogół traktowane są specjalnie. Minimum formalności przy wylocie ze Stanów, a w Marsylii pewnie żadnych, bo przecież wraca lokalne bożyszcze. - Uśmiechnął się szeroko do Sophie. - Nabierasz w tym wprawy. Widać numer rejestracyjny?

We trójkę uważnie przyjrzeni się fotografii. Reboul był na pierwszym planie, z założonymi rękami i poważną miną, w eleganckim, ciemnym garniturze - tytan przemysłu gotowy okrążyć Ziemię. Za nim stał jego samolot, smukły i biały, z dużym czarnym napisem GROUPE REBOUL na kadłubie i czymś, co wyglądało jak aerodynamiczna wersja flagi francuskiej na ogonie. Ujęcie, celowo bądź przypadkiem, zostało tak zaaranżowane, że Reboul zasłaniał całą rejestrację samolotu.

- Pewnie to i tak nie ma większego znaczenia - powiedział Sam. - Nazwa firmy powinna wystarczyć.

- Wystarczyć do czego? - Philippe odzyskał wigor i siedział na krawędzi krzesła, wychylony do przodu, podczas gdy jego wojskowe buty cicho stepowały na podłodze.

- Każdy samolot korzystający z amerykańskiej przestrzeni powietrznej musi przedstawić plan lotu, z godziną startu, portem przeznaczenia i spodziewanym czasem przybycia. Szczegóły powinny być w komputerze. Nazwa firmy też. - Spojrzał na zegarek: w Marsylii kilka minut po szóstej po południu, czyli w Kalifornii kilka minut po dziewiątej rano. - W Los Angeles jest ktoś, kto może będzie w stanie nam pomóc. Spróbuję go złapać. - Sam wstał i rozejrzał się za cichym kącikiem do rozmowy przez telefon. - Philippe, mógłbyś w

tym czasie pomyśleć o wszystkich gliniarzach, których znasz w Marsylii? Tych zaprzyjaźnionych? Jeden będzie nam potrzebny.

Porucznik Bookman odebrał i burknął do słuchawki - to było niechętnie, ponure burknięcie, skutek nadmiaru kawy, przepracowania i braku snu.

- Słyszę, że humor ci dopisuje, Booky. Jak się masz?

- Tak jak słyhać. Gdzie jesteś, u licha?

- W Marsylii. Słuchaj, Booky, mam do ciebie wielką prośbę. A właściwie dwie wielkie prośby.

Zrezygnowane westchnienie.

- A myślałem, że chcesz mnie zaprosić na lunch. No dobra, czego ci potrzeba?

- Po pierwsze, pełnego zestawu odcisków palców Danny'ego Rotha. Możliwe, że znalazłem jego wina, ale muszę to jeszcze udowodnić. Masz tam na zbyciu kogoś, kogo mógłbyś dziś wysłać do jego biura?

- Do Danny'ego Rotha? Żartujesz? Kolejki chętnych nie przewiduję, ale zobaczę, co się da zrobić. Co jeszcze?

- Z tym będzie trochę trudniej. Muszę ustalić, czy odrzutowiec należący do Groupe Reboul odleciał z okolic Los Angeles między Wigilią a sylwestrem zeszłego roku.

- I? Typ samolotu? Rejestracja? Miejsce startu?

- Na tym właśnie polega kłopot. Nie mam rejestracji i nie wiem, z którego lotniska mógł odlecieć. Ale domyślam się, że chodzi o jakieś w pobliżu Los Angeles.

- Super. Bardzo mi to pomaga. Kiedy ostatnio sprawdzałem, w Kalifornii były dziewięćset siedemdziesiąt cztery lotniska różnej wielkości. A ty chcesz, żebym ci powiedział, czy prywatny samolot o nieustalonej rejestracji odleciał z jednego z tych dziewięćset siedemdziesięciu czterech lotnisk w okresie siedmiu dni? Może przy okazji podać ci handicap golfowy pilota i listę jego najbliższych krewnych? Albo jego grupę krwi?

- Booky, uwielbiasz wyzwania. Sam to wiesz. A ja gotów jestem cię dodatkowo zmotywować. Kiedy wrócę, wyskoczmy do Yountville i zjemy kolację we French Laundry. Foie gras au torchon, przyjacielu. Kotlety z sarniny. Full wypas... i dowolne wino z listy. Ty wybierasz, ja płacę.



Zapadła pełna zadumy cisza, w czasie której Sam niemal słyszał, jak kubki smakowe Bookmana dygocząc stają na baczność.

- Wyjaśnijmy sobie coś - powiedział porucznik. - Mam rozumieć, że próbujesz przekupić funkcjonariusza policji Los Angeles?

- Na to wychodzi.

- Tak myślałem. No dobra, dawaj wszystko, co wiesz o tym samolocie, i adres, pod którym się zatrzymałeś. Prześlę FedExem odciski i wszystko, co wyszperam. Sprawa jest pilna? Głupie pytanie. Wszystko jest pilne.

Z gonitwą myśli w głowie, Sam ruszył z powrotem do baru, gdzie zostawił swoich towarzyszy. Czuł znajomy dreszczyk podniecenia i niecierpliwości, ten sam, który dawał o sobie znać zawsze wtedy, kiedy robota zaczynała być ciekawa. Następny krok będzie zależał od Philippe'a, który niewątpliwie palił się do pomocy. Ale czy miał odpowiednie kontakty? I czy będzie w stanie przycisnąć kogo trzeba?

Podchodząc do stolika, Sam podniósł oba kciuki.

- Przy odrobinie szczęścia powinniśmy do jutra dostać odciski palców Rotha i być może coś o samolocie Reboula. - Usiadł i sięgnął po kieliszek. - Teraz kolej na ciebie, Philippe. Masz okazję zapracować na swój materiał. - Philippe usiłował przybrać stosownie srogą i zdecydowaną minę. Sam pociągnął długi łyk wina, zanim kontynuował. - Będziemy musieli poszukać odcisków palców na butelkach Petrus. Nie potrwa to długo, nie więcej niż jakąś godzinę, ale ja tego zrobić nie mogę. Jeśli mają zostać wykorzystane jako dowód, musi je zdjąć profesjonalista. Czyli ktoś z policji. - Spojrzał na Philippe'a z uniesionymi brwiami. - I będziemy musieli przemycić go do piwnicy tak, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Innymi słowy, bez wiedzy Viala. Jeśli wyczuje, że coś nie gra, równie dobrze będziemy mogli spakować walizki i wrócić do domu.

Philippe wiercił się na krześle, czekając na możliwość zabrania głosu.

- Z policją może się udać - powiedział. - Od kilku lat mam znajomego policjanta. - Spojrzał zmrużonymi oczami w dal i przeczesał dłonią włosy. - Poznałem go, kiedy przyglądałem się interesom Union Corse. To ekipa z Korsyki, taka lokalna mafia. Gazeta co jakiś czas bierze ich pod lupę. W każdym razie nie robili niczego nadzwyczajnego, ot, zestaw standardowy: narkotyki,

nielegalni imigranci z Afryki Północnej, wymuszenia w porcie, pobieranie haraczy w mieście i tak dalej.

- W tamtych czasach był jeden klub, do którego wielu z nich chodziło szastać pieniędzmi i bajerować laski. Zresztą, szastali nie tylko pieniędzmi. Było też dużo koki i heroiny. - Urwał, żeby wziąć spory łyk wina.

- Jedna z dziewczyn... bardzo słodka, bardzo niewinna... zakochała się w nieodpowiednim facecie. Uzależnił ją od heroiny. Często widywałem ją w klubie, była w strasznym stanie. A jeszcze gorsze było to, jak ten człowiek ją traktował. - Skrzywił się i potrząsnął głową. - Już miałem wezwać policję i machnąć artykuł, kiedy dowiedziałem się czegoś, co sprawiło, że zacząłem się wahać. Okazało się, że ojcem dziewczyny był glina... inspektor z marsylskiej policji. Możecie sobie wyobrazić, jaka to byłaby sensacja. Ostatecznie postanowiłem o tym nie pisać. Namówiłem dziewczynę, żeby dała się zabrać do kliniki prowadzonej przez mojego znajomego, a potem poszedłem do jej ojca. Nazywa się Andreis. Porządny gość. Od tego czasu parę razy w roku jemy razem obiad. Nie powiem, że się przyjaźnimy, ale mam u niego do przodu.

Sophie nie znała swojego louche kuzyna od tej strony.

- Chapeau, Philippe - powiedziała. - Brawo. Co się stało z tą dziewczyną?

- Wszystko się dobrze skończyło. Wyszła za lekarza, którego poznała w klinice, i jestem ojcem chrzestnym ich córeczki.

- Philippe spojrzał z zaskoczeniem na swój pusty kieliszek, jakby jego zawartość wyparowała, kiedy nie patrzył.

Sam nalał mu wina.

- Myślisz, że pożyczylby nam na godzinę jednego ze swoich techników?

- Spytać mogę. Ale będzie chciał wiedzieć, po co, a ja będę mu musiał powiedzieć.

Sam wzruszył ramionami.

- W porządku. Tak naprawdę nie będziemy łamać prawa. Powiedz mu, że to standardowa kontrola, rutynowa procedura stosowana przez sumienną i dyskretną firmę ubezpieczeniową, która nie chce nikomu narobić niepotrzebnych kłopotów. Dlatego uważamy, że nie warto niepokoić Reboula. Myślisz, że to kupi? Możesz mu obiecać, że nie dojdzie do kradzieży ani włamania.

- Sam zamyślił się na chwilę. - No, przynajmniej do włamania, pod warunkiem że uda się wywabić Viala na parę godzin. To nasze następne zadanie. Jakies pomysły? - Wzniósł kieliszek w stronę Sophie i Philippe'a. - Za natchnienie.

Resztę wieczoru spędzili oddzielnie. Sophie chciała skontaktować się ze swoim biurem, zamówić coś u hotelowej obsługi i wcześniej położyć się spać. Philippe postanowił zobaczyć, czy inspektor Andreis jest w domu. Sam z dość mieszanymi uczuciami zamierzał jeszcze raz zadzwonić do Los Angeles i złożyć Elenie Morales meldunek o postępach w śledztwie. Ich ostatnia rozmowa zakończyła się nieprzyjemnie. Uznał, że pora zakopać topór wojenny.

Powitanie Eleny było zimne, monosylabiczne. Teraz już wiedział, jak czuje się telemarketer w zły dzień. Odetchnął głęboko.

- Eleno, wysłuchaj mnie, proszę. Po pierwsze, nie chcę, żebyś miała mylne pojęcie o Sophie Costes. Bardzo mi pomaga, wpadła już na parę świetnych pomysłów. - Równie dobrze mógłby rozmawiać z Syberią, ale przynajmniej nie odłożyła słuchawki.

- A jej CV nie zawiera jednego istotnego szczegółu: że na jesieni bierze ślub. Na imię mu Arnaud, jest sympatycznym facetem w średnim wieku z Bordeaux, który ma matkę - staruszkę i dwa labradory wabiące się Lafite i Latour. Aha, i jeszcze chateau, jak słyszałem, ale nieduże.

- Zadzwoń, żeby mi to powiedzieć?

Sam wyczuł minimalną zmianę klimatu na drugim końcu linii.

- Między innymi. To znaczy, chciałem, żeby nie było żadnych nieporozumień. Żebyś nie myślała, że ja, no wiesz...

Elena przez chwilę trzymała go w niepewności, zanim odparła:

- No dobra, Sam. Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia.

- Jej ton był prawie przyjazny. - A poza tym, jak ci idzie?

- Obiecujaco. Za parę dni będę wiedział na pewno.

- Opowiedział jej o wszystkim, co wydarzyło się od pierwszego spotkania z Reboulem: o dniu spędzonym z Viałem, znaleziskach w piwnicy, rozmowie z porucznikiem Bookmanem i zadeklarowanej przez Philippe'a pomocy w rozwiązaniu problemu odcisków palców. - Innymi słowy - powiedział na koniec swojego raportu - postęp, ale na razie bez konkretów. Roth nie ma się czym podniecać.

Usłyszawszy nazwisko klienta, Elena powiedziała coś po hiszpańsku, krótko, a dosadnie. Raczej nie był to komplement.

- Nie wątpię, że masz rację - powiedział Sam. - Wiesz, powinnaś od niego odpocząć, wziąć sobie parę dni wolnego. Zrób sobie przyjemność. Słyszałem, że Paryż wiosną jest całkiem ładny.

- Daj znać, co z tymi odciskami. Aha, Sam? - Jej głos złagodniał.  
- Dzięki za telefon.

Rozłączyła się. Stosunki dyplomatyczne zostały wznowione.

## Rozdział 18

Chez Felix, przestronny, zadbane bar na niepozornej bocznej uliczce, jest o dwie minuty szybkim marszem od komendy głównej marsylskiej policji na Rue de l'Eveche. Dzięki swojemu dogodnemu usytuowaniu i dodatkowej atrakcji w postaci właściciela - emerytowanego żandarma, od lat jest ulubionym lokalem policjantów szukających pociechy w stanie płynnym po ciężkim dniu wymiany ciosów z półświatkiem. Popularnym elementem wystroju są trzy małe boksy na tyłach. Można tam rozmawiać na osobności o bardziej delikatnych sprawach. I to właśnie w jednym z tych boksów Philippe umówił się z inspektorem Andreisem.

Inspektor, szczupły i siwiejący, o czujnych oczach człowieka, który w życiu niejedno widział, przyszedł w chwili, kiedy kelner przyniósł Philippe'owi dwa kieliszki pastis, niski, pękaty dzbanek wody z kostkami lodu i spodek z zielonymi oliwkami.

- Zamówiłem dla ciebie - powiedział Philippe, kiedy uściśnił sobie dłonie. - Nadal pijesz ricard?

Andreis skinął głową i patrzył, jak Philippe dolewa wody do kieliszków, zamacając jasnożółty płyn.

- Wystarczy - powiedział z szerokim uśmiechem. - Nie utop go. Philippe wzniosł kieliszek.

- Wypijmy za emeryturę - powiedział. - Ile ci zostało?

- Osiem miesięcy, dwa tygodnie i cztery dni. - Andreis spojrział na zegarek. - Plus nadgodziny. A potem, dzięki Bogu, wyjeżdżam na Korsykę. - Wyjął z kieszeni zmiętą fotografię i położył ją na stoliku. Przedstawiała skromny kamienny dom pośród srebrzystozielonego morza drzew oliwnych, zasadzonych w równych rzędach, które rozchodziły się promieniście jak szprychy w kole. - Trzysta sześćdziesiąt cztery drzewa. W dobrym roku może być z tego pięćset litrów oliwy. - Andreis spojrział czule na swój przyszły dom. - Będę pielęgnował oliwki i rozpuszczał wnuczkę. Będę jadł te ichnie kiełbaski figatelli i ser brocciu, i pił wino z Patrimonio. Kupię psa. Zawsze chciałem mieć psa.

- Rozsiadł się wygodnie na krześle, splótł dłonie za głową, przeciągnął się i przez chwilę kontemplował z uśmiechem resztę swojego życia. - Ale jakoś nie sądzę, że chciałeś się ze mną spotkać po to, by słuchać, co będę robił na stare lata. - Przechylił głowę na bok. Philippe zaczął mówić.

Kiedy skończył, kieliszki były puste. Kelner przyniósł następne pastis i dzbanek wody z lodem. Andreis pogryzał oliwkę i czekał w milczeniu, aż zostaną sami.

- Nie muszę ci mówić, jak wielkie wpływy Reboul ma w tym mieście - powiedział wreszcie zniżonym, ostrożnym głosem.

- Lepiej mu się nie narażać. Poza tym nie jest złym człowiekiem... ma w sobie coś z showmana, to prawda, ale przez lata słyszałem o nim wiele dobrego. - Andreis umoczył palec w małej kałuży, która utworzyła się wokół nóżki jego kieliszka. - A z tego, co mówisz, nie wiemy na pewno, czy zrobił coś złego. - Uniósł dłoń, kiedy Philippe nachylił się ku niemu, chcąc coś powiedzieć. - Wiem, wiem. Sprawdzając te odciski, będzie to można stwierdzić. Jeśli okażą się zgodne z tamtymi, cóż...

- To wskazywałoby, że doszło do przestępstwa. Zgadza się?

- Bardzo możliwe. Tak, masz rację. - Andreis skinął głową i westchnął. Cała ta historia nie była czymś, w czym chciałby uczestniczyć. Wtykanie nosa w sprawy wpływowych i możliwych zwykle źle się kończyło dla właściciela nosa. Z drugiej strony, nie wyobrażał sobie, żeby mógł przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. To mogła być prawdziwa bomba. A człowiek siedzący naprzeciw niego był dziennikarzem; nie odpuści sobie. Andreis westchnął znowu; było to wirtuozerskie westchnienie człowieka stojącego w obliczu decyzji, której wolałby nie podejmować.

- No dobra. Powiem ci, co mogę zrobić. Udostępnię ci specja od odcisków palców na parę godzin, ale tylko jeśli dasz mi gwarancję, że Reboul i jego ludzie o niczym się nie dowiedzą, przynajmniej dopóki tych odcisków nie sprawdzimy. Możesz to obiecać?

- Tak sędzę. Tak.

- Ostatnie, czego mi potrzeba, to to, żeby Reboul zadzwonił do swojego starego kumpla, prefet de police, i złożył doniesienie o niewłaściwym wykorzystaniu sprzętu służbowego. Dlatego nie możesz nawalić. - Andreis wyjął z kieszeni długopis, zapisał nazwisko i numer telefonu na podkładce pod piwo i pchnął ją w stronę Philippe'a. - Grosso. Pracuję z nim dwadzieścia lat. Jest godny zaufania, szybki i dyskretny. Pogadam z nim jeszcze dziś wieczorem. Rano możesz do niego zadzwonić.

- To może się udać - powiedział Sam. - Z Reboulem udałoby się na pewno. Ale z Viałem? Nie wiem. Może się połapać.

Sophie wyjęła z koszyka następną kromkę chleba i wytarła nią ostatnie krople treściwej bourride - marsylskiej ostrej zupy rybnej. Jedli kolację w restauracji obok portu i tematem wieczoru był Florian Vial: jak wyciągnąć go z piwnicy na czas szukania odcisków palców na butelkach.

Propozycja Sophie była dziecinnie prosta: zaprosi go na lunch, specjalny lunch, żeby podziękować mu za okazaną pomoc. Sam zostanie w piwnicy, oficjalnie po to, by obejrzyć białe wina, których nie zobaczył podczas pierwszej wizyty; nieoficjalnie, żeby wskazać przypuszczalnie skradzione butelki człowiekowi, który zdejmie z nich odciski palców.

Owszem, powodzenie planu zależało od tego, czy Vial podatny jest na wdzięki pięknej kobiety, ale co do tego Sophie była dobrej myśli. W końcu był Francuzem. A jak wyjaśniła, Francuzów z pokolenia i środowiska Viala od małego uczono cenić płęć piękną, dobrze się czuć w towarzystwie jej przedstawicielek i traktować je z galanterią. Znała kilku podobnych mężczyzn w Bordeaux - czarujących, troskliwych, sympatycznych flirciarzy. Byli dżentelmenami, którzy lubili kobiety. Może nigdy nie posunęliby się do tego, żeby uszczypnąć kobietę w tyłek, ale na pewno by o tym pomyśleli. I za nic w świecie nie przepuściliby okazji, by zjeść dobry lunch z atrakcyjną towarzyszką.

Sophie spojrzała na Sama z rozbawioną miną. Od jakiegoś czasu zmagał się z calmars a l'encre, małymi kałamarnicami gotowanymi we własnym atramencie, które sądząc po ciemnych plamach na serwetce zatkniętej za kołnierz jego koszuli, nie poddawały się bez walki.

- Sęk w tym, Sam, że nie rozumiesz francuskich mężczyzn. Zobaczysz. Uda się. Zadzwoń do Philippe'a, żeby spytać, czy zna jakąś dobrą restaurację w pobliżu Palais. - Wzięła swoją serwetkę, zwilżyła jej róg wodą z wiadra z lodem, i podała mu. - Masz. Wyglądasz, jakbyś się umalował czarną szminką.

- Zostawiła Sama, żeby doprowadził się do porządku i zamówił kawę, a sama zadzwoniła do swojego kuzyna.

Następnego ranka przyszli do piwnicy tuż po wpół do jedenastej i zastali Viala całego w skowronkach. Właśnie odebrał telefon od kolegi po fachu z Beaune z informacją, że będzie gościem honorowym kolacji wydanej przez Chevaliers du Tastevin. To było nie lada wyróżnienie, tym bardziej, że przez cały wieczór miano dochowywać

wszystkich pięknych starych tradycji. Kolacja - kameralna impreza, na którą zaproszono zaledwie dwustu najznamienitszych Burgundczyków - miała się odbyć w Clos de Vougeot, siedzibie Chevaliers du Tastevin. Chevaliers z tej okazji włożą swoje uroczyste długie czerwone szaty. Przygrywać uczującym będą Joyeux Bourignons, mistrzowie pieśni biesiadnej. I, co rozumie się samo przez się, wyśmienite wino będzie się lało strumieniami.

Doskonały humor Viala troszkę studziła perspektywa wygłoszenia przemówienia, ale Sophie dodała mu otuchy.

- Kiedy słucham, jak pan opowiada o winie - powiedziała - to jakbym słuchała poezji. Mogłabym tak słuchać cały dzień. - Speszony Vial jeszcze nie ochłonął po tym komplemente, a Sophie już mówiła dalej: - Ale, Florianie... mogę ci tak mówić? ... to się bardzo dobrze składa. Miałam zaprosić cię dziś na lunch, żeby podziękować za całą twoją pomoc. A teraz przy okazji jest co uczcić. Taka dziś ładna pogoda, że pomyślałam, że moglibyśmy posiedzieć na tarasie Peron. Zgodzisz się, prawda? - Tym razem Sam był pewien. Zatrzepotała rękami.

Vial demonstracyjnie zajrzał do terminarza, ale widać było, że jest zachwycony. Niby protestował, niby okazywał pozory żalu, kiedy Sophie powiedziała mu, że Sam będzie musiał zostać, żeby dokończyć pracę - przecież nie obejrzał jeszcze białych win - ale jego opór był czysto symboliczny.

Następne dwie godziny dłużyły się niemiłosiernie. Vial zabrał Sophie, żeby ukazać jej wspaniałość czerwonych win Reboula, szczególny nacisk kładąc tego poranka na burgundy, które miały dać mu natchnienie do jego wieczornego przemówienia. Sam tymczasem znalazł odległy kącik wśród szampanów, w którym mógł skorzystać z telefonu.

- Philippe? Sophie mówiła, że masz kogoś, kto zdejmie odciski palców. Mam nadzieję, że jest w cywilu.

Philippe zachichotał.

- Jasna sprawa. Wiesz, jak to mówią, przyjacielu: chcesz coś załatwić, zwróć się do dziennikarza. Rozmawiałem z nim rano. Mówi, że jest gotowy w każdej chwili.

- Cóż, zrobimy to dzisiaj. Około 12:45, nie wcześniej. Może być?

- Jak dostaniemy się do środka?



- W ciągu dnia brama jest otwarta, poza tym nie musicie podchodzić pod sam dom. Bądźcie przed piwnicą, na placyku rozładunkowym. Jest oznakowany, zobaczycie go na lewo od podjazdu. Ja wpuszczę was do środka. Aha, i... Philippe?

- Co?

- Tylko nie przyjeździe radiowozem.

Trudno wyobrazić sobie przyjemniejsze miejsce na lunch w słoneczny dzień od tarasu Peron. Stojąca wysoko na Corniche Kennedy restauracja oferuje świeże ryby, świeże powietrze i olśniewający widok na wyspy Frioul i Chateau d'If - a takiej kombinacji nie sposób się oprzeć. Ta sceneria wyostrza apetyty i wytwarza nastrój odprężenia, nic więc dziwnego, że natychmiast wyzwoliła we Florianie Vialu pokłady rycerskości. Odprawiwszy kelnera skinieniem ręki, uparł się, żeby wysunąć Sophie krzesło i dopiero kiedy upewnił się, że jest jej wygodnie, usiadł.

Zataił ręce i wziął głęboki haust morskiego powietrza.

- Cudownie, cudownie. Doskonały wybór, droga madame. To dla mnie prawdziwa przyjemność.

Sophie przekrzywiła głowę.

- Proszę, mów mi Sophie. Pomyślałam, że może zaczniemy od lampki szampana? Ale wino wybierzesz ty. Na pewno masz jakieś ulubione, pochodzące z tych okolic.

Zgodnie z przewidywaniami Sophie, to skłoniło Viala do wybrania się w podróż prozą po prowansalskich winnicach.

- Winorośla rosły tu - zaczął - już w 600 roku przed naszą erą, kiedy to Fokejczycy założyli Marsylię. - I to stało się punktem wyjścia opowieści, przerywanej tylko w momencie przyniesienia szampana i menu, która zabrała Sophie z Cassis do Bandol i dalej, na wschód do Palette i na zachód do Bellet, okrężną trasą, by przy okazji złożyć wizytę niedocenianym winom z Langwedocji. Ten człowiek to chodząca encyklopedia, pomyślała Sophie, a entuzjazm, z jakim mówił o swojej pasji, wydawał jej się zaraźliwy i dość urzekający.

Złożyli zamówienie i Vial dobrał do loup de mer mocno wytrawne białe wino z Cassis. Wykorzystując przerwę, Sophie poprosiła go, by opowiedział o sobie i latach, które spędził z Reboulem.

Była to, jak stwierdził Vial, historia z tragicznym początkiem i szczęśliwym zakończeniem. Przed trzydziestoma pięcioma laty

Reboul, stawiający pierwsze kroki w biznesie, zatrudnił ojca Viala jako dyrektora finansowego podówczas dość małej firmy. Zaprzyjaźnili się ze sobą. Firma świetnie prosperowała. Młody Florian, jednak, był dobrze zapowiadającym się studentem. Przyszłość rysowała się w różowych barwach.

Ta przyszłość przepadła w szokujących okolicznościach pewnego zimowego wieczoru w Marsylii. Była to jedna z owych nielicznych zim, kiedy miasto przysypał zamarzający śnieg. Drogi były śliskie, oblodzone, a bardzo niewielu prowansalskich kierowców potrafi sobie radzić w takich warunkach. Rodzice Viala wybrali się do kina i kiedy wracali do domu, ciężarówka, która wpadła w poślizg, uderzyła bokiem w ich samochód, przygniatając go do betonowej ściany. Oboje zginęli na miejscu.

To, co stało się potem, odmieniło życie Viala. Reboul wziął syna przyjaciela pod swoje skrzydła. Sprzyjał okazywanemu przezeń od wczesnych lat zainteresowaniu winem i opłacił mu półroczny kurs uprawy winorośli i produkcji wina, a potem roczny staż u negociants w Burgundii i Bordeaux. W ciągu tego roku stało się oczywiste, że młody Florian Vial jest człowiekiem obdarzonym wyjątkowym podniebieniem. Potwierdziło to ostatnie półrocze, spędzone w Paryżu pod okiem legendarnego Herve Bouchona, wówczas najlepszego sommeliera we Francji. Pod wpływem rekomendacji Bouchona Reboul postanowił zatrudnić młodego Viala jako swojego oficjalnego caviste, z upoważnieniem do skompletowania najlepszej prywatnej piwnicy we Francji, i przyznał pokaźny budżet na ten cel.

- To było dawno temu - powiedział Vial - minęło prawie trzydzieści lat. Nie wiem, gdzie byłbym dziś, gdyby nie on. - Jego zadumana twarz rozpromieniła się, kiedy kelner przyszedł przyjąć zamówienie na ostatnie danie. - Jeśli pozwolisz, moglibyśmy do deseru spróbować najbliższego prowansalskiego odpowiednika sauternes, które wam w Bordeaux udaje się tak świetnie. Lampka muscat z Beumes - de - Venise. Dasz się skusić?

Sophie była lekko zakłopotana opowieścią Viala, i złapała się na tym, że zaczyna mieć nadzieję, że Reboul jest niewinny. A nawet jeśli nie, mówił cichy głosik w jej głowie, byłoby szkoda, gdyby mu się nie upiekło. Zerknęła ukradkiem na zegarek, ciekawa, jak idzie Samowi.

Philippe i Grosso, drobny, schludnie ubrany mężczyzna z czarną dyplomatką, którą opisał Philippe'owi jako swoją skrzynkę pełną

niespodzianek, przyjechali nieoznakowanym samochodem za dziesięć pierwsza. Sam czekał już przy drzwiach. To była pierwsza wizyta Philippe'a w tej piwnicy i na widok rzędów butelek ciągnących się w dal pod sklepieniami z ciemnoróżowej cegły prawie mowę mu odebrało.

- Merde - to wszystko, co zdołał z siebie wydusić. - Merde. Grosso gwizdnął cicho.

Sam zaprowadził ich do półki z półtoralitrowymi butelkami Petrus. Grosso obrzucił je wzrokiem, otworzył dyplomatkę i wyjął latarkę halogenową, zestaw pędzli, płaskie czarne pudełko i mały plastikowy pojemnik. Cmoknął z niezadowoleniem i rozprostował palce.

- On fait toutes les bouteilles? - Spojrzał na Sama. „Wszystkie te butelki?”.

Sam skinął głową.

- DNA też będzie potrzebne?

Następne skinienie głową. Philippe zajął się robieniem notatek. Już widział, jak jego materiał nabiera kształtu, i im więcej szczegółów wychwyci, tym lepiej. Przysunął się do Grosso, by przyglądać mu się przy pracy.

- Monsieur Grosso - powiedział. - Nie chciałbym przeszkadzać, ale to naprawdę fascynujące. Mógłby mi pan pokrótce wytłumaczyć, jak pan to robi?

Nie podnosząc oczu na Philippe'a, Grosso przywołał go gestem do siebie. Właśnie położył pierwsze magnum na ziemi i świecił na nie latarką.

- Najpierw badanie wizualne - powiedział - żeby sprawdzić, czy na powierzchni są odciski palców. - Zmienił kąt ustawienia latarki. - Niektóre widać tylko w świetle padającym z ukosa.

- Stęknął, odłożył latarkę i odkręcił pokrywkę pojemnika, po czym przechylił go na bok, by Philippe mógł zobaczyć zawartość.

- Proszek metaliczny. Wykonany z aluminium; taki jest najczulszy i najłatwiej schodzi. - Wziął jeden z pędzli i zaczął nakładać proszek, oszczędnie, z lekka kolistymi ruchami. - To pędzel Zephyr, z włókna węglowego, z końcówką typu mop, która w mniejszym stopniu grozi zatarciem linii papilarnych. - Skończył z pędzlem i otworzył czarne pudełko, z którego wyjął kilka pasków przezroczystej taśmy samoprzylepnej. - A teraz za ich pomocą zdejmę

odciski. - Delikatnymi, precyzyjnymi ruchami przyłożył paski do rozsznycanych po szkle odcisków palców, po czym oderwał je i umieścił na arkuszu folii. - Voila. Widzisz? Przy stosowaniu tej techniki nie trzeba robić zdjęć. - Pierwsze magnum wróciło na swoje miejsce. Grosso zajął się drugim.

Sam obserwował ten rytuał. Wydawał mu się koszmarnie wolny. Postukał Philippe'a w ramię i powiedział szeptem:

- Możesz go jakoś przekonać, żeby się pospieszył? Philippe ukląkł na podłodze obok Grosso, by go o to spytać.

Sam nie dosłyszał odpowiedzi, ale zabrzmiała jak warknięcie. Philippe podniósł głowę z szerokim uśmiechem.

- Powiedział: „Nie mogę tańczyć szybciej od muzyki”. To chyba znaczy, że powinniśmy dać mu pracować w spokoju.

Sam powiedział sobie, że jeśli będzie tu stał i patrzył, drobiazgowo badania Grosso wlec się będą jeszcze bardziej, powędrował więc na drugi koniec piwnicy. Jego uwagę przykuła duża sterta kartonów w kącie, starannie ustawionych jeden na drugim i częściowo zasłoniętych przez wózek golfowy Viala. Na każdym z nich widniał ozdobny napis, wykonany w stylu, który zawsze nazywał w duchu kaligrafią winniczą: Domaine Reboul, St. Helena, Kalifornia. Przypomniał sobie, że Vial napomknął bez wielkiego entuzjazmu o winiarni w Napa Valley, i otworzył jeden z kartonów, by zobaczyć, jaką etykietą Reboul opatrzył swoje amerykańskie wino. Karton był jednak pusty. Dwa następne też.

Zadzwoił do hotelu, żeby sprawdzić, czy FedEx dostarczył już przesyłkę. Jeszcze nie. Usiłując zachować cierpliwość, schronił się w imponującej scenerii Rue de Corton - Charlemagne i raz jeszcze zadał sobie w myśli pytania, które od kilku dni tkwiły mu w głowie: Jeśli na butelkach będą odciski palców Rotha, co zrobi? Rozmówi się z Vialem? Zwróci się do policji? Zrzuci cały problem na barki Eleny i ludzi z Knox Insurance? Wszystko po kolei? A może nic?

Mijały minuty; wolno, ale mijały. Kiedy następnym razem spojrzął na zegarek, było jeszcze przed drugą. Poszedł zobaczyć, jak Grosso sobie radzi. Zostały już tylko cztery butelki.

Sophie obiecała, że wymknie się do damskiej ubikacji i zadzwoni, kiedy będą z Vialem wychodzić z restauracji.

Grosso pracował dalej: bez nerwów, spokojnie, metodycznie.

- Ależ to jest wyśmienite - powiedziała Sophie po pierwszym łyku Beames - de - Venise. - Ani słodkie, ani wytrawne. Bardzo smaczne. - Na znak wdzięczności wzniosła kieliszek ku Vialowi, który kiwał głową z uśmiechem, widząc jej reakcję. I, jak można było przewidzieć, miał do powiedzenia parę słów o pochodzeniu tego wina.

- Według historyków, nazwa szczepu pochodzi od włoskiego słowa moscato. Czyli piżmo. Piżmo zaś jest wysoko cenione przez jelenie. - Vial pozwolił sobie na łobuzerskie drgnienie brwi. - Jest to zapach, którym... jak by to ująć?... wystosowują zaproszenie do płci przeciwnej. Piżmo wykorzystuje się także jako składnik perfum, które używane przez nas, ludzi, rzekomo mają podobne działanie. - Podniósł kieliszek, podstawił go sobie pod nos i powąchał w skupieniu. - Delikatne, bardzo kobiece... i tak, z nutą piżma. Wiele słodkich win cechuje podwyższona zawartość alkoholu, ale nie Beames - de - Venise. Dzięki temu ma łagodniejszy, bardziej subtelny smak niż, na przykład, muscat z Frontignan. - Wziął łyk i odchylił się na oparcie krzesła, przenosząc wzrok z Sophie na widok z tarasu i z powrotem na Sophie. Z niechętnym wzruszeniem ramion, spojrzął na zegarek.

- Posiłek w pani towarzystwie sprawił mi niewymowną przyjemność - powiedział. - Ale zupełnie straciłem rachubę czasu. Zleciał tak szybko... obawiam się, że musimy wracać.

- Jeszcze szybką kawę przed wyjściem? - zaproponowała Sophie.  
- Zamówię po drodze do toalety.

Zamknęła za sobą drzwi kabiny i czekając, aż Sam odbierze telefon, sprawdziła, która godzina. Tuż po 14:15.

- Skończył?

- Pakuje się. Pięć minut i już ich nie ma. Napijcie się koniaku czy coś.

- Pięć minut, Sam. Ani chwili dłużej.

Jak się okazało, uporanie się z resztką Beames - de - Venise, kawą i rachunkiem zajęło im prawie dziesięć minut, i kiedy wrócili do piwnicy, była w takim stanie, w jakim ją zostawili, pusta, jeśli nie liczyć Sama. Wchodząc do środka, słyszeli, jak pogwizdywał La vie en rose.

## Rozdział 19

Sophie i Sam ruszyli w drogę powrotną do hotelu. W drzwiach piwnicy za nimi rysowała się sylwetka Viala. Machając do nich, patrzył, jak szli podjazdem do żelaznej bramy.

- Jak było na lunchu? - spytał Sam.

- Jemu chyba przyjemnie. - Sophie zatrzymała się na chwilę, by poszukać w torebce okularów przeciwsłonecznych. - To znaczy, na pewno... zdaje się, że jeszcze nigdy nikt mi tyle razy nie dziękował. Ale ja czułam się niezręcznie. Rozumiesz? Jest przemiłym człowiekiem. A ten obiad to była w gruncie rzeczy pułapka.

Sam przyglądał się dwóm mewom, które toczyły w powietrzu bój o kawałek ryby.

- Byłoby ci lżej, gdyby Vial i Reboul byli draniami?

- No pewnie. - Odwróciła się do Sama i wzruszyła ramionami. - Wiem. To nielogiczne. Przepiękstwo to przepiękstwo, bez względu na to, kto je popełnia.

Szli dalej, pogrążeni w zadumie. Kiedy dotarli do hotelu, Sam skierował kroki do recepcji. Po chwili wrócił, trzymając w górze kopertę FedEx.

- Odpowiedź na wszystkie nasze pytania - powiedział ze smutnym uśmiechem. - Albo i nie.

Otworzył kopertę i wyjął zawartość. Do oficjalnego arkusza z liniami papilarnymi, używanego przez policję Los Angeles, przypięty był odręcznie napisany list, skreślony w pośpiechu ręką Bookmana:

Sam,

Przesyłam odciski. Chłopcy są niepokieszeni, że nie byli zmuszeni do użycia siły. Roth nie jest ich ulubionym obywatelem.

Dassault Falcon zarejestrowany na Groupe Reboul odleciał 2 7 grudnia z Santa Barbara na lotnisko JFK. Cel ostateczny - Marsylia. Szczegóły planu lotu są do dyspozycji, gdyby były potrzebne.

Powodzenia.

PS Rzuciłem okiem na listę win French Laundry. Zaczynaj oszczędzać.

Sam skinął głową i podał list Sophie.

- Gratulacje, właśnie dostałaś awans na detektywa. Wygląda na to, że miałaś rację co do tego samolotu. To tylko poszlaka, ale data pasuje idealnie. - Schował arkusz z powrotem do koperty i sięgnął po telefon. - Trzeba to podrzucić Philippe'owi.

Grosso odłożył lupę i podniósł wzrok znad arkusza z odciskami palców Rotha, który właśnie studiował.

- Porządne, czyste - powiedział do Philippe'a. - Nie powinno być kłopotów. Odezwę się. - Wstał i ruszył w stronę drzwi swojego gabinetu.

Philippe'owi trudno było ukryć zniecierpliwienie i zapanować nad nogami, które wydawało się same z siebie wybijały nerwowy rytm na podłodze.

- Jak sądzisz, kiedy...

Grosso pogroził mu palcem, nakazując milczenie.

- To nie jest coś, co można załatwić w parę minut. Chcesz mieć absolutną pewność, zgadza się?

Philippe przytaknął.

- Absolutna pewność - powtórzył Grosso. - To znaczy, że odciski muszą być w stu procentach identyczne. Nie może być cienia wątpliwości, inaczej nie będą przydatne jako dowód. Muszę wiedzieć, że są identyczne, a nie tylko tak sądzić. Rozumiesz? A to potrwa. - Grosso otworzył drzwi na znak, że to koniec spotkania. - Zadzwoń, jak tylko będę miał pewność, w jedną lub w drugą stronę.

Philippe przebił się skuterem przez labirynt samochodów wokół Vieux Port i ruszył pod górę, w stronę Sofitela, rozmyślając gorączkowo. To był ostatni element układanki. Jeśli odciski palców będą się zgadzać, artykuł praktycznie napisze się sam. Jasne, trzeba go będzie umiejętnie zredagować, tu i ówdzie subtelnie podkolorować fakty. Sophie i Sam pewnie nie pozwolą, żeby podać ich nazwiska, do tego dochodziła jeszcze kwestia udziału inspektora Andreisa w sprawie. Jednak, zgodnie ze starym dziennikarskim zwyczajem, takie małe przemilczenia zawsze można było usprawiedliwić, powołując się na pierwsze przykazanie reportera: nie zdradzisz nazwisk swoich informatorów (które przebijają nawet inną starą, ale jarą wymówkę: opinia publiczna ma prawo znać prawdę). Philippe poczuł przyływ optymizmu. Wszystko zaczynało wyglądać bardzo obiecująco. Przychylnie nastawiony do świata i ludzi, zatrzymał się przed hotelem, wyjął banknot pięć euro i powiedział zaskoczonemu odźwiernemu, żeby zaparkował jego skuter.

Żeby jakoś zabić czas, Sophie i Sam postanowili na resztę popołudnia zmienić się w turystów i pojechali taksówką do Notre - Dame de la Garde, bazyliki, która góruje nad Marsylią. Zwana przez

miejscowych La Bonne Mere, zwieńczona dziesięciometrową statua Madonny z Dzieciątkiem okrytą listkami złota, mieści zdumiewającą kolekcję wotów. Dary te, składane od wieków przez marynarzy i rybaków, którzy cudem uszli śmierci na morzu, przybierają wiele postaci: są wśród nich marmurowe tabliczki, mozaiki, kolaże, modele, obrazy, koła ratunkowe, flagi, figurki - ściany kościoła dosłownie w nich toną. Motywem wspólnym im wszystkim jest wdzięczność, często wyrażana najprostszymi słowami. Merci, Bonne Mere to przesłanie, które powtarza się raz po raz.

Sophie oglądała te pamiątki cudownych ocalań z fascynacją i, przy niektórych, głębokim wzruszeniem; przypominały o śmierci, a jednocześnie sławiły życie. Samowi, którego pobyt na morzu był krótki i miał gorzki smak żółci, na ich widok powróciła niechęć do wszelkiego rodzaju łodzi. Nie dość, że były ciasne, wilgotne i niewygodne, to jeszcze kołysały się, jak im się żywnie podobało, i miały niemiły nawyk tonięcia. Po obejrzeniu szczególnie realistycznego obrazu trójmasztowca wywracającego się na pełnym morzu, podszedł do Sophie.

- Nie ma to jak suchy ład, co? - mruknął. - Zaczekam na zewnątrz. Boję się, że tutaj dostanę choroby morskiej.

Ostatnią godzinę spędził w zalegającym kościeł półmroku, dlatego też minęło trochę czasu, zanim jego oczy oswoiły się z blaskiem wczesnowieczornego słońca, i zanim objął spojrzeniem widok spod bazyliki. Choć cały jego pobyt w Marsylii upływał wśród malowniczych pejzaży - oglądanych czy to z okien hotelu, czy też z salonu Reboula w Palais du Pharo - to, co zobaczył z esplanady przed La Bonne Mere, dosłownie zapierało dech w piersi: na północy Vieux Port i stara quartier Le Panier, na zachodzie stylowe dziewiętnastowieczne wille w Le Roucas Blanc i plaże Prado, na południu pofalowane, pokryte dachówką dachy sięgające po rozmigotany bezmiar morza. Właśnie zastanawiał się, czy Reboul przychodzi tu czasem, by porównać ten widok z tym ze swoich okien, kiedy zadzwonił jego telefon.

- Sam? Gdzie jesteś? - Głos Philippe'a był niższy i przejęty, niewiele głośniejszy od szeptu.

- Na szczycie świata. W dużym kościele z widokiem.

- To wracaj do hotelu. Musimy pogadać.

- Co się stało?



- Właśnie dzwonił Grosso. Odciski na trzech butelkach są identyczne z odciskami Rotha. Mówi, że nie ma co do tego wątpliwości; stuprocentowa zgodność.

Sam nie był pewien, czy się cieszyć, czy martwić, i w czasie jazdy taksówką stało się oczywiste, że Sophie też ma bardzo mieszane uczucia. Kiedy jednak wrócili do hotelu, zastali tam człowieka całkowicie wolnego od wątpliwości i rozterek. Philippe siedział przy stoliku w kącie z trzema flutes i wiaderkiem z lodem, w którym tkwiła butelka. Błysk złotej folijki na szyjce wskazywał, że jest to szampan.

Philippe wstał z uśmiechem prawie tak szerokim, jak jego rozłożone ramiona.

- A zatem, mes chers, sprawa rozwiązana, co nie? Mamy dowód.  
- Schylił się, by rozporządzić szampanem, i napełnił flutes z przesadną starannością, po czym wręczył je Sophie i Samowi. Wznosząc własny kieliszek, lekko skłonił się towarzyszom i powiedział: - Gratulacje dla nas wszystkich. Reboul będzie miał niespodziankę, co? Aha, byłbym zapomniał: mam zaufanego informatora na lotnisku. Może uda mu się sprawdzić, co przywieziono samolotem Reboula z Kalifornii w grudniu. Wiecie, to zabawne. Człowiek mozolnie idzie po nitce do kłębka i nagle... puf!... na jaw wychodzą różne tajemnice.

Sam w zadumie napił się szampana.

- Coś w tej sprawie nie daje mi spokoju - powiedział. - Chodzi o motyw. Przecież kto jak kto, ale Reboul ma wszystko. Sukces, pieniądze i wszystko, co się z tym wiąże. Kochanki na zawołanie, prywatny pałac, własny samolot, jacht... i tyle wina, że, na Boga, starczy mu do końca życia. - Urwał i spojrzał na Philippe'a.

- Dlaczego to zrobił? Po co podjął takie ryzyko?

- Ależ, Sam - powiedział Philippe, kręcąc głową - nie rozumiesz Francuzów.

To była luka w wykształceniu Sama, którą wytknięto mu już kilka razy w ciągu ostatnich kilku dni.

- Zgoda. Sophie też mi to mówiła. I co z tego? Philippe kontynuował.

- Nie zapominaj, że Chauvin był Francuzem. To my wynaleźliśmy szowinizm. Coś, co niektórzy mylnie biorą za arogancję.

- Philippe zamilkł i ściągnął brwi, jakby zdumiony, że ktokolwiek może mieć takie zdanie o jego rodakach. - Żarliwie

kochamy nasz kraj, naszą kulturę, kuchnię, nasze patrimoine. A już Reboul szczególnie. Nawet podatki płaci we Francji, na litość boską. Czytałeś artykuły w dossier. Na okrągło trąbi a to o okropnościach globalizacji, a to o upadku francuskiej wartości, a to znowu o tym, jaka to tragedia, że francuskie dobra trafiają w ręce cudzoziemców... dobra takie, jak firmy, nieruchomości i, bien sur, nasze najlepsze wina. Wiadomość o wszystkich tych bordo premier cru trzymany w piwnicy w Hollywood - gorszego miejsca być nie może! - to afront, skandal, ość w gardle. No i oczywiście nie możemy pominąć jeszcze jednego, najważniejszego czynnika: że byłoby to dla niego wyzwanie. Swoisty sport. Mais oui. - Philippe pokiwał głową do swoich myśli, biorąc łyk szampana.

Sophie i Sam mieli zdumione miny.

- Cóż - powiedział Sam - nie jestem pewien, czy przekonuje mnie teoria o kradzieży z pobudek czysto patriotycznych, ale przypuśćmy, że masz rację. Co ma do tego sport? Czy to jeszcze jedna cecha Francuzów, której nie rozumiem?

Philippe rozsiadł się wygodnie na krześle, w pozie profesora, który pragnie oświecić dobrze zapowiadającego się ucznia.

- Nie, nie tym razem. To raczej cecha ludzi bogatych niż Francuzów. Kiedy ktoś ma pieniądze i władzę, z czasem rodzi się w nim poczucie, że może mieć wszystko, czego dusza zapragnie, i robić, co mu się podoba. Folie des grandeurs. Może spełniać wszystkie swoje zachcianki. Może ryzykować. W końcu jeśli coś pójdzie nie tak, pieniądze go ochronią. - Philippe przeniósł wzrok z Sophie na Sama, usiłując wybadać ich reakcję. - Sądzę, że się zgodzicie, że tak to z reguły jest. A teraz przejdźmy do szczególnego przypadku. Czyli do Reboula.

Grupa młodych biznesmenów - w ciemnych garniturach, z krótko ostrzyżonymi włosami i wielgachnymi zegarkami - usiadła przy sąsiednim stoliku. Philippe zniżył głos, tak że Sophie i Sam musieli wychylić się do przodu, żeby go dosłyszeć.

- Reboul bardzo sprawnie zorganizował swoje imperium. Firmami kierują ludzie, z którymi długo pracował. Ma do nich zaufanie i dobrze im płaci. W zamian zapewniają mu zyski, rok w rok. Groupe Reboul działa sur les roulettes, jak w zegarku... z tego słynie. A co do samego Reboula, czym wypełnia sobie czas? Pokazuje się na paru zebraniach zarządu, żeby trzymać rękę na pulsie; pielęgnuje

znajomości; udziela wywiadów; kilka razy do roku wydaje uroczyste bankiety. Do zabawy ma swoją drużynę piłkarską i jacht. Ale gdzie tu wyzwanie? Robił już wszystko. Wygrał. Nudzi mu się. Jestem o tym przekonany.

Sam kiwał głową. W Kalifornii poznał kilku miliarderów z podobnym problemem. Część z nich miała to szczęście, że mogli dla rozrywki zająć się tak złożonymi przedsięwzięciami jak choćby Puchar Ameryki; inni żyli zakupami kolejnych firm, zmieniali żony jak rękawiczki, byli chorobliwie ambitni, zaskakująco zakompleksieni i czasem niezwykle dziwaczeni. Reboul sprawiał wrażenie, jakby nie doskwierały mu ani kompleksy, ani zdziwienie. Ale nuda? Sam mógł to sobie wyobrazić.

Philippe zniżył głos jeszcze bardziej.

- Mamy więc człowieka dysponującego nieograniczonymi sumami pieniędzy, człowieka, który ma dużo wolnego czasu, człowieka, który, jak sam na okrągło powtarza, jest oddany Francji i wszystkiemu, co francuskie. Co sprawi mu większą frajdę niż taki właśnie numer? To, że zaplanuje i wykona kradzież doskonałą, dzięki której skarb narodowy powróci do ojczyzny? A po wszystkim być może zaprosi swojego dobrego znajomego, komendanta policji, na kolację podlaną kradzionym winem. Na tym polega cała zabawa. I całe wyzwanie. Voila. - Philippe zatarł dłonie i sięgnął po szampana.

Sam musiał przyznać, że słyszał o przestępstwach popełnianych z równie osobliwych powodów. Co więcej, sam miał kilka takich na sumieniu; ta myśl utkwiała mu w pamięci, do rozważenia na później.

- Sophie? - powiedział. - Co o tym sądzisz? Sophie patrzyła na swojego kuzyna, marszcząc brwi.

- Że Philippe już napisał ten swój artykuł. Ale fakt, mogło być tak, jak mówi. - Wbiła wzrok w punkciki bąbelków wznoszących się z dna kieliszka i wzruszyła ramionami. - No to jak, moi detektywi, co robimy?

- Prześpijmy się z tym - powiedział Sam. - Ale najpierw lepiej zadzwonię do Los Angeles i złożę meldunek.

Kiedy Elena odebrała, w jej głosie dźwięczała stalowa, nieprzyjazna nuta. Pamiętał ten ton z czasów, gdy im się nie układało; na jego dźwięk zawsze miał ochotę się skulić. Jak wpadła we wściekłość, nie było z nią żartów, o nie.

- Eleno, nie gryź - powiedział. - To ja. Twój człowiek w terenie.

Sam usłyszał, jak wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

- Przepraszam cię, Sam, ale właśnie dostałam codzienną burę od Danny'ego Rotha. Myślałam, że to znowu on dzwoni. Zawsze tak robi. Chyba wie, że doprowadza mnie tym do szału. - Elena uzupełniła to krótką, acz zjadliwą tyradą po hiszpańsku, zakończoną serią przekleństw i następnym głębokim wdechem. - Tego mi było trzeba. No dobra, teraz mów, co się dzieje.

- Dobra wiadomość jest taka, że prawie na pewno znaleźliśmy wino. Odciski palców Rotha są na części butelek w piwnicy Reboula, a człowiek, który je badał, pracuje w tutejszej policji. Czyli to twardy dowód.

- To wspaniale, Sam. Świetna robota. Gratulacje. - Ale nie sprawiała wrażenia, jakby już była gotowa świętować. - Powiedz mi, że się mylę, ale coś czuję, że jest też jakaś zła wiadomość.

- Niewykluczone. Reboul mógł to zrobić, ale nie jest głupi. Najprawdopodobniej zataił po sobie ślady, wykorzystując sfałszowane faktury i przeróżne dokumenty. Jeśli tak było, będziemy mieli na głowie prawników, a nie muszę ci mówić, co to oznacza: milion dorców w kosztach sądowych, proces ciągnący się miesiącami. Może latami.

- Nie wspominając, kto ma te koszty pokryć.

- Otóż to. Sęk w tym, że nie dowiemy się, jak się zabezpieczył, dopóki się do niego nie dobierzemy, a wtedy już nie będzie odwrotu. Dlatego zaczynam się zastanawiać nad planem B.

- Czy uwzględnia zabójstwo i osobę znanego adwokata z show - biznesu? Mogę pomóc?

- Znasz mnie, Eleno. Zabójstwa to nie moja działka. Słuchaj, muszę coś ustalić. W sprawie takiej jak ta, co jest czynnikiem decydującym? Co musicie koniecznie mieć, żeby uniknąć wypłaty odszkodowania?

- No dobra. Trzy słowa - klucze to: odnalezienie, identyfikacja i stan. Musimy znać miejsce przechowywania skradzionych dóbr. Musimy mieć niezbity dowód, że rzeczywiście są to te skradzione dobra, których szukamy. I musimy uzyskać pewność, że są w dobrym stanie; a najlepiej w takim stanie, w jakim były w momencie kradzieży. Do tego dochodzą jeszcze dziesiątki dodatkowych

szczegółów, ale w zasadzie jeśli spełnione są te trzy kryteria, to mamy święty spokój.

- A kto to wszystko sprawdza? Ty czy Roth?

- Żartujesz sobie? Uwierzyłybyś Rothowi na słowo? Znasz to stare powiedzenie „Dzień dobry - skłamał”? Do Danny'ego Rotha pasuje jak ulał. Nie, weryfikacją zajmujemy się my... w tym wypadku ja i paru ekspertów... a Roth ma się tylko pod nią podpisać. I kiedy to zrobi, będę go mogła zrzucić z urwiska.

- Dziękuję, pani Morales. To wszystko. Będę w kontakcie.

- Jaki jest plan B?

- Zaufaj mi. Lepiej, żebyś go nie znała. Dobranoc, Eleno.

- Dobranoc, Sam.

## Rozdział 20

Noc wlokła się, jakby zegary chodziły wolniej niż zwykle, a umysł Sama pracował zbyt intensywnie, by pozwolić mu zasnąć. Szkocka, zwykle niezawodny środek nasenny, nie pomogła. Nawet reportaż CNN o renesansie systemu bankowego Nigerii nie podziałał na niego tak uspokajająco, jak można było oczekiwać. Był w pełni rozbudzony.

Włożył sweter i wyszedł na taras w nadziei, że ostre nocne powietrze dokona tego, co nie udało się whisky ani telewizji. Spojrzał na księżyc wiszący nad Vieux Port. Prawie pełnia. Zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem. Był ciekaw, gdzie będzie jutro o tej porze. Zastanawiał się, czy to się powiedzie, czy niczego nie przeoczył. I czy pozostali się zgodzą.

Świt zastał go wciąż na tarasie; był zmarznięty, zeszywniały, ale zupełnie niezmeńczony. Prawdę mówiąc, miał wrażenie, jakby nieprzespana noc dała mu zastrzyk adrenaliny, i z niecierpliwością wyczekiwał nowego dnia. Zamówił przez telefon śniadanie i stał pod gorącym prysznicem tak długo, aż jego kalifornijska opalenizna zaczęła przybierać czerwony odcień.

Guzdrał się z kawą i „Herald Tribune” najdłużej, jak mógł, ale i tak było jeszcze za wcześnie, żeby zadzwonić do Sophie i Philippe’a. Postanowił wybrać się na spacer i wychodząc z hotelu, automatycznie skręcił w prawo, w kierunku Palais du Pharo.

Wielka żelazna brama była jeszcze zamknięta, stał więc i patrzył przez czarne kraty w stronę ogromnego zielonego kobierca trawy przed domem. Wiał przyjdzie do piwnicy nie wcześniej niż o dziesiątej, a służba skorzysta z wyjazdu Reboula na Korsykę, by pospać pół godziny dłużej. Było zadziwiająco cicho, jak na miejsce położone tak blisko centrum. Za sobą słyszał szmer ruchu ulicznego towarzyszący porannej krzątaniu marsylczyków i żalosne wycie syreny okrętowej dochodzące od strony doków za Vieux Port. Dźwięk ten skłonił go, by zejść ze wzgórza na targ rybny przy Quai des Belges i obejrzeć dostawę świeżo złowionych ryb.

Łodzie rybackie zazwyczaj przybywają między 8:00 a 8:30, ale przekupki są tam wcześniej i czekają za pustymi, starannie wyszorowanymi straganami. Tradycyjną cechą targu - niemal atrakcją turystyczną - bywa barwne słownictwo tychże dam, wypowiedane z lubością głosami dość mocnymi, by rywalizować z mistralem o sile

ośmiu stopni w skali Beauforta. Sam żałował, że jego znajomość francuskiego nie stoi na wystarczająco wysokim - czy może raczej niskim - poziomie, by wychwycić większość niecenzuralnych niuansów. Pomyślał, że dobrze byłoby wrócić tu z Philippem jako tłumaczem.

Łodzie zaczynały dobijać do nabrzeża i przekomarzania przekupek stały się głośniejsze. Towarzyszyły im ciche plaśnięcia wykładanych na stragany ryb, o wciąż błyszczących oczach i połyskujących łuskach. Schodzili się pierwsi klienci, pojedynczo i dwójkami. Zgodnie z prastarym zwyczajem Francuzów na zakupach, chodząc od stoiska do stoiska okazywali głęboką nieufność - a to zaglądali w ślepia rascasse, a to obwąchiwali skrzela galinette, a to znowu porównywali zalety grillowanego daurade z rozkoszami bouillabaisse.

Pierwszy i jedyny kontakt z tą legendarną potrawą - do dziś dreszcz go przechodził na samo wspomnienie - Sam miał w Nowym Orleanie, kiedy to dał się namówić do spróbowania czegoś o nazwie bouillabaisse creole. Było to tak ohydne, że aż spytał kelnera o składniki. Jak się okazało, znalazły się wśród nich między innymi mąka, ostrygi, margaryna i bulion. Dziwny zestaw, jak na potrawę z ryby. Obiecał sobie, że pewnego dnia skosztuje prawdziwej bouillabaisse. Był to kolejny powód, by wrócić do Marsylii, miasta, które z każdą chwilą coraz bardziej mu się podobało.

Nieświadomie zawędrował dość blisko jednego ze straganów, by rozbudzić instynkt handlowca w jego właścicielce, potężnej ogorzałej jejmości w wyblakłej baseballówce i grubych rękawicach gumowych.

- Eh, monsieur! - wydarła się na niego. - Comme il est beau, ce loup! - Podniosła wielkiego, dorodnego okonia morskiego i podsunęła mu pod nos, z uśmiechem przecinającym jej czerwoną jak cegła twarz. Sam skinął głową i odwzajemnił uśmiech. To był błąd. Zanim mógł ją powstrzymać, przekupka pochwyciła nóż i z zabójczą szybkością i precyzją wypatroszyła loup, po czym zaczęła go zawijać. Z taką nie ma co się kłócić, pomyślał Sam. Kupił rybę.

Kiedy ruszył w drogę powrotną do hotelu z oślizłym zawiniątkiem pod pachą, zanotował sobie w pamięci, żeby spisać przepis, który podała mu przekupka. Tak prosta, stwierdziła, że nawet mężczyzna sobie poradzi. Zrób w rybie dwa głębokie nacięcia, po jednym z każdej strony, i do każdego włóż dwa - trzy krótkie kawałki

kopru włoskiego. Posmaruj rybę oliwą. Piecz po sześć - siedem minut na każdym boku. Włóż rybę do żaroodpornego półmiska i postaw go na warstwie zasuszonych łydzy kopru włoskiego. Podgrzej chochlę pełną armaniaku, podpał go i wylej na półmisek. Koper zajmuje się ogniem, nasyca powietrze swoim aromatem i nadaje rybie smak. „Une merveille” - zapewniła.

Kiedy wchodził do hotelowego holu, zadzwonił jego telefon.

- Gdzie jesteś? - powiedział Philippe. - Ach, tutaj... widzę cię. - Pomachał do Sama od stolika, przy którym siedział z kawą i gazetami.

- Zaraz wracam - rzucił Sam. - Tylko pozbędę się tej ryby. Philippe nie okazał zaskoczenia.

- Jasne - powiedział, jakby widok człowieka w garniturze niosącego wielką martwą rybę był czymś normalnym. - Sophie już schodzi.

Sam podszedł do stanowiska konsjerża, trzymając swoją zdobycz w wyciągniętych rękach.

- Wyrazy uznania dla szefa kuchni - powiedział, kładąc rybę na blacie. - Chciałbym ofiarować mu tego loup de mer. Świeży, prosto z targu.

Konsjerż skłonił głowę i uśmiechnął się.

- Oczywiście, monsieur. To bardzo miło z pańskiej strony. Dopilnuję, żeby dostał go natychmiast. Ma pan jeszcze jakieś życzenia?

Sam wrócił do stolika, w duchu chyląc czoło przed konsjerżem za jego zimną krew. Jeeves byłby z niego dumny.

Sophie i Philippe wyraźnie się niecierpliwili, więc Sam, nie zwlekając, przeszedł do rzeczy.

- Mam pewien pomysł - powiedział - ale najpierw pozwólcie, że jeszcze raz przypomnę, jak wygląda sytuacja. Dajcie znać, gdybyście się z czymś nie zgadzali. Po pierwsze, jesteśmy pewni ponad wszelką wątpliwość, że skradzione wino jest w piwnicy, czego dowodem są odciski palców Rotha. Moglibyśmy więc zakapować Reboula i wrócić do domu. Ale co stałoby się wtedy? Policja dobrałaby się do niego i Viala, i wmieszaliby się w to prawnicy. Jeśli Reboul zatarł po sobie ślady... a nie wątpię, że zrobił to bardzo skrupulatnie... pewni możemy być tylko tego, że wyjaśnienie całej sprawy zajmie wiele miesięcy. Może lat. Wino na ten czas zostanie zarekwirowane jako dowód. A prasa zapewne dostanie zakaz pisania o sprawie, żeby nie zaszkodzić



reputacji ważnego człowieka, i Philippe będzie mógł zapomnieć o swoim artykule. Prawnicy Reboula już się o to zatroszcą. - Sam umilkł, by jego słowa mogły w pełni do nich dotrzeć. - Jakies pytania, jak dotąd?

Sophie milczała. Philippe przygryzł dolną wargę i zrobił zamyśloną minę. Sam mówił dalej:

- Sprawa ma jeszcze jeden aspekt, którego chyba żadne z nas nie brało pod uwagę. Okazuje się, że Reboul i Vial to całkiem sympatyczni goście. Polubiliśmy ich i chcemy ich uchronić od kłopotów i, być może, więzienia. Mam rację, Sophie? Skinęła głową.

- Byłoby ich szkoda.

- Też tak uważam. - Sam przetarł oczy. Przez brak snu czuł się, jakby miał w nich piasek. - No dobra. Myślałem o tym prawie całą noc i uważam, że to się może udać. Tak czy owak, warto spróbować, bo plusów jest wiele. - Sam wyliczył je na palcach. - Po pierwsze, Reboul i Vial wychodzą z tego czysto. Po drugie, Philippe dostaje inny, może nawet lepszy materiał... zagadkę kryminalną, w której osobiście uczestniczy. Po trzecie, w ten sposób Sophie i ja wykonamy zlecenie Knox Insurance. Odnajdziemy wino. Jest tylko jeden szkopuł. Do tej pory nie popełniliśmy żadnego poważnego przestępstwa... co najwyżej drobne wprowadzenie w błąd, to wszystko. Ale to, co mi chodzi po głowie, byłoby złamaniem prawa.

Philippe wrócił do swojej ulubionej pozycji: siedział na skraju krzesła i nogi już zaczynały mu podrygiwać.

- Jak poważnym złamaniem prawa?

- Pomyślałem, żeby wykraść to wino.

Sophie zaśmiała się i pokręciła głową.

- Mats c'est fou. Oszalałeś.

Philippe uniósł dłoń.

- Moment. - Wychylił się do przodu i rzucił okiem za plecy jak konspirator pełną gębą. Każdy, kto by go zobaczył, z miejsca uznałby go za człowieka, który rozmawia o wstydlivej tajemnicy. Jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu. - Wykombinowałeś, jak to rozegrać?

- Absolutnie tak.

Sophie przestała się śmiać.

- Ależ, Sam, przecież bylibyśmy głównymi podejrzanymi. Reboul powie policji o dziwnej parze, która przesiadywała całymi

dniami w jego piwnicy, oni nas znajdą i wtedy nie on trafi za kraty, tylko my. Nie mam racji?

Sam pokręcił głową.

- Moglibyśmy wyjaśnić, że chodziło nam tylko o to, by odzyskać skradzioną własność klienta międzynarodowej, renomowanej firmy ubezpieczeniowej. Nasze metody są trochę niekonwencjonalne, to wszystko. Ale co ważniejsze: co miałby powiedzieć Reboul? Ktoś ukradł wino, które ukradłem? Nie sądzę. Bez względu na to, jak dobrych ma adwokatów, nie będzie chciał, żeby Interpol siedział mu na karku. Nie, jestem prawie pewien, że będzie siedział cicho.

Philippe przestał przygryzać wargę i zajął się dolewaniem kawy.

- Sam, mówiłeś coś o lepszym materiale. - Spojrzał na Sophie i pospiesznie dorzucił: - To znaczy, o ile się na to zdecydujemy.

- No dobrze. Wszystko zaczyna się, jak to zwykle bywa, od anonimowej informacji... dostałeś takich pewnie już dziesiątki. Motywem czasem jest zemsta, czasem wyrzuty sumienia, a czasem to po prostu głupi żart. W każdym razie odbierasz telefon od nieznanego. Nie chce podać nazwiska. Mówi ci, że gdzieś na odludziu schowano imponujące zapasy wina... do tego jeszcze wrócimy... i że wino to pochodzi z kradzieży. Może sam je ukradł i nie jest w stanie go opchnąć. W każdym razie, nie wchodzi w szczegóły. Podaje tylko instrukcje, jak trafić do kryjówki. Nie dowierzasz mu, ale mimo to tam jedziesz. Niespodzianka: wino jest dokładnie tam, gdzie mówił informator. I tak oto masz pierwszy rozdział swojej historii.

Philippe powoli pokiwał głową.

- Niezły początek. I chyba domyślam się, jaki będzie dalszy ciąg.

- Nie wątpię. Badasz więc sprawę. Obdzwaniasz wszystkich swoich informatorów. I krok po kroku, a może raczej artykuł po artykule, podążasz tropem, który prowadzi cię do Los Angeles, gdzie robisz wywiad z Dannym Rothem i poznajesz jego wersję kradzieży wina: Wigilia, przekupiony dozorca, karetka i tak dalej. Do tego momentu wszystko jest jasne. Reszta... czyli to, kto ukradł wino... pozostaje nierozwiązaną zagadką; nazwiska Reboula i Viala nie padają ani razu. - Sam przeniósł wzrok z Sophie na Philippe'a. - Co wy na to?

- Mnie się podoba - powiedział Philippe. - Byłby z tego świetny cykl artykułów, coś jak feuilleton w telewizji. - Jego nogi odtańczyły krótki taniec zgody.

Obaj odwrócili się do Sophie.

Minęło trochę czasu, zanim przekonali ją, że kradzież to najlepsze rozwiązanie. Próbowała tłumaczyć, że przecież mogą zapomnieć o całej sprawie i rozjechać się do domów, ale Sam przypomniał jej, że na to jest już za późno; powiedział o wszystkim Elenie Morales. Knox International wiedział już, że odnaleźli wino, i podejmie stosowne działania, z pomocą Sama czy bez. Dlatego też, po długich wahaniach Sophie, decyzja zapadła. Ukradną wino.

Philippe znalazł rozwiązanie następnego problemu: gdzie odzyskane wino ukryć. Jego babka miała farmę i kilka akrów ziemi w Claparedes, odludnej okolicy w Luberon. W dzieciństwie jeździł tam co roku na wakacje, ale po śmierci babki ta sympatyczna rodzinna tradycja wygasła. Przez to, że nieboszczka nie zostawiła testamentu, między jej potomkami wybuchła zażarta kłótnia - we Francji zjawisko dość powszechne - o to, któremu z nich ta ziemia się należy. Spór ciągnął się już trzynaście lat i nic nie wskazywało na to, by miał się rychło zakończyć. Farma tymczasem była niezamieszкана i okropnie zaniedbana. Żaden ze skonfliktowanych krewnych nie kwapił się do tego, by płacić za utrzymanie działki, która koniec końców przypaść mogła komuś innemu - na przykład niezasługującemu na to okropnemu kuzynowi czy powszechnie znieawidzonej cioci Hortense. Dodatkową zaletą domu, oprócz tego, że stał na odludziu, była spora piwnica, w której można było trzymać wino bez obaw, że się zepsuje.

- Wydaje się, że to idealne miejsce - powiedział Sam. - Możesz się dostać do środka?

- Klucz leży pod kamieniem za studnią. No i okiennica na oknie kuchennym nigdy się nie domykała. Tak czy owak, z wejściem nie będzie kłopotu.

- W porządku. Następna sprawa to transport. Twój skuter raczej nie wystarczy. Dasz radę poprowadzić małą furgonetkę?

Philippe usiadł prosto, z urażoną miną.

- Francuz umie prowadzić wszystko.

- Tak myślałem. Wynajmiemy coś dziś po południu. - Sam odwrócił się do Sophie. - Potrzebna mi będzie twoja pomoc. Muszę

dostać się do domu Reboula, zanim zamkną go na noc. Pokręcimy się tam pod pretekstem, że robimy zdjęcia i że najlepszą porą na to jest wieczór, bo wtedy jest szczególnie dobre światło. Przy pierwszej okazji się ulotnię. Jeśli Vial albo ktoś inny spyta, gdzie jestem, powiesz, że musiałem pójść do miasta na spotkanie. Ty będziesz dalej robić zdjęcia, aż służba zacznie wychodzić, a potem wrócisz do hotelu.

Sophie miała zmarszczone czoło. - I co wtedy?

- Chodźmy coś zjeść. Powiem wam przy lunchu.

Na wspomnienie o posiłku Philippe wstał i zatarł dłonie.

- Tylko jedno pytanie - powiedział. - Kiedy zaczynamy? Sam spojrzał na zegarek.

- Za mniej więcej sześć godzin.

## Rozdział 21

Kilka następných godzin po lunchu spędzili na finalizowaniu planów na ten wieczór. Philippe wynajął nieoznakowaną białą furgonetkę - którą nazywał ferrari hydraulika - dość dużą, by swobodnie zmieściło się w niej pięćdziesiąt skrzynek wina. Sophie zadzwoniła do Viala, by uprzedzić go, że wieczorem będą z Samem robić zdjęcia w ogrodzie wokół domu, i zaproponowała, żeby potem wyskoczyli na drinka. Vial nie dał się dwa razy prosić.

Sam przez całe popołudnie musiał siedzieć beczynnie i czekać w swoistym stanie zawieszenia. W tej chwili nie pozostawało mu nic innego, jak tylko liczyć, że będzie dobrze; w pierwszej, najważniejszej fazie szczęście będzie musiało być po jego stronie. Wziął drugi prysznic tego dnia i przebrał się w strój odpowiedni do nocnego włamania: ciemnoniebieskie spodnie, ciemnoniebieski T - shirt, ciemnoniebieską wiatrówkę. Resztę rzeczy wrzucił do walizki. Dwa razy sprawdził baterie w aparacie fotograficznym i latarce kieszonkowej, naładował też telefon. Ponownie przejrzał listę skradzionych win i schował ją do kieszeni. Chodził w tę i z powrotem po tarasie, tym razem nie zwracając uwagi na widok. Niewiele brakowało, żeby zaczął kręcić młynka kciukami. Rwał się do czynu.

Kiedy Sophie i Sam weszli po schodach do drzwi Palais du Pharo, słońce rozpoczynało już swoją codzienną rejteradę za horyzont i jego padające z ukosa, złociste światło było marzeniem każdego fotografa. Zanim zdążyli zadzwonić, drzwi się otworzyły. Gospoia, elegancka siwowłosa kobieta w nienagannie wyprasowanej lnianej sukni, wyszła im na powitanie.

- Florian uprzedził, że bym się państwa spodziewała - powiedziała. - Proszę dać znać, gdybym mogła w czymś pomóc.

Sophie jej podziękowała.

- Głównie będziemy na zewnątrz - wyjaśniła. - Przed zachodem słońca jest tak cudowne światło. Ale może moglibyśmy wejść do środka, żeby zrobić jedno, ostatnie zdjęcie z okna salonu... wie pani, chodzi o to, żeby uchwycić ten moment tuż przed tym, jak słońce znika w falach. Widzieliśmy to, kiedy byliśmy z monsieur Reboulem, widok był naprawdę spektakularny.

Gospoia skinęła głową.

- Zostawię otwarty taras. Przykro mi, że nie będą mieli państwo okazji zobaczyć się dziś z monsieur Reboulem. Ale już jutro wraca i

jestem pewna, że chętnie obejrzy państwa zdjęcia. - Z uśmiechem i dostojnym skinieniem dłonią, odwróciła się i zniknęła w środku.

- Mamy fart - powiedział Sam, kiedy poszli wokół domu w stronę ogrodów z widokiem na morze. - Jutro byłoby za późno. Domyślam się, że kiedy Reboul wraca ze swoich wojaży, czeka tu na niego cały komitet powitalny. - Wyjął z kieszeni aparat fotograficzny i włączył go. - Wielka dama jak na gosposię, co?

Sophie podniosła oczy na górującą nad nimi fasadę; trzy kondygnacje i niezliczone okna. Reboul mógłby tu zakwaterować małą armię.

- Bo to wielki dom. - Zatrzymała się i położyła dłoń na ramieniu Sama. Czuł, że jej ręka drży. - Sam, boję się.

Ścisnął jej dłoń i uśmiechnął się szeroko.

- Ja też. I tak ma być. Ten, kto się nie boi, robi się nieostrożny. Słuchaj... do tej pory radziłaś sobie znakomicie, a już prawie po wszystkim. Jeszcze tylko ta jedna sprawa do załatwienia i masz święty spokój. - Wziął ją pod ramię i poprowadził przez ogród, wolną ręką panoramując okolicę aparatem fotograficznym. - Teraz to ty tu rządzisz. Powiedz mi, gdzie mam zacząć, i pamiętaj, masz pokazywać palcem wszystko, co chcesz, żebym sfotografował. Wymachuj rękami. Tup nogą. Rwij włosy z głowy. Zachowuj się jak natchniony reżyser. Będiesz miała publiczność. Jestem pewien, że nasza nowa znajoma patrzy przez okno, czy aby nie zdeptujemy lawendy.

Obfotografowali taras, zadbane, eleganckie ogrody, widoki ze wszystkich stron, przez cały czas śledząc powolne opadanie słońca ku morzu. Kiedy już kończyli, Sam nagle znieruchomiał, przyłożył komórkę do ucha, udał, że z kimś rozmawia, po czym schował telefon z powrotem do kieszeni.

- Mój pretekst do tego, żeby się ulotnić - powiedział i oddał aparat Sophie. - Wejźmy do środka, żeby pstryknąć fotkę z okna. Wtedy zniknę. Kiedy będziesz robić zdjęcia, trzymaj za mnie kciuki, co?

Weszli przez taras do domu, przecięli mały hol i stanęli przed drzwiami salonu. Były otwarte. Dopiero na środku pokoju zorientowali się, że nie są sami.

- Na pewno zrobiliście państwo piękne zdjęcia. Wieczór jest taki cudowny. - Gosposia wstała od kunsztownie zdobionego biurka przed

oknem, przerywając pisanie, i ruszyła ku nim z uprzejmym uśmiechem. Tylko jej tu brakowało, pomyślał Sam.

Nakleił na twarz uśmiech.

- Jak to dobrze, że panią zastaliśmy - powiedział. - Właśnie dzwonił, że jestem spóźniony na spotkanie w Marsylii, a przed wyjściem chciałem jeszcze pani podziękować. Sophie zrobi tych ostatnich parę zdjęć.

Gospośia przybrała dyplomatyczną minę, która wyrażała jednocześnie zawód i zrozumienie.

- Jaka szkoda, że już pan ucieka. - Ruszyła do drzwi. - Ale musi pan jeszcze koniecznie obejrzeć...

Sam uniósł dłoń.

- Nie, nie, nie. Proszę nie robić sobie kłopotu. Trafie do wyjścia. Jeszcze raz dziękuję. - Szybko wyszedł z salonu i zamknął za sobą drzwi. Przeciął hol główny i wśliznął się do jadalni. Przemknął na palcach obok stołu na dwadzieścia miejsc otoczonego wysokimi tapicerowanymi krzesłami i skierował się do schowanych we wnęce ciężkich wahadłowych drzwi prowadzących do kuchni. Przyłożył ucho do szczeliny między drzwiami a ścianą: nic, tylko przytłumione buczenie lodówek. Przemierzył pomieszczenie wypełnione lśniącymi sprzętami z nierdzewnej stali i mosiądzu i przeszedł do kuchni na tyłach. Przed sobą miał drzwi, za którymi były schody prowadzące do piwnicy; zamknięte na klucz, tak, jak tego oczekiwał. Spojrzał na zegarek. Piętnaście po szóstej. O wpół do siódmej Sophie spotka się z Viałem i zabierze go do baru hotelowego.

Sam przygotował się psychicznie na piętnaście minut niewygodny i otworzył drzwi „niemego kelnera”. Jak mówił o nim Viał? „Winda dla butelek. Wjeżdża do kuchni na tyłach. Bez turbulencji. Wino przybywa odprężone”. Sam miał nadzieję, że z nim będzie tak samo.

Tak naprawdę winda dla butelek była w gruncie rzeczy niczym więcej, jak tylko podłużną skrzynką, sterowaną ręcznie, za pomocą staroświeckiego połączenia sznura i krążka linowego. Była jednak solidnie wykonana, dość wytrzymała, by dźwignąć kilka skrzynek wina, i wystarczająco wysoka, by dało się je ustawić jedna na drugiej. Kształtem przypominała trumnę. Sam starał się o tym nie myśleć, kiedy chwycił sznur i ostrożnie wcisnął się do środka, krzywiąc się na skrzypienie krążka pod jego ciężarem. Zamknął drzwi i wziął głęboki wdech. W otaczającej go ciemności wisiał lekko zatechły zapach

korków i zwiertzałego wina, pamiątka po butelce, która przeciekała w drodze na górę. Przesuwał sznur przez dłonie, opuszczając się powoli i z najwyższą ostrożnością, aż poczuł lekki wstrząs, który powiedział mu, że znalazł się w piwnicy.

Florian Vial poprawił zawadiacko podkręcone wąsy i ruszył przez piwnicę do schodów prowadzących do domu, przechodząc niecałe dwa metry od postaci kucającej wewnątrz „niemego kelnera”. Cieszył się na kolejne spotkanie z Sophie, zwłaszcza po tym, jak zadzwoniła, żeby powiedzieć, że Sam nie będzie mógł im towarzyszyć. Jasne, sympatyczny z niego młodzieniec, ale Vial zdecydowanie wołał intymne tete - a - tete z Sophie, tym bardziej że we dwoje mogli rozmawiać po francusku, w języku wręcz stworzonym do prawienia wyszukanych komplementów.

Sam usłyszał kroki Viala na kamiennych płytach i dał mu kilka minut na wejście po schodach do domu. Zaczynał odczuwać lekką klaustrofobię i pierwsze objawy skurczu. Mięśnie jego ud były napięte jak postronki i czuł, że ma drzazgę w tyłku. Ale dopiął swego. Przez całą noc będzie miał piwnicę dla siebie, a czekające go długie godziny pracy fizycznej będą miłą odmianą po mękach w ciasnej windzie.

Sznur skrzypnął raz jeszcze i Sam wygramolił się na zewnątrz. Przez długą chwilę stał w ciemności i rozciągał obolałe mięśnie. Choć zagrożenie, że ktoś go tu zauważy, było minimalne, postanowił zaczekać parę godzin, zanim zapali światła i weźmie się do pracy. Wtedy praktycznie cała Marsylia odprawiać będzie święty rytuał kolacji.

Idąc za cienkim snopem światła latarki, dotarł na drugi koniec piwnicy, gdzie wszystko wyglądało tak, jak to zapamiętał. Wózek golfowy stał na swoim miejscu przy drzwiach, w kącie piętrzyła się sterta pustych kartonów z Domaine Reboul. Trzeba je będzie podmienić na inne, nieoznakowane, ale to później. Czasu na pewno nie zabraknie. Wszedł do gabinetu Viala, usiadł w fotelu Viala i położył nogi na biurku Viala. Philippe odebrał po pierwszym sygnale.

- Na razie wszystko gra - powiedział Sam.

- Jesteś w piwnicy?

- Tak. Za parę godzin zacznę pakować wino. Przelećmy jeszcze raz cały plan.



- Bon. Kiedy wino będzie spakowane, zadzwonisz do mnie. Furgonetka stoi przy Vieux Port. O tej porze dotrę do Palais w trzy minuty.

- Dobrze. Ja dopilnuję, żeby brama była otwarta. Pamiętaj o zgaszeniu świateł, zanim skrećisz na podjazd. Nie chcę, żeby ktoś w domu je zobaczył. Na rozwidleniu podjazdu odbij w lewo. Błysznię latarką, żeby wskazać ci drogę na placyk rozładunkowy. Skrzynki będą przed piwnicą. Ich załadunek zajmie góra pięć minut. A potem spadamy stąd.

- Zrozumiałem. Roger.

- Jaki Roger?

- Tak mówią w amerykańskim wojsku. Widziałem w telewizji.

Sam przewrócił oczami w ciemności. Zapomniał, że Philippe ma fioła na punkcie wszystkiego, co związane z wojskiem.

- Aha, jeszcze jedno. Jak długo jedzie się tam, dokąd się wybieramy?

- Furgonetka to nie wóz wyścigowy, ale przez dużą część drogi będziemy na autoroute. Jakies półtorej godziny, może trochę dłużej.

- No dobra. Wszystko gotowe. Na razie.

Teraz, kiedy koniec był już blisko, Sam czuł się coraz bardziej pewny siebie. Oczywiście, coś mogło pójść nie tak; nigdy nic nie wiadomo. Pozwolił sobie jednak na odrobinę ostrożnego optymizmu, bo sytuacja nie wyglądała najgorzej.

Po pierwsze, był niemal całkowicie odcięty od świata zewnętrznego. W piwnicy nie było okien, więc nie groziło mu, że zdradzi go jakiś wymykający się promyk światła. Dzięki izolacji dźwiękowej, jaką zapewniały potężne ściany, sufit i parometrowa warstwa ziemi nad nim, nikt nie mógł go usłyszeć. I, co najlepsze, system alarmowy, który obejrzał podczas poprzednich wizyt, włączał się tylko przy próbie włamania, nie kiedy ktoś wychodził. A zatem była to już druga piwnica - po tej należącej do Rotha - której nie chroniono tak dobrze, jak by wypadało. Zanotował sobie w pamięci, by powiedzieć o tym Elenie. Ucieszy się z każdego pretekstu, by raz jeszcze obsztorcować Rotha za brak odpowiednich zabezpieczeń.

Z obrazem Eleny przed oczami przyjemniej się siedziało w ciemności i Sam wybiegł myślą naprzód, poza dzisiejszą robotę. Co sądziłaby o wyjaśnieniu przestępstwa przy użyciu przestępczych metod? Osobiście może i przymknęłaby na to oko. Za to z

zawodowego punktu widzenia zapewne miałyby kilka zastrzeżeń i bez wahania zmyłaby mu głowę. Ale tylko dla formalności. W branży ubezpieczeniowej, jak prawie wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi duże pieniądze, cel na ogół uświęca środki.

Dobre wyniki usprawiedliwiają większość grzechów. Świat jest okrutny, pomyślał i rozsiadł się wygodnie w fotelu Viala. Teraz pozostawało tylko czekać.

Musiało mu się przysnąć, bo kiedy następnym razem spojrzął na zegarek, było tuż przed dziesiątą; pora zaczynać. Wstał, przetaił oczy i odszukał włącznik przy głównych drzwiach. Nocą piwnica wydawała się większa i bardziej tajemnicza niż za dnia, kiedy słońce wpadało przez otwarte drzwi. Teraz sklepienia tonęły w gęstym cieniu, a kręgi światła rzucane przez wiszące lampy zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Sam załadował część pustych kartonów na wózek golfowy i ruszył naprzód. Koła zadudniły na wyłożonym kamiennymi płytami przejściu dzielącym wina czerwone od białych. Jego pierwszy przystanek znajdował się na Rue des Merveilles, pod tym ekskluzywnym adresem sąsiadowały ze sobą Chateau Lafite i Chateau Latour, arystokraci pośród win. Wyjął listę Rotha z kieszeni i wygładził ją na miejscu pasażera.

Latour '61, 98 butelek. Ruszył wzdłuż półek, patrząc na tabliczki z wypisanymi kredą rocznikami, aż dotarł do 1961. Musiało tam być ze trzysta butelek, oszacował na oko, kiedy zaczął napełniać puste kartony, i nie miał jak stwierdzić, czy dziewięćdziesiąt osiem, które zabierze, to te same, które skradziono Rothowi. Ale, powiedział sobie w duchu, Roth nie będzie narzekał. Złapał właściwy rytm: wziąć dwie butelki, dla pewności sprawdzić rocznik na każdej etykiecie, wsunąć butelki do przegródek w kartonie, wyprostować się, podejść z powrotem do półki. Każdy napełniony karton kładł na platformie wózka golfowego, za siedzeniami.

Zrobił sobie przerwę i zerknął na zegarek. Spakowanie niespełna stu butelek Latour zajęło mu ponad pół godziny. W tym tempie potrwa to jeszcze ze trzy godziny, plus kursy w tę i w tę wózkami golfowymi. Czyli powinien skończyć między drugą a trzecią w nocy. Ciekaw był, jak Philippe'owi udaje się pohamować zniecierpliwienie.

Lafite '53, 76 butelek. Kiedy na przemian schylał się i prostował, i chodził od półek do wózka golfowego i z powrotem, przypominały

mu się niektóre uwagi Floriana Viala. Te poświęcone Lafite były przesadnie kwiecistymi komplementami, nieco przytłumionymi przez to, że mówiąc, Vial obcałowywał sobie palce. Mimo to, kilka perełek zaczerpniętych z napuszonych opisów innych speców od wina słyhać było głośno i wyraźnie. Samowi szczególnie utkwił w pamięci jeden taki poemat prozą, który zaczął się niewinnie, od „wino jędrne, acz subtelne, łagodne, acz stanowcze”, przeszedł do „finezji, aromatu i głębi smaku” połączonych z „elegancją, autorytetem i pochodzeniem, za sprawą których każdy łyk przejmuje rozkoszą”, by zakończyć się taką oto porywającą konkluzją: „tak wspaniałe i szlachetne, że stanowi wręcz sympozjon wszystkich innych win”. Wszystko to Vial przytoczył z pamięci, po angielsku. Na drugim końcu prozatorskiej skali Beauforta była jego bardziej przyziemna opinia, że „koniec końców, najlepsze wino to takie, które człowiekowi smakuje”.

Figeac '82, 110 butelek. Sprawdzając i pakując butelki, Sam próbował sobie wyobrazić to chateau: kamienne kolumny, allee wysadzana pięknymi starymi drzewami, zwirowy podjazd. Sophie mówiła mu, że dziadek obecnego właściciela traktował Figeac jako dom letni, rzadko przyjeżdżał tam z Paryża i zostawiał chateau zamknięte na resztę roku. Samowi trudno było to sobie wyobrazić. Pokręcił głową na tę myśl i zaczął napelniać następny karton. Tknęło go, że to trochę tak, jakby pakował sztaby złota. Ile dolarów warte było to, co już zabrał? Milion? Dwa?

Petrus '70, 48 butelek, 5 magnum. Znane ze zdjęcia w „L.A. Times”, pomyślał Sam, wkładając pierwsze magnum do jego tekturowego gniazdko. Czy to ta sama butelka, którą Danny Roth trzymał w objęciach na fotografii? Kto pokazał ten artykuł Reboulowi? Kto zaplanował i wykonał tę robotę? Kimkolwiek byli, z profesjonalnego punktu widzenia Sam nie mógł im niczego zarzucić. Nawet Bookman przyznał, że jeszcze nie widział tak świetnie zorganizowanego skoku. Aż żał, że nie będzie okazji pewnego dnia usiąść z Reboulem przy drinku i poznać wszystkich szczegółów.

Margaux '83, 140 butelek. Następne pytanie: kto robił zakupy dla Rotha? Ktoś, kto znał się na rzeczy, to pewne. W kolekcji nie było ani jednej butelki o wątpliwej proveniencji. Zawierała same wina najwyższej jakości. Kiedy Sam zbierał informacje przed wyjazdem z Los Angeles, jego zdumienie wzbudził wzrost wartości bordo premier cru z lat osiemdziesiątych. Na przykład, w latach 2001 - 2006 cena

Margaux poszła w górę o 58 procent, a Lafite o 123 procent. Nic dziwnego, że Roth odchodził od zmysłów. Bóg raczy wiedzieć, ile dziś by zabulił, żeby zapęłnić piwnicę na nowo.

Kartony były coraz cięższe, kursy wózkiem golfowym przynosiły tylko chwilową ulgę obolałym plecom. Sam marzył o masażu i drinku.

Yquem '75, 36 butelek. Ostatnie trzy kartony i wino, przy którym krytycy winiarscy, ci, których życiową misją jest opisywanie tego, co nie do opisanego, wznoszą się na wyżyny (bądź sięgają dna) swojego kunsztu. „Pulchne, pełne, ponętne”, „bujne i zmysłowe” - Sam wiele razy widział te określenia, które zawsze przywoływały mu na myśl nie kieliszek wina, lecz posągowe piękności z obrazów Rubensa. Z poczuciem wielkiej, bujnej i zmysłowej satysfakcji, załadował ostatni karton na wózek golfowy i podjechał do pozostałych, ustawionych w stosie przy drzwiach piwnicy.

Już prawie koniec. Zgasił światła i ostrożnie otworzył drzwi. W porównaniu z wilgotnym powietrzem w piwnicy noc miała rześki, czysty zapach i Sam wziął upragniony, głęboki wdech. Spojrzał w głąb podjazdu. Widział zarys bramy odcinającej się na tle światła bulwaru. Przejechał samochód, kierujący się pod górę, a potem zapadła cisza. Wyglądało na to, że Marsylia śpi. Była 3:15.

## Rozdział 22

Telefon od Sama zastał Philippe'a drzemiącego w wynajętej białej furgonetcie. Kiedy odebrał, nie mógł powstrzymać ziewnięcia.

- Pobudka - powiedział Sam. - Do roboty. Nie zapomnij zgasić świateł, zanim podjedziesz pod dom.

Usłyszał warkot zapalanego silnika, odkaszlnięcie Philippe'a, a potem jego głos, usiłujący przybrać przytomny, profesjonalny ton.

- Trzy minuty, mon general. Przyniosę korkociąg. Bez odbioru. Sam uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową. Kiedy będzie

po wszystkim, rozejrzy się za jakimś zabytkowym orderem wojskowym - jednym z najlepszych napoleońskich - który mógłby przypiąć do piersi Philippe'a w uznaniu wybitnych zasług. Należał mu się. I znając go, pewnie by to cholerstwo nosił.

Sam przeszedł na drugą stronę podjazdu i zajął pozycję pod posągiem cesarzowej Eugonii. Za nim był ogromny uśpiony gmach Palais, nieoświetlony, jeśli nie liczyć dwóch migoczących lamp na ganku; z przodu, na tle świateł pustego bulwaru, majaczyła sylwetka bramy. Przepraszając w duchu cesarzową za swoje zuchwalstwo, wsunął dłoń pod jej powłóczystą marmurową szatę i wymacał guzik, którym młody Dominique otwierał bramę. Wcisnął go w chwili, kiedy usłyszał rżenie silnika samochodu mozolnie pnącego się pod górę, i zobaczył, jak skrzydła bramy powoli się rozchylają. Merci, madame.

Philippe nie odrywał oczu od punkcika światła latarki Sama i zatrzymał się przy stosie kartonów ustawionym przed drzwiami piwnicy. Na nocną ekspedycję ubrał się od stóp do głów na czarno - wyglądał jak korpulentny ninja, miał nawet obcisłą wełnianą kominiarkę w typie tych, jakie są modne wśród terrorystów i rabusiów.

- Sprawdziłem - szepnął z wyraźnym zadowoleniem. - Wszystko gra. Nikt mnie nie śledził.

Kiedy ładowali kartony do wozu, Sam zasugerował mu najbardziej taktownie, jak potrafił, że w kominiarce może wzbudzić niepożądane zainteresowanie. Philippe zrobił, co mógł, by ukryć rozczarowanie, i ściągnął ją, zanim usiadł za kierownicą. Spojrzał przez przednią szybę w stronę bulwaru.

- Merde! Brama zamknięta.

- Automatyczny zegar - wyjaśnił Sam, ruszając w stronę cesarzowej. - Zabierz mnie spod posągu.

Powoli przejechali przez bramę, Philippe włączył światła i rzeżąca furgonetka pomknęła opustoszałymi ulicami, kierując się według drogowskich do wyjazdu z Marsylii i dalej, na autoroute.

Sam zwałił się na siedzenie, odurzony przemożnym uczuciem ulgi. Najważniejsze mieli z głowy. Zostały same przyjemne drobiazgi.

- Rozmawiałaś z Sophie? Wszystko u niej w porządku?

- Powiedziałbym, że tres w porządku. Dzwoniła do mnie późnym wieczorem. Wypili parę drinków w hotelu, potem Vial zabrał ją na kolację do Le Petit Nice, hotelu na Corniche. Ich szef kuchni właśnie dostał trzecią gwiazdkę od Michelina... ponoć dokonuje cudów z rybami. Muszę go odwiedzić. W każdym razie mówiła, że świetnie się bawiła. Zdaje się, że bardzo polubiła Viala. Powiedziałem jej, że zadzwonię w nocy, gdyby coś się stało, albo rano, jeśli wszystko dobrze pójdzie. - Philippe stanął na chwilę przy wjeździe na autoroute, by wykupić bilet z automatu. Kierowali się na północ i mieli całą szeroką wstęgę drogi dla siebie. - Sophie jest w porządku. Może czasem się szarogęsi, ale to dobra dziewczyna. Wcześniej tak naprawdę jej nie znałem... wiesz, jak to jest z kuzynami. Choć to rodzina, widuje się ich tylko na ślubach i pogrzebach, kiedy wszyscy zachowują się wzorowo. W Ameryce pewnie jest tak samo, non?

Ale Sam nie odpowiedział. Rozwalony na swoim siedzeniu, ze zwieszoną głową i ramionami obejmującymi pierś, zaczynał odsypiać dwie zarwane noce. Philippe jechał dalej w milczeniu, zajęty myślami o swoim artykule i miłej perspektywie wyjazdu do Los Angeles na wywiad z Dannym Rothem. Podobnie jak wielu Francuzów, był zafascynowany Kalifornią ze swoich wyobrażeń. Surferzy, Anioły Piekła, kwadratowe pomidory, wieloryby, pożary lasów, lawiny błotne, Big Sur, San Francisco, Hollywood - tam wszystko się mogło zdarzyć. Kurczę, mieli nawet gubernatora z Europy.

Zjechał z autoroute w Aix i ruszył bocznymi drogami do Rognes, a stamtąd na drugi brzeg rzeki Durance, do Luberon. Dawno już nie był w tych stronach i uderzyło go, jak pusto i cicho jest na prowincji w porównaniu z tłumami i tumultem, do których przywykł w Marsylii, i jak głębokie tu panują ciemności. Zostawił za sobą pogrążone we śnie wioski Cadenet i Lourmarin i wjechał na wąską serpentynę, która prowadziła na drugą stronę góry, do północnej części Luberon. Po bokach drogi wznosiły się strome, skaliste ściany, tak blisko, że czuł się, jakby jechał przez najeżony ostrymi krawędziami, kręty tunel. I

zrobiło się jeszcze ciemniej. Mogli być miliony kilometrów od cywilizacji; lepiej, by samochód nie zepsuł się w takim miejscu jak to. A Sam przez cały ten czas nic, tylko cicho pochrapywał.

Ocknął się, kiedy furgonetka skręciła na wyboistą polną drogę, która prowadziła do starego domu. Philippe zgasił silnik, ale zostawił zapalone światła. Zaparkował wóz przodem do szczątków studni, z której została tylko rozpadająca się kamienna cembrowina podpierająca przekrzywioną żelazną konstrukcję, z łańcuchem zwisającym z zardzewiałego wałka. Po kilku nieudanych próbach, przerywanych drapaniem się po głowie i przekleństwami, odszukał kamień skrywający zabytkowy, kilkunastocentymetrowy klucz do frontowych drzwi domu.

Sam wszedł za nim do środka i znów nasłuchiwał się przekleństw, kiedy Philippe szukał wśród girland pajęczyn skrzynki z bezpiecznikami i głównego włącznika prądu. Wreszcie, z triumfalnym stęknięciem, znalazł go i wcisnął: z czterdziestowatowej żarówki zwisającej z sufitu popłynęła strużka światła.

- Voila! Witaj w rodzinnym chateau. - Strzepnął z nosa pajęczynę i klepnął Sama w ramię. - Jak się spało?

- Doskonale. - Rzeczywiście, Sam po drzemce czuł się zaskakująco rześko: był w pełni przytomny i humor mu dopisywał, jak zawsze po udanej robocie. Ruszył za Philippem przez szereg małych, niskich pokojów wyłożonych dywanami kurzu, pustych, jeśli nie liczyć pojedynczych rozpadających się krzesel czy stołu wepchniętego w kąt.

- Gdzie się podziały meble?

Philippe zatrzymał się w pomieszczeniu, które kiedyś było kuchnią, teraz ogołoconym ze wszystkiego, co mogło się nadawać do użytku. Ptasię gniazdo wpadło przez komin do paleniska kamiennego kominka. Na jego gzymsie stał wyblakły, poplamiony kalendarz straży pożarnej z Cavaillon na rok 1995.

- Ach, meble - powiedział Philippe. - Kilka było naprawdę ładnych. Ale ledwie staruszkę złożyli do trumny, a już przyjechali krewni z ciężarówką i zabrali, co się dało. Dziwne, że zostawili żarówki. Pewnie do dziś się kłócą, co się komu należy. Grunt, że nie mogli wywieźć piwnicy. - Pchnął niskie drzwi w kąt i sięgnął do włącznika światła, płosząc jakieś żyjątko. - Będziemy musieli

wyłożyć trutkę na szczury, żeby nie pozzały etykietek z butelek. Zdaje się, że lubią stary klej.

Podobnie jak reszta domu, także i piwnica padła ofiarą działalności pazernych krewnych, i nie zachowała się ani jedna butelka. W porównaniu z imponującą swoim ogromem piwnicą Reboula, ta tutaj była, delikatnie mówiąc, dość skromna. Krótkie, strome schody prowadziły na dół, do stojaków, a właściwie półek ze starych desek ułożonych na wbitych w ściany żelaznych prętach. Powierzchnia ścian była czarna od pleśni, spod wytartej warstwy żwiru na podłodze miejscami wyłaniało się klepisko. Ale, jak zauważył Philippe, było tu chłodno i wilgotno, a poza tym było to ostatnie miejsce na ziemi, gdzie ktokolwiek spodziewałby się znaleźć wina warte trzy miliony dolarów.

Wnoszenie kartonów szło im mozolnie; pracę utrudniały drzwi i sufity, które, jak się wydawało Samowi, zaprojektowano z myślą o skrzatach. Czy dwieście lat temu ludzie rzeczywiście byli aż o tyle niżsi i drobniejsi? Zanim ostatni karton trafił na swoje miejsce, obaj poobcierali sobie knykcie o szorstkie, kamienne krawędzie wąskich otworów drzwiowych, a od garbienia się rozboleły ich plecy. Ledwo zauważyli, że w czasie, kiedy pracowali, nastał nowy dzień.

- Co o tym sądzisz? - powiedział Philippe. - Nie jestem chłopakiem ze wsi, ale to naprawdę nadzwyczajne. - Stali przed domem i patrzyli na wschód, gdzie zza horyzontu właśnie wyłoniła się pierwsza smużka światła słonecznego. Sam powoli obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni. W zasięgu wzroku nie było żadnego innego domu. Otaczały ich łąki, które w przyszłych miesiącach miały przybrać fioletową barwę; porastające je kępy lawendy wyglądały jak zielone jeżozwierze. Za nimi był masyw Luberon, bladoniebieski w świetle jutrzeńki.

- Wiesz co? - powiedział Sam. - Wszystko to będzie wyglądać jeszcze piękniej, jak zjemy śniadanie. Od wczorajszego lunchu nie miałem nic w ustach.

Pojechali do Apt, znaleźli kafejkę z tarasem w słońcu i nakupowali croissantów w pobliskiej piekarni. Na stoliku przed nimi postawiono duże, masywne filiżanki, pełne cafe creme. Sam zamknął oczy i powąchał wonną parę. Tak pachniała tylko we Francji; musi to mieć coś wspólnego z francuskim mlekiem.



- Cóż, przyjacielu - powiedział. - Czeka nas ciężki, pracowity poranek. - Philippe, z ustami zajętyymi croissantem, uniósł brew. - Po pierwsze, trzeba się wymeldować z hotelu, zanim Vial połapie się, że nagle ubyło mu pięćset butelek, i znaleźć jakieś nowe lokum, nie w Marsylii. Dlatego będę musiał wynająć samochód. Potem weźmiemy trochę nieoznakowanych kartonów, wrócimy do domu babuni, zapakujemy do nich wino, a stare kartony wyrzucimy. I wtedy będzie można świętować. - Sprawdził, która godzina, i sięgnął po telefon. - Myślisz, że Sophie już wstała?

Nie tylko wstała, ale i zdążyła się już spakować, gotowa do szybkiej ewakuacji z hotelu. Jeszcze bardziej urosła w oczach Sama.

Philippe podrzucił go pod punkt Hertza na lotnisku. Umówił się z Samem na parking przy wjeździe na autoroute i pojechał poszukać kartonów na wino. Znajomy znajomego prowadził winnicę. Na pewno miał stodołę pełną kartonów.

Sam wsiadł do wynajętego renault i włączył się w poranny ruch uliczny w kierunku centrum Marsylii. Zapomniał, że w każdym szanującym się Francuzie drzemie kierowca Formuły 1, i mimo woli znalazł się w samym środku amatorskiego Grand Prix - malutkie samochody śmigały po bokach, ledwo dotykając kołami ziemi, podczas gdy ich użytkownicy prowadzili ożywione rozmowy przez telefon, palili papierosy, i, jeśli mieli wolną rękę, kierowali. Kiedy dotarł cały i zdrowy do hotelu, zmówił krótką modlitwę dziękczynną do świętego patrona zagranicznych kierowców i poszedł poszukać Sophie.

Kończyła śniadanie, zdumiewająco odprężona jak na kogoś, kto dopiero co przyłożył rękę do przestępstwa.

- Alors? Jak poszło?

- Świetnie. Opowiem ci w samochodzie. Pójdę tylko po torbę i ureguluję rachunek, i wybierzemy się na przejażdżkę. W takie miejsce, że oczom nie uwierzysz.

O 8:30, na długo przed tym, jak Vial zaczynał pracę w Palais du Pharo, wyjeżdżali już z Marsylii.

## Rozdział 23

Zapowiadał się jeden z tych wiosennych dni, które w Prowansji są tak piękne: nie za gorąco, nieskazitelnie błękitne niebo, łąki usiane szkarłatnymi plamkami maków, czarne szkielety winorośli przystrojone zielenią nowych liści. Atmosfera w wynajętym renault Sama, jadącym za furgonetką Philippe'a przez wiejską okolicę, była tak pogodna jak aura na zewnątrz. Robota została wykonana.

- Teraz możesz wrócić do Bordeaux - powiedział Sam - wyjść za Arnaud i żyć długo i szczęśliwie. Kiedy ślub?

- Planujemy, że w sierpniu, w chateau.

- Dostanę zaproszenie?

- A przyjechałbyś?

- Pewnie. Jeszcze nigdy nie byłem na francuskim weselu. Jakież plany na miesiąc miodowy? Mógłbym wam pokazać, gdzie się zabawić w Los Angeles.

Sophie się roześmiała.

- A ty jak? Czym się teraz zajmiesz?

- Dokończę to, co tu zostało do zrobienia. Potem pewnie pojedę do Paryża złożyć raport ludziom z biura Knox.

- Jesteś pewien? Co im powiesz?

- Cóż, na pewno nie chcę mącić im w głowie faktami. Pomyślałem więc, że będę się trzymał wersji Philippe'a. No wiesz, tej z anonimową informacją i nieustraszonym reporterem, który wpada na trop prowadzący do Rotha. Ludzie z Knox nie będą zbyt dociekliwi, jak usłyszą, że nie muszą wypłacać trzech milionów dolców.

Przed nimi furgonetka pokonywała z rżeniem ostatni stromy, ostry zakręt górskiej drogi prowadzącej na równinę i do starego domu. Sam cieszył się na spotkanie Philippe'em, kiedy ten przyjedzie do Los Angeles zrobić wywiad z Rothem. Mogliby wynająć dzipa z czasów drugiej wojny światowej, obskoczyć sklepy z artykułami z demobilu, może nawet obejrzyć tę demonstrację pełnokrwistej męskości, jaką są targi broni. Ciekawie byłoby poznać francuski punkt widzenia na kwestię, dlaczego to Amerykanie koniecznie potrzebują karabinów półautomatycznych do polowań na wiewiórki.

Philippe drugi raz tego ranka przeszedł przez dom do piwnicy, z dużym pojemnikiem trutki na szczury pod jedną pachą i stertą złożonych na płask pudeł pod drugą. Dzięki temu, że tym razem pracowali we trójkę, ponowne spakowanie butelek zajęło im niecałą

godzinę. Kiedy pozostali wyszli, Philippe rozsypał na podłodze obfitą porcję śmiercionośnych granulek i życząc szczerom bon appetit, zamknął za sobą drzwi.

Wyszedł z domu i dołączył do Sophie i Sama, którzy właśnie wkładali do furgonetki ostatnie puste kartony Reboula. Mieli zostawić je na wysypisku śmieci po drodze do Marsylii.

- To chyba wszystko - powiedział Sam do Philippe'a. - Teraz musimy tylko znaleźć jakieś lokum dla mnie i Sophie na tę noc. Jakies pomysły?

Philippe podrapał się po głowie, przy okazji strącając jeszcze trochę pajęczyn.

- Marsylia odpada, bo ktoś mógłby was zauważyć. I lepiej, żebyście nie zostali w tych stronach. To odludzie, rzucalibyście się w oczy. Może w Aix? Jest tam taki hotel, Villa Gallici, podobno ładny.

I taki też się okazał - mały, urokliwy, dwie minuty piechotą od kawiarni i innych atrakcji Cours Mirabeau. Ale Sam zaczynał opadać z sił. Przyływ adrenaliny zastąpiło uporczywe, otepiające zmęczenie. Nie licząc krótkiej drzemki w furgonetce, nie spał dwie noce. Przeprosił Sophie, poszedł do swojego pokoju i gruchnął się na łóżko w ubraniu.

Sześć godzin i jeden prysznic później odżył na tyle, by odważyć się wyjść na ocieniony taras hotelu i wypić lampkę szampana na przebudzenie. Włączył telefon i sprawdził wiadomości: Elena czekała na raport, a Axel Schroeder znów próbował go wybadać. Postanowił zostawić Elenę na później i zadzwonił do Schroedera.

- Axel, tu Sam.

- Drogi chłopcze, zaczynałem się o ciebie niepokoić. Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz. - Mówił jak lekarz ćwiczący właściwe podejście do pacjenta.

- Wiesz, jak jest, Axel. Bez pracy nie ma kołaczy. Ale ostatnio mi się poszczęściło.

Schroeder nie odpowiedział. Nie musiał. Jego zaciekawienie było wręcz słyszalne.

- Znalazłem wino. Wszystkie butelki, co do jednej.

- Gdzie są?

- W bezpiecznym miejscu.

Schroeder nie spieszył się z odpowiedzią.

- Sam, musimy porozmawiać. Tak się składa, że znam parę osób, które byłyby tymi winami bardzo, ale to bardzo zainteresowane.

- Nie wątpię.

- Żadnego ryzyka i możemy podzielić się zyskiem.

- Axel, to twoja sprawka, zgadza się?

- Sześćdziesiąt procent dla ciebie, czterdzieści dla mnie. Zawsze to trochę grosza.

- Może następnym razem, ty stary obwiesiu.

Schroeder zachichotał.

- Warto było spróbować, drogi chłopcze. Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś zmienił zdanie. Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił.

Sam rozejrzał się po tarasie. Stoły były nakryte do kolacji i wzięła go straszna chęćka na stek, słabo wypieczony i krwisty, z butelką czerwonego wina. Postanowił zadzwonić do Sophie i poprosić, żeby do niego dołączyła. Ale najpierw Elena.

Pogratulowała mu i zaczęła wypytywać o szczegóły.

- Eleno, wolałbym nie mówić o tym przez telefon. Kiedy możesz tu przyjechać?

- Nic z tego, Sam. Po to właśnie Knox ma francuską filię pełną Francuzów. To oni zajmują się Francją. Kiedy najwcześniej możesz przyjechać do Paryża?

- Zamierzam być tam jutro wieczorem.

- W Montalembert?

- Tak, w Montalembert. Eleno...

- Poproszę kogoś z Knox, żeby się tam z tobą spotkał. Świetna robota, Sam. Brawo. Roth na to nie zasługuje, ale szef będzie zadowolony. Zaraz pójde i mu powiem. - mówiła krótko i do rzeczy.

Po tej rozmowie Sam oklapł i następna lampka szampana niezbyt podniosła go na duchu. Taras z wolna zapełniali goście hotelowi i kilka zakochanych par z Aix. Wszyscy świetnie się bawili, co wprawiło Sama w jeszcze większe przygnębienie. Sophie nie odbierała telefonu, a i perspektywa jedzenia w samotności, zwykle miła, dziś zupełnie go nie pociągała. Nie miał jednak wyboru. Dlatego spędził wieczór ze swoim stekiem, winem i myślami.

Kiedy następnego ranka spotkał się z Sophie na śniadaniu, wytłumaczyła mu, dlaczego nie można się było do niej dodzwonić. Przekonana, że Sam prześpi całą noc, poszła do kina na jeden z tych

przejmujących, wyczerpujących emocjonalnie filmów, które francuscy reżyserzy tak sobie upodobali. Wypłakała morze łez, a to zawsze dobry znak. Film strasznie jej się podobał.

- No i dziś - powiedziała - Philippe zaproponował, żebyśmy zjedli pożegnalny obiad przed wyjazdem na lotnisko. Zna knajpkę przy porcie w Cassis, gdzie robią bouillabaisse jak należy. To niedaleko, jedzie się tam niecałą godzinę. Pasuje?

Przytaknął. Po przespanej nocy jego nastrój poprawiał się z minuty na minutę, zwłaszcza gdy ujrzał Cassis. Wieś nad morzem w słoneczny dzień to widok jak z bajki; a jeśli wieś tę otacza dwanaście doskonałych winnic, to człowiek ma ochotę wyrzucić paszport i zostać tam na zawsze.

Philippe zainstalował się już na tarasie Nino, restauracji przezornie wyposażonej w trzy pokoje gościnne, na wypadek, gdyby kogoś po obiedzie ogarnęła nieodparta pokusa, by zrobić sobie sjęstę. Mimo wczesnej pory taras z widokiem na port wypełniony był niemal do ostatniego miejsca, co stanowiło rzadki przejaw punktualności. Prowansalczyk może, delikatnie mówiąc, nie przywiązywać wielkiej wagi do czasu, za to jego apetyt - wprost przeciwnie; żołądek musi zostać obsłużony w samo południe. Rozglądając się Sam widział serwetki wsuwane pod kołnierze koszul i otwarte karty dań, i słyszał toczony między łykami schłodzonego lokalnego wina dyskusje o plusach i minusach gigot, żabnicy czy też grillowanego daurade. Le dejeneur to poważna sprawa.

- Pomyślałem, że można by uczcić sukces lampką szampana - powiedział Philippe - ale to nie miejsce na to, żeby pić szampana. Tu trzeba pić miejscowe wino. - Wyciągnął butelkę z wiaderka z lodem, stojącego u jego boku, i pokazał im etykietę. - Domaine du Paternel. Prawdziwy skarb. - Rozlał wino i wzniósł kieliszek. - Za nasze następne spotkanie, gdziekolwiek nastąpi. Dziś Cassis. Jutro... - tu mrugnął do Sama i poruszył brwiami - ...Los Angeles?

Obiad był długi, atmosfera wesoła, a bouillabaisse znakomita, ale mimo kuszącej perspektywy sjęsty w pokoju na górze, zdołali dotrzeć na lotnisko dość wcześnie, by jeszcze wypić ostatnią kawę. Tych kilka wspólnie spędzonych dni było, jak to ujął Philippe, vraiment chanu, przednią zabawą, co, jak zapewnił pozostałych, jest nie lada komplementem w ustach rodowitego marsylczyka. I tak oto, po licznych woniejących czosnkiem pocałunkach, uściskach i obietnicach

spotkania w Bordeaux na weselu Sophie, rozjechali się w różne strony: Sophie do Bordeaux, Sam do Paryża, a Philippe z powrotem do pracy nad swoim materiałem. Pierwszą część miał już napisaną w głowie: anonimowa informacja, odnalezienie wina w kryjówce na odludziu, odkrycie, że ma przed sobą prawdziwy skarb. Tak rozpoczęta historia dawała wiele fascynujących możliwości, jeśli chodzi o dalszy ciąg. Philippe przewidywał, że czeka go kilka bardzo ciekawych tygodni.

Kiedy samolot odwracał się ogonem do słońca i kierował na północ, Sam, siedzący przy oknie, ostatni raz spojrzął na Morze Śródziemne. Pierwszy raz w życiu nie był zachwycony myślą o wyjeździe do Paryża. Mimo dostrzegalnej tu i ówdzie nędzy, Marsylia okazała się fascynującym i nadzwyczaj ujmującym miastem, miastem z wielkim charakterem. Jej szorstki urok bardzo przypadł mu do gustu, a mieszkańcy byli dobrodusznymi i życzliwymi. Jakże niewiele szemrana reputacja Marsylii miała wspólnego z rzeczywistością.

Nad centralną Francją wisiała pokrywa chmur i samolot wylądował w monochromatycznym Paryżu, w którym warstwy szarości nakładały się jedna na drugą od ziemi aż do nieba. Trudno było uwierzyć, że raptem godzinę stąd było ostre, krystalicznie czyste światło Prowansji. Marsylczycy o tej porze wychodzili z pracy, spotykali się na tarasach kawiarni na aperitifs i plotki i oglądali zachód słońca. Philippe zapewne ślęczał nad swoimi notatkami w jednej z małych knajpek, które służyły mu za biuro. Podczas gdy wioząca go taksówka lawirowała między samochodami, pędząc Boulevard Raspail w stronę hotelu, Sam poczuł pierwsze ukłucie tęsknoty.

Rzucił walizkę na łóżko i powiesił marynarkę na wieszaku. Jak zawsze po podróży czuł się nieświeży, ale szybki prysznic będzie na to najlepszym lekarstwem. Już ściągał spodnie, kiedy zadzwonił telefon. Podskakując na jednej nodze, poszedł odebrać.

- Powiedz... co dziewczyna musi zrobić, żeby dostać tu drinka? Serce mu skoczyło na dźwięk jej głosu.

- Elena? To ty? Jesteś tutaj?

- A kogo się spodziewałeś?

I kiedy tak stał z szerokim uśmiechem na twarzy i spodniami wokół kostek, był najszczęśliwszym człowiekiem w Paryżu.

## Rozdział 24

Pozostali lokatorzy Chateau Marmont albo już poszli do pracy, albo jeszcze leżeli w łózkach. Sam miał cały basen dla siebie. Właśnie wykonał dzienną normę - dwadzieścia długości - i teraz stał w porannym słońcu, ociekając wodą.

Wszystko się dobrze układa, pomyślał wycierając włosy ręcznikiem. Wreszcie przestali z Eleną skakać sobie do oczu i powoli, rozkosznie rodziło się między nimi coś głębszego. Już nie mógł się doczekać, kiedy przedstawi ją Philippe'owi, który miał przyjechać w następnym tygodniu zrobić wywiad z człowiekiem, którego nazywał „monsieur Rot”. (Choć świetnie mówił po angielsku, podobnie jak wielu jego rodaków miał kłopoty z wymówieniem głoski „th”). Poza tym na horyzoncie rysowało się parę interesujących możliwości. Do tego, żeby ten poranek był idealny, brakowało tylko kawy.

Wciągnął na siebie szlafrok i przeszedł przez starannie wypielegnowaną, lśniąca dżunglę, która dzieli basen od głównego budynku hotelu. W recepcji zatrzymał się, żeby wziąć „L.A. Times”.

- Panie Levitt? - Był to jeden z sympatycznych młodych recepcjonistów. - Właśnie do pana dzwoniliśmy. Ma pan gościa. Posadziliśmy go przy pańskim stoliku w kącie.

Znowu Bookman, pomyślał Sam. Często wpadał na śniadanie, kiedy był w okolicy. Szukał śladów, jak twierdził. Sam niespiesznie przeszedł przez ogród, zerkając na nagłówki. Kiedy z półuśmiechem na twarzy podniósł głowę znad gazety, znieruchomiał w pół kroku, jakby wpadł na niewidzialną ścianę.

Francis Reboul, nienagannie ubrany w lniany garnitur koloru kitu, odwzajemnił uśmiech, kiwnął głową, wstał i wyciągnął rękę.

- Mam nadzieję, że nie obrazi się pan za to najście - powiedział, siadając, i gestem zaprosił Sama do stolika. - Pozwoliłem sobie zamówić kawę dla nas obu. - Napełnił filiżanki. - Nie ma to jak ta pierwsza filiżanka po pływaniu, co?

Sam, który czuł, że pod względem garderoby stoi na straconej pozycji, usiłował ochłonać z zaskoczenia. Rozejrzał się po sąsiednich stolikach, wypatrując osiłków w ciemnych garniturach.

Reboul odgadł jego myśli i pokręcił głową.

- Nie ma żadnej ochrony - powiedział. - Uznałem, że sami będziemy czuć się swobodniej. - Rozsiadł się wygodnie, całkowicie odprężony. Jego oczy błyszczały wesoło w mahoniowej twarzy. -

Jakie to szczęście, że zachowałem pańską wizytówkę. O ile pamiętam, kiedy widzieliśmy się ostatnio, pracował pan w branży wydawniczej. - Umoczył kostkę cukru w kawie i wyssał ją w zamyśleniu. - Ale coś czuję, że literatura to zbyt banalne zajęcie dla człowieka o pańskich wyjątkowych zdolnościach. Nie zdziwiłbym się, gdyby postanowił pan poszukać nowych wyzwań. Czy bardzo będę niedyskretny, jeśli spytam, co robi pan w tej chwili?

Sam zawahał się na chwilę. Rzadko zdarzało mu się zapomnieć języka w gębie, ale Reboul kompletnie zbił go z pantałyku.

- Cóż - wykrztusił. - W świecie książek niewiele się dzieje, więc można by powiedzieć, że zrobiłem sobie urlop.

- To doskonale - oświadczył Reboul. Wydawał się autentycznie zadowolony. - Jeśli więc nie jest pan zbyt zajęty, mam pewną propozycję, która może pana zainteresować. Ale najpierw musi mi pan coś zdradzić; to zostanie entre nous. - Wychylił się do przodu, z łokciami opartymi na stoliku, podbródkiem spoczywającym na złożonych dłoniach i skupioną miną. - Jak pan to zrobił?



## PODZIĘKOWANIA

Jestem głęboko wdzięczny Anthony'emu Bartonowi z Chateau Leoville Barton za dokonanie wyboru win, których kradzież zaaranżowałem. Rzadko się zdarza, by autor tak błyskawicznie otrzymał tak fachowe i przepyszne rady.

Dziękuję też Davidowi Charltonowi, mojemu mentorowi w kwestii odcisków palców, który był tak miły, że uzupełnił część licznych luk w mojej wiedzy o kryminalistyce.

I wreszcie mille mercis dla Ailie Collins, której operatywność i zawsze dobry humor tak bardzo pomagają mi od lat.